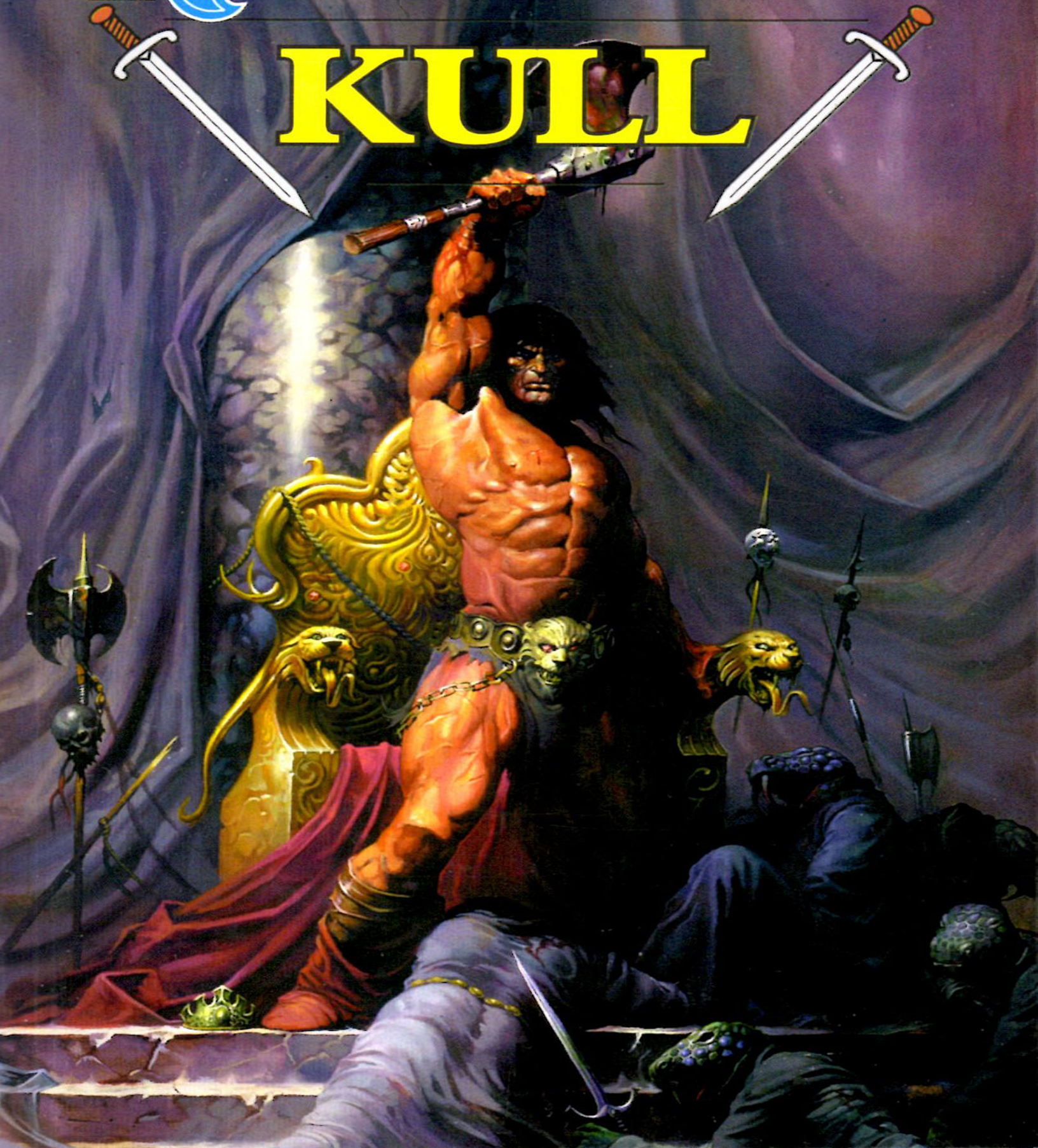


ROBERT E. HOWARD

KULL



ROBERT E. HOWARD

K U L L

(KULL)



Przełożył: Tomasz Kreczmarowie

ANDOR

Wydawnictwo: Andor 1994

Spis treści

Karta tytułowa

PROLOG

UCIECZKA Z ATLANTYDY

KRÓLESTWO CIENI

OLETARZ I SKORPION

KOT DELCARDES

CZASZKA CISZY

RZĄDY TOPORA!

UDERZENIE GONGU

MIECZE CZERWONEGO KRÓLESTWA

LUSTRA TUZUN THUNE'A

EPILOG



PROLOG

O epoce zwanej przez kronikarzy z Nemedii Wiekiem Przed Kataklizmem, nie wiadomo zbyt wiele. Jedyne o jej ostatniej części krążą okryte mgłą tajemniczy legendy. Znana historia zaczyna się od momentu zanikania cywilizacji sprzed kataklizmu. Cywilizacji zdominowanych przez królestwa Kamelii, Valusii, Verulii, Grondaru, Thule i Commorii. Ludzie żyjący na tych terenach mówili tym samym językiem i mieli podobne sposoby bycia. Istniały wtedy i inne królestwa, mniej rozwinięte i zamieszkałe przez inne, starsze rasy.

Barbarzyńcy tej epoki to Piktowie żyjący na wyspach, daleko na Zachodnim Oceanie, mieszkańcy Atlantę – małego kontynentu pomiędzy Wyspą Piktów, a głównym kontynentem oraz Lemuryjczycy, którzy zamieszkiwali łańcuch dużych wysp na wschodzie.

W czasach tych, większość terenów była nieodkryta. Cywilizowane królestwa, mimo że bardzo rozległe, zajmowały niewielki obszar całej planety. Valusia była królestwem położonym najdalej na zachód thuriańskiego kontynentu. Grondar z kolei leżał na najdalszym wschodzie. Ludzie żyjący na wschodzie tegoż królestwa, byli mniej ucywilizowani i ścierali się z dziką i okrutną pustynią. Na obszarach mniej suchych, w dżunglach i górach, istniały klany i szczepy prymitywnych dzikusów.

Daleko na południu znajdowała się wyraźnie praludzka, legendarna cywilizacja nie mająca kontaktu z kulturą thuriańską. Na odległych, wschodnich brzegach kontynentu żyła inna rasa ludzka, jednak tajemnicza i niethuriańska. Jedynym narodem utrzymującym z nią sporadyczny kontakt byli Lemuryjczycy. Najwyraźniej lud ten pojawił się z pokrytego cieniem, nienazwanego kontynentu, leżącego gdzieś na wschód od Wysp Lemuryjskich.

Cywilizacja thuriańską rozpadała się; jej armie składały się w większości z barbarzyńskich najemników. Piktowie, Atlantydzi i Lemuryjczycy byli generałami, mężami stanu, a czasem nawet królami. W opowieściach o utarczkach pomiędzy królestwami, wojnach pomiędzy Valusią i Commorią, jak i o podbojach, dzięki którym Atlantydzi stworzyli królestwo na kontynencie, więcej jest legend niż prawdziwej historii.



UCIECZKA Z ATLANTYDY

Słońce zachodziło. Ostatnie purpurowe promienie rozlały się po ziemi i zatrzymały się jak krwiste korony na ośnieżonych górskich szczytach. Trzej mężczyźni, oglądający dotychczas koniec dnia w milczeniu, odetchnęli zapachem wiatru z dalekich lasów. Po chwili zajęli się całkiem już przyziemnymi sprawami. Jeden z nich piekł dziczyznę nad małym ogniskiem. Dotknął palcem syczącego mięsa i z miną smakosza oblizał go.

– Gotowe, Kullu, Khor–nahu. Możemy jeść.

Był młody, dopiero niedawno osiągnął wiek męski. Wysoki, szeroki w ramionach, szczupły w pasie, poruszał się z pełną skrywanej siły gracją lamparta. Jednym z jego towarzyszy był potężnie zbudowany mężczyzna w sile wieku o buńczucznym wyrazie twarzy. Drugi bardzo przypominał młodzieńca. Był nieco od niego wyższy i szerszy w ramionach, a jego klatka piersiowa była trochę potężniejsza. Sprawiał wrażenie dużo silniejszego i zręczniejszego.

– Dobrze – powiedział Kull. – Jestem głodny.

– Czy kiedykolwiek jest z tobą inaczej, Kullu? – zadrwił pierwszy młodzieniec.

– Kiedy walczę – poważnie odpowiedział Kull.

Tamten szybko spojrział na przyjaciela, by poznać w jakim jest nastroju. Nie zawsze trafnie odgadywał myśli Kulla.

– A potem pragniesz krwi – wtrącił starszy mężczyzna. – Am–ra, przestań żartować i pokrój dla nas mięso.

Zapadł już zmrok i na niebie rozbłysły gwiazdy. Nad ciemną, górzystą okolicą zerwał się wieczorny wiatr. Nagle gdzieś daleko zaryczał tygrys. Khor–nah odruchowo sięgnął po leżącą na ziemi włócznię z krzemiennym grotem. Kull odwrócił głowę, a w jego zimnych oczach rozpały się dziwne ogniki.

– Pręgowani bracia zapoleją dziś w nocy – odezwał się.

– Oddają cześć wschodzącemu księżycowi. – Am–ra wskazał na wschód, gdzie coraz bardziej widoczna stawała się czerwona poświata.

– Dlaczego? – zapytał Kull. – Przecież księżyc pokazuje ich obecność ofiarom i wrogom.

– Kiedyś, wieleset lat temu – rzekł Khor–nah – ścigany przez myśliwych tygrys królewski, wezwał na pomoc kobietę mieszkającą na księżycu. Ona rzuciła mu łodygę winorośli, po której wdrapał się na księżyc i zamieszkał tam na wiele lat. Od tej pory wszyscy pręgowani bracia czczą księżyc.

– Nie wierzę w to – otwarcie powiedział Kull. – Dlaczego pręgowany lud miałby oddawać cześć księżycowi za to, iż przed wieluset laty pomógł jednemu spośród nich? Wiele tygrysów wspięło się na Skalę Śmierci i tym sposobem umknęło myśliwym. Mimo to nie czczą tej skały. Skąd mogliby wiedzieć, co wydarzyło się tak dawno temu?

Khor zmarszczył brwi.

– Kullu, nie przystoi ci wyśmiewać starszych od ciebie, czy też drwić z legend twego przybranego ludu. Opowieść ta musi być prawdziwa, gdyż przekazywana jest z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów. Co było zawsze, zawsze być musi.

– Nie wierzę w to – powtórzył Kull. – Te góry istniały od zawsze, lecz kiedyś i one rozsypią się i znikną. Któregoś dnia morze będzie szumiało nad tymi wzgórzami...

– Dostyc tych bluźnierstw! – krzyknął niemal z gniewem Khor-nah. – Kullu, jesteśmy bliskimi przyjaciółmi i cierpliwie znoszę twoje wybryki. Jesteś jeszcze młody, lecz musisz się nauczyć jednej rzeczy: szacunku dla tradycji. Ty, który zostałeś uratowany z dzikiej puszczy przez nasz lud, drwisz z jego zwyczajów i praw. To my daliśmy ci dom i miejsce pośród ludzi.

– Kiedyś byłem bezwłosą małpą włóczącą się po lesie – otwarcie, bez fałszywego wstydu, przyznał Kull. – Nie umiałem mówić ludzkim językiem. Moimi jedynymi przyjaciółmi były tygrysy i wilki. Nie wiem kim byli moi rodzice i z jakiego rodu pochodzę...

– To nie ma znaczenia – przerwał mu Khor-nah. – To nic, że wyglądem przypominasz człowieka z plemienia banitów, żyjącego niegdyś w Tygryskiej Dolinie. Wyginęło ono podczas Wielkiej Powodzi. Dowiodłeś, iż jesteś odważnym wojownikiem i wielkim myśliwym...

– Gdzież znajdzie się młodzieniec, który dorówna ci w rzucie włócznią lub w zapasach? – wtrącił z błyszczącymi oczami Am-ra.

– To prawda – odparł Khor-nah. – Kull przynosi zaszczyt plemieniu Morskiej Góry. Mimo to jednak musi nauczyć się powściągiwać swój język i szanować nasze świętości zarówno dawne jak i obecne.

– Ja z nich nie drwię – odrzekł bez gniewu Kull. – Ale wiem, że wiele rzeczy, o których mówią kapłani, to kłamstwa. Żyłem wśród tygrysów i lepiej niż oni znam dzikie zwierzęta. Zwierzęta nie są ani bogami, ani diabłami. Pod pewnymi względami są jak ludzie, ale bez ludzkiej chciwości, zachłanności...

– Znowu bluźnisz! – z gniewem zawołał Khor–nah. – To człowiek jest najpotężniejszymi tworem Valki.

Aby zmienić temat rozmowy Am–ra wtrącił: – Słyszałem jak dziś wczesnie rano na wybrzeżu bito w bębny. Toczy się wojna na morzu, to Valusia walczy z lemuryjskimi piratami.

– Oby zły los spotkał tak jednych jak i drugich – mruknął Khor–nah.

Oczy Kulla zabłyśły.

– Valusia! Kraina Czarów! Kiedyś na pewno zobaczę wielkie Miasto Dziwów.

– Zły będzie to dzień, gdy je ujrzysz – warknął Khor–nah. – Będziesz wtedy zakuty w ciężkie kajdany, a nad tobą wisiało będzie widmo tortur i śmierci. Tylko jako niewolnik człowiek z naszej rasy może oglądać Wielkie Miasto.

– Niech spadnie na nie nieszczęście – rzekł Am–ra.

– Niech spotka je czarne szczęście i czerwona zagłada! – krzyknął Khor–nah, wygrażając ku wschodowi pięścią. – Za każdą kroplę krwi atlantydzkiej, za każdego harującego na ich przeklętych galerach niewolnika. Niech Valusię spotka czarna zaraza. Niech zniszczy ją i Siedem Imperiów!

Am–ra zerwał się w podnieceniu na nogi i powtórzył fragmenty przekleństwa. Kull wziął sobie jeszcze kawałek pieczeni.

– Walczyłem z mieszkańcami Valusii – powiedział. – Byli wspaniale uzbrojeni, ale zabić ich było łatwo. Nie wyglądali też jak źli ludzie.

– Walczyłeś ze strażą z północnego wybrzeża, słabą i strachliwą – stwierdził Khor–nah. – Albo z załogami statków kupieckich, które osiadły na mieliźnie. Zaczekaj, aż stawisz czoło szarzy Czarnych Szwadronów, albo samej Wielkiej Armii. Mnie to spotkało. *Hai!* Dopiero wtedy leje się krew! Kiedy byłem taki młody jak ty, Kullu, pustoszyłem wybrzeża Valusii wraz z

Granado, którego zwali Włócznie. Tak. Zanieśliśmy ogień i miecz daleko w głąb ich parszywego imperium. Było nas pięciuset. Spośród pięciuset wojowników ze wszystkich nadbrzeżnych plemion Atlantydy wróciło tylko czterech! Za spaloną i złupioną przez nas wsią Sokołów, zadusiła nas przednia straż Czarnych Szwadronów. *Hai!* Tam nasze włócznie napiły się krwi, a nasze miecze ugasiły pragnienie. Zabijaliśmy bez wytchnienia. Ale gdy ucichł zgiełk bitwy, tylko czterech z nas stało. I tylko czterech z nas uciekło z pola bitwy, a wszyscy byliśmy ciężko ranni.

– Askalante mówił mi – ciągnął Kull – że mury dokoła Kryształowego miasta są dziesięciokrotnie wyższe od wielkiego męża. Ponoć blask złota i srebra oślepia, a kobiety, które zapełniają ulice czy wyglądają z okien, odziane są w dziwne, gładkie, błyszczące i szeleszczące szaty.

– Askalante wie o tym – stwierdził ponuro Khor-nah – bo był tam niewolnikiem tak długo, że zapomniał swego porządnego, atlantydzkiego imienia. Używa teraz tego, które nadali mu mieszkańcy Valusii.

– Jednakże uciekł stamtąd – rzekł Am-ra.

– Tak. Ale za każdego niewolnika, który uciekł ze szponów Siedmiu Imperiów, przypada siedmiu umierających w lochach i gnijących w więzieniach. Mieszkańcy Atlantydy nie są stworzeni do bycia niewolnikami.

– Jesteśmy wrogami Siedmiu Imperiów od zarania dziejów – głośno myślał Am-ra.

– I będziemy aż do końca świata – stwierdził z dzikim zadowoleniem Khor-nah. – Bo, z woli Valki, Atlantyda jest wrogiem wszystkich ludów.

Am-ra wstał, podniósł z ziemi włócznie i stanął na straży. Reszta położyła się na murawie i poszła spać. Co śnił Khor-nah? Może o krwawej bitwie, może o szarżującym bizonie, a może o jaskiniowej dziewczce? A Kull?

Poprzez opary snu, cicho, z bardzo daleka, zagrały złote trąby. Przepłynęły nad nimi chmury płomiennej sławy. Potem, przed jego sobowtórem z sennej mary, ukazały się bezkresne przestrzenie. Widział wielki tłum, słyszał grzmiące okrzyki w dziwnym języku. Potem rozległ się cichy szczeł stali. Ogromne, widmowe armie ustawiły się po jego prawej i lewej stronie. Mgła opadła. Wyłoniła się z niej sokola twarz. Śmiała, beznamiętna twarz o oczach jak zimne, szare morza, a nad nią unosiła się królewska korona. Lud krzyczał gromko: „Niech żyje król! Niech żyje król! Niech żyje Kull”.

Kull przebudził się nagle. Księżyc oświetlał odległe góry, wiatr szumiał w wysokich trawach. Obok spał Khor-nah. Am-ra stał jak nagi posąg z brązu na tle gwiazd. Kull spojrzał na jego skąpe ubranie: skórę lamparta owiniętą wokół lędźwi pantery. Nagi barbarzyńca... Zimne oczy Kulla rozbłysły. Król Kull! Znowu zasnął.

Wstali wczesnym rankiem i wyruszyli do jaskiń, w których mieszkali ich plemię. Kiedy ujrzeli szeroką, błękitną rzekę i jaskinie, słońce nie było jeszcze zbyt wysoko.

– Spójrzcie! – zawołał Am-ra. – Pałają kogoś!

Przed jaskiniami wznosił się duży stos, do którego przywiązana była młoda dziewczyna. Twarde spojrzenia stojących obok ludzi nie miały w sobie najmniejszych oznak litości.

– To Sareeta – powiedział ze stężoną twarzą Khor-nah. – Ta rozpustna dziwka poślubiła lemuryjskiego pirata.

– Tak – warknęła stara kobieta o kamiennym wzroku. – Tak, moja córka ściągnęła hańbę na całą Atlantyde. Nie jest już moją córką! Jej mąż zginął, kiedy łódź Atlantydów rozbiła ich statek. Ją fale wyrzuciły na brzeg.

Kull spojrzał współczująco na dziewczynę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jej współplemieńcy i krewni patrzą na nią z takim okrucieństwem.

Tylko dlatego, że poślubiła ich wroga? Kull znalazł ślady współczucia tylko w jednych oczach zwróconych na dziewczynę. Tylko duże, niebieskie oczy Am-ry były smutne i przepełnione litością.

Jakie uczucia odbijały się w nieruchomej twarzy Kulla nie sposób powiedzieć. Ale to właśnie na nim, zatrzymały się oczy skazanej na śmierć. Nie było w nich strachu. Jedyne wielka prośba o pomoc. Kull zauważył wiązkę drewna u jej stóp. Za chwilę, wyśpiewujący właśnie przekleństwo kapłan pochylił się i podpalił stos trzymany w lewym ręku pochodnią. Widział też drewniany łańcuch, którym dziewczyna była przykuta do stosu. Przedmiot ten był wykonany w typowy, atlantydzki sposób. Nie zdołałby odciąć łańcucha, nawet gdyby udało mu się przedrzeć przez tłum oddzielający go od dziewczyny. Spojrzała na niego błagalnie. Kull znów spojrzał na stos i dotknął długiego, krzemienistego sztyletu wiszącego u pasa. Dziewczyna zrozumiała. Skinęła głową, a w jej oczach dostrzegł wielką ulgę.

Kull uderzył jak kobra – nagle i nieoczekiwanie. Wyrwał sztylet i rzucił go. Trafił dziewczynę prosto w serce zabijając ją na miejscu. Tłum stał jak zaczarowany, a on odwrócił się, odskoczył i niczym kot przebiegł kilka metrów po stromym zboczu urwiska. Ludzie nadal stali oniemiałi. Potem jakiś mężczyzna szybkim ruchem wydobyl łuk i strzałę. Wycelował w zbiega. Kull przechylał się już przez krawędź urwiska. Oczy strzelca zwięzły się... Am-ra jak gdyby przypadkiem zachwiał się i potracił go głową. Strzała poleciała daleko od celu. W chwilę później Kull zniknął.

Słyszał za sobą głośnie okrzyki. Gonili go płonący rządzą krwi współplemieńcy. Pragnęli go schwytać i ukarać śmiercią za pogwałcenie ich dziwnego i krwawego kodeksu. Lecz nikt z całej Atlantydy nie mógł wyprzedzić Kulla z plemienia Morskiej Góry.



Kull opuścił swój szczep, tylko po to by wpaść w lemuryjską niewolę. Przez następne dwa lata harował jako niewolnik na galerach. Później uciekł. Ruszył do Valusii, gdzie został bandytą czatującym pośród wzgórz. W końcu został złapany i zamknięty w lochu. Ale szczęście uśmiechnęło się do niego. Został najpierw gladiatorem na arenie, później żołnierzem w armii, a na końcu dowódcą. Następnie, popierany przez najemników i kilku zblazowanych szlachciców, zdobył tron Valusii. To właśnie Kull zabił despotycznego króla Borna i zdjął koronę z jego pokrwawionej głowy. Kull z Atlantydy zasiadł na tronie antycznej Valusii.



KRÓLESTWO CIENI

1. Król przybywa

Głos trąb rósł coraz bardziej, jak głębokie, złote fale morskie, jak miękki odgłos wieczornych fal uderzających o srebrne plaże Valusii. Tłum krzyczał, kobiety rzucały róże z dachów, a rytmiczny stukot srebrnych podków stawał się coraz wyraźniejszy. W końcu pierwszy z przybywających wyłonił się na końcu białej ulicy, która otaczała Wieżę Blasku o złotym szczycie.

Najpierw przybyli trębacze. Wspaniali młodzieńcy na koniach, ubrani w szkarłatne płaszcze, z długimi, wspaniałymi, złotymi trąbkami. Potem szli łucznicy – wysocy mężczyźni z gór. Za nimi ciężkozbrojna piechota. Duże tarcze, w które uderzali grzmiały pod niebiosa, a długie włócznie ruszały się z perfekcyjną dokładnością w rytmie kroków. Następni byli najpotężniejsi żołnierze w całym świecie – Czerwoni Zabójcy, jeźdźcy na wspaniałych rumakach, czerwoni od hełmów po ostrogi. Dumnie siedzieli w siodłach nie patrząc w lewo ani w prawo, ale zadowoleni z okrzyków na ich cześć. Byli jak filary z brązu, a las włóczni ponad nimi nie zafalował ani razu.

Za tymi dumnymi i straszliwymi oddziałami szli najemnicy – dzicy, straszliwi wojownicy, ludzie z Mu i Kaa-u, ze wzgórz wschodu i wysp zachodu. Mieli włócznie i ciężkie miecze, a wśród nich maszerowała jakby odsunięta trochę od reszty, grupka łuczników z Lemurii. Potem szła lekka piechota i reszta trębaczy.

Wspaniały widok. Widok, który wywoływał w duszy Kulla, króla Valusii, gorący powiew. Nie siedział on na Topazowym Tronie przed królewską Wieżą w lasku, ale w siodle, na wielkim rumaku, jak przystało na prawdziwego króla-wojownika. Jego potężne ramię odpowiadało na saluty przechodzących oddziałów. Jego gorący wzrok przesunął się po kolorowo ubranych trębaczach i zatrzymał dłużej na idących za nimi żołnierzach. Oczy króla zabłyśły ostrym światłem, kiedy Czerwoni Zabójcy zatrzymali się przed nim ze szczękiem, cofnęli swe rumaki i oddali mu królewski salut. Zwężyły się natomiast, kiedy przemaszerowali najemnicy. Żaden z nich nie zasalutował. Przeszli z wyprostowanymi ramionami, patrząc dumnie choć nie bez uznania wprost na Kulla. Mieli dzikie i wściekłe oczy, którymi spoglądali spod krzaczastych brwi i pokręconych, brudnych włosów.

Kull odpowiedział im tym samym spojrzeniem. Cenił odważnych ludzi, ale na całym świecie nie było ani jednego, naprawdę odważnego człowieka. Nawet pomiędzy dzikimi szczepami, które nie uznały jego władzy. Ale Kull był zbyt dzikusem, aby się nimi przejmować. Wokół było zbyt dużo ziem lennych. Wiele z nich było od wieków wrogami ludu Kulla. A choć jego imię było teraz przeklinane pomiędzy górami i dolinami rodzimego ludu, i choć Kull usunął go ze swoich myśli, stare nienawiści i pasje wciąż kryły się gdzieś głęboko. Kull bowiem nie był Valusyjczykiem, lecz Atlantyda.

Wojska skryły się za skrzydłem Wieży Chwały. Kull zawrócił rumaka i kłusem ruszył do pałacu. W drodze omawiał defiladę z towarzyszącymi mu dowódcami. Niewiele mówił, lecz jego słowa miały wielką wagę.

– Armii tak, jak mieczowi – powiedział – nie można pozwolić pokryć się rdzą.

Kull nie zwracał specjalnej uwagi na głosy dobiegające z kłębiącego się na ulicach tłumu.

– To Kull, popatrz! Valko! Cóż za władca! I cóż za mężczyzna! Spójrz na jego ręce! Jego ramiona! W tłumie były też i ciche, groźne pomruki: – Kull. Przeklęty uzurpator z tych pogańskich wysepek.

– Tak. Ten barbarzyńca na tronie to jawna hańba dla Valusii...

Król nie reagował. Swą silną dłonią zagarnął chylące się ku upadkowi królestwo. Utrzymał je tylko dzięki swej twardości, sam przeciw narodowi.

W pałacu spędził część czasu w sali przyjęć. Tam starannie kryjąc znudzenie odpowiadał na zwyczajowe pochlebstwa księżąt i dam. Potem, gdy wszyscy odeszli, rozparł się na obitym gronostajami tronie i zamyślił nad sprawami kraju. Rozmyślenia przerwał ktoś ze służby. Po otrzymaniu pozwolenia na zabranie głosu w obecności władcy, zaanonsował przybycie posłańca z ambasady Piktów.

Kull z wysiłkiem oderwawszy się od skomplikowanych labiryntów valusyjskiej polityki, bez sympatii spojrział na Pikta. Posłańcem był wojownik średniego wzrostu o szerokich ramionach i charakterystycznej dla całej rasy ciemnej karnacji. Z kamiennej twarzy patrzyły na króla nieprzeniknione, czarne oczy.

– Wódz Rady, Ka–nu, prawa ręka króla Piktów, przesyła Ci pozdrowienia i wiadomość: „Na uczcie wschodzącego księżyca jest tron dla Kulla, króla królów, pana panów, imperatora Valusii”.

– Dobrze – odrzekł Kull. – Przekaż Ka–nu Sędziwemu, ambasadorowi Wyp Zachodnich, że władca Valusii napije się wina przy jego stole. Przybędę, kiedy księżyc wzejdzie nad wzgórzami Zalgary.

Po przekazaniu wieści Pikt zwlekał z odejściem.

– Mam też wiadomość dla samego króla, nie... – tu wzgardliwie machnął ręką – dla tych niewolników.

Kull odprawił służbę jednym słowem i spojrzał uważnie na posłańca.

Mężczyzna podszedł do króla i zniżył głos.

– Przybądź sam na dzisiejszą ucztę, panie. Takie są słowa mojego wodza.

Oczy króla zabłyśły zimnymi jak stal miecza ogniami.

– Sam?

– Tak.

Przez chwilę obydwaj patrzyli na siebie w milczeniu. Pod płaszczykiem etykiety burzyła się ich wzajemna, plemienna nienawiść. Wypowiadali się gładkimi frazami, operowali konwencjonalnymi, dworskimi zwrotami cywilizowanej rasy. Nie była to jednak ich rasa. Dlatego w oczach ciągle lśniła dawna, żywiołowa dzikość. Kull był władcą Valusii. Pikt był posłem na jego dworze. Ale w sali przyjęć spotkali się po prostu dwaj barbarzyńcy. Obaj słyszeli jeszcze w uszach szepty upiorów minionych wojen i starej jak świat nienawiści.

Przewaga była po stronie króla. Ten rozkoszował się nią w całej pełni. Z głową opartą na dłoni spoglądał na stojącego jak kamienny posąg posła.

Na usta Kulla wpłynął drwiący uśmiech.

– Tak więc mam przyjść... sam? – to cywilizacja nauczyła go tonu, na którego dźwięk oczy Pikta groźnie zabłyśły. Nic jednak nie odparł. – Skąd mam mieć pewność, iż na prawdę jesteś wysłannikiem Ka–nu?

– Powiedziałem – zabrzmiała ponura odpowiedź.

– Od kiedy to Piktowie mówią tylko prawdę? – Kull doskonale wiedział, że naród ten nigdy nie kłamie. Chciał tylko zirytować rozmówcę.

– Wiem co zamierzasz, królu – odrzekł niewzruszony poseł. – Chcesz mnie rozgniewać. Na Valkę, nie musisz dalej próbować. Jestem już wystarczająco zły. Wyzywam cię na walkę z włócznią, mieczem lub sztyletem. Pieszo lub konno. Jesteś królem czy mężczyzną?

Kull spojrzał z podziwem, jaki każdy prawdziwy wojownik odczuwa dla odwagi, nawet dla odwagi wroga, na Pikta. Tym niemniej nie przepuścił okazji, aby jeszcze bardziej zdenerwować posłańca.

– Król nie przyjmuje wyzwania od bezimiennego dzikusa – rzekł drwiąco. – Król Valusii nie narusza także Prawa Nietykalności Posła. Możesz odejść. Przekaż Ka–nu, że przybędę. Sam!

Oczy Pikta zaślnęły morderczym blaskiem. Barbarzyńca cały aż drżał od pierwotnej żądy krwi. Poseł bez słowa odwrócił się i przeszedł przez Salę Przyjęć. Po chwili zniknął za ogromnymi drzwiami.

Kull rozparł się na tronie i zamyślił.

Wódz Rady Piktów pragnął, by król przybył sam. Dlaczego? Czyżby nowy spisek? Kull położył dłoń na rękojeści długiego miecza. Piktowie zbyt sobie cenili przymierze z Valusią, by je zerwać dla jakichś zadawnionych uraz. Oczywiście Kull był dla nich wojownikiem z Atlantydy. Odwiecznym wrogiem wszystkich Piktów. Mimo tego był też władcą Valusii i najpotężniejszym sojusznikiem Ludzi Zachodu.

Król długo jeszcze rozmyślał nad dziwnym biegiem zdarzeń. Los uczynił go wrogiem dawnych przyjaciół i sprzymierzeńcem starych wrogów. Wstał: i miarowym krokiem zaczął przemierzać salę szybkim, bezgłośnym krokiem lwa. By zaspokoić ambicje, zerwał więzy przyjaźni i z tradycją rodu. I, na Valkę, boga morza i lądu, udało mu się to! Był królem Valusii – zdegenerowanej, chylącej się ku upadkowi, żyjącej

wspomnieniami dawnej chwały. Mimo to jego kraj był potężny, chyba najpotężniejszy z Siedmiu Imperiów. Valusia – Kraina Snów, taka była jej nazwa w rodzinnym plemienu Kulla Często wydawało mu się, że naprawdę żyje we śnie. Zaskakiwały go dworskie intrygi, pałace, armia i lud. To było jak maskarada, gdy prawdziwe oblicza mężczyzn i kobiet skryte są pod uśmiechniętymi maskami. Przecież zdobycie tronu było tak łatwe. Wystarczyło skorzystać z nadarzającej się okazji. Potem już tylko świst miecza i śmierć tyrana wyczekiwana przez wszystkich. Pozostały jedynie umiejętnie rozmowy z ambitnymi, pozbawionymi łask u dworu politykami. I nareszcie Kull, wędrowny awanturник, uciekinier z Atlantydy wspiął się, na wydawałoby się niebotyczne, stopnie tronu, o którym marzył. Został władcą Valusii, królem królów. Dopiero teraz zobaczył jednak, jak trudno jest utrzymać władzę. Może nawet trudniej niż ją zdobyć. Widok Pikta wywołała z jego młodzieńczej pamięci stare zwyczaje i dzikość dzieciństwa Znowu poczuł dziwny niepokój, który opanowywał go ostatnio. Kim właściwie jest: prostak z gór rządzący rasą o starożytniej wiedzy i odwiecznych tajemnicach? Prastary naród...

– Jestem Kull! – powiedział, do siebie, butnie wznosząc głowę. – Kull!

Przebiegł wzrokiem po sali i pewność siebie opuściła go... W ciemnym kącie obicie na ścianie nieznacznie poruszyło się.

2. I przemówiły milczące dworce Valusii

Księżyc jeszcze nie wzeszedł i ogród oświetlony był tylko przez płonące pochodnie, trzymane w srebrnych uchwytach. Kull usiadł przy stole Ka-nu, ambasadora Wysp Zachodnich. Sędziwy Pikt siedział po jego prawej stronie. Nie przypominał on posła owej dzikiej rasy. Ka-nu był

przebiegłym dyplomata, który postarzał się wśród rozgrywek polityków. Ani pierwotna nienawiść, ani plemienne tradycje nie wpływały na jego decyzje. Obcował przez całe lata z przedstawicielami bardziej cywilizowanych narodów i nauczył się zrywać sieci przesądów. Jego umysł zajmowało nie pytanie: „Kim i czym jest ten człowiek?”, ale: „Czy i jak można go wykorzystać?”. Do realizacji swoich, własnych planów używał starych, plemiennych sposobów.

Kull odpowiadał na grzeczne pytania Ka–nu i zastanawiał się, czy on sam nie stanie się kiedyś taki, jak ten stary Pikt. Ka–nu był stary i zniewieściały. Już wiele lat minęło od czasu, kiedy ostami raz trzymał w ręku miecz. Owszem, był stary, ale król widział wielu starszych od niego, walczących w pierwszym szeregu. Piktowie byli długowieczną rasą.

Za plecami Ka–nu stała – napełniając puchar – dziewczyna o niezwykłej urodzie. Nie miała zbyt wiele czasu na odpoczynek. Ka–nu sypał żartami i anegdotami jak z rękawa. Kull nie przepuszczał ani jednego słowa z jego ciętych dowcipów, pogardzając jednocześnie w duchu nadmierną gadatliwością Pikta.

W uczcie uczestniczyli również inni wodzowie i politycy należący do rasy Piktów. Ci ostatni zachowywali się z niewymuszoną niczym swobodą, a żołnierze, mimo że na pozór uprzejmi, tłumili w sobie dawne urazy. Mimo tego Kull z zazdrością obserwował panujące tu obyczaje, tak odmienne od tych, z Valusii. Taka swoboda panowała na Atlantydzie, w ich prymitywnych obozowiskach. Kull wzruszył ramionami. Cóż, Ka–nu ma rację w tym, iż zdaje się zapominać, że jest Piktem. On, Kull, powinien stać się Valusyjczykiem nie tylko z nazwy.

Kiedy w końcu księżyc stanął w zenicie, Ka–nu, zjadłszy więcej niż którykolwiek z trzech razem wziętych gości, odetchnął z ulgą i rozparł się na sofie.

– Teraz odejdźcie, przyjaciele – powiedział. – Mamy z królem do omówienia sprawy, o których żadne z dzieci nie powinno wiedzieć. Tak, ty też odejdz, moja piękna. Niech no tylko ucałuję twoje słodkie usteczka... o tak, a teraz zmykaj, mój pączku róży.

Ka–nu obserwował badawczym wzrokiem znad swej siwej brody Kulla. Ten siedział sztywno, z ponurą miną.

– Sądziś więc, Kullu – odezwał się nagle stary polityk – że Ka–nu to stary, bezmyślny rozpustnik, który potrafi tylko żłopać wino i całować dziewczki?

Ta uwaga pokrywała się dokładnie z tym, co właśnie myślał. Tym nie mniej nie dał po sobie niczego poznać.

– Wino jest czerwone, a dziewczki są piękne, ale... ha! ha!... niech nie przemknie ci przez umysł myśl, że Ka–nu pozwoli, aby któraś z tych rzeczy miała wpływ na jego interesy.

Zarechotał głośno, a jego wielki brzuch zatrzęsł się w takt śmiechu. Kull poruszył się niespokojnie. To wyglądało na grę. Oczy króla zaczęły rzucać groźne błyski.

Ambasador sięgnął po dzban. Napełnił swój kielich i pytająco spojrzął na gościa. Kull przecząco pokręcił głową.

– Cóż – rzekł nie speszony Ka–nu – trudno starej głowie wytrzymać mocne trunki. Starzeję się, dlatego więc miałbym pozostawiać młodym, tych kilka przyjemności, które tacy starszankowie jak my, mogą jeszcze znaleźć? Tak, tak. Robię się stary, zmęczony, smutny i samotny.

Wygląd Pikta przeczył jego słowom. Rumiana twarz lśniła, oczy błyszczały tak młodo, że siwa broda wyglądała nieco dziwnie. Rzeczywiście nieźle wygląda, pomyślał trochę urażony Kull. Ten stary łajdak stracił wszystkie cechy swojej i Kulla rasy. Mimo to miał przyjemniejszą niż wielu innych starość.

– Słuchaj więc – rzekł w końcu Ka–nu, unosząc znacząco palec. – To wielkie ryzyko, wychwalać młodzieńca podczas jego obecności. Muszę jednakże powiedzieć, co myślę o tobie. Inaczej nigdy nie zdobędę twego zaufania.

– Jeśli pragniesz je zyskać dzięki pochlebstwom, to...

– Uspokój się. Kto tu mówi o pochlebstwach? Pochlebiam tylko tym, których chcę zmylić.

Oczy Ka–nu rozbłysły zimnym błyskiem, który nie pasował do kpiącego uśmiechu. Stary lis znał się na ludziach i dobrze wiedział, żeby osiągnąć swój cel, musi z tym barbarzyńskim tygrysem postępować otwarcie. Tamten bowiem wyczuje każdy fałsz ukryty pomiędzy pajęczyną słów, jak wilk czujący pułapkę.

– Masz wystarczająco dużo sił – rzekł, starannie dobierając słowa, niż gdy przemawiał na plemiennych zebraniach – by stać się najpotężniejszym królem, by odbudować, przynajmniej w pewnej części, dawną potęgę Valusii. Tak. Ale Valusia mnie nie interesuje, choć wino i kobiety są tu wspaniałe. Interesuje mnie tylko tyle, że im ona jest silniejsza, tym silniejsi są Piktowie. A z kimś z Atlantydów na tronie, może zjednoczyć całą Atlantyde...

Kull zaśmiał się ze smutkiem. Ka–nu poruszał stare rany.

– Atlantyda przeklęła moje imię, gdy wyruszyłem po sławę i szczęście w te strony. My... oni są odwiecznymi wrogami Siedmiu Imperiów. A jeszcze bardziej nienawidzą ich sojuszników. Powinieneś o tym wiedzieć.

Ka–nu gładził brodę uśmiechając się tajemniczo.

– Zostawmy to. Ale wiem, co mówię. Wojny się kończą, gdy nie przynoszą korzyści. Widzę, że otwiera się przed nami epoka pokoju i dobrobytu. Epoka, w której ludzie będą kochali swych bliźnich. Nadchodzi

zwycięstwo dobra nad złem. Może tobie uda się to zrealizować... O ile jeszcze będziesz żył.

– Ha! – Kull wyciągnął miecz i wstał z oszłamiającą prędkością.

Ka–nu, który oceniał ludzi tak, jak niektórzy taksują konie, poczuł, jak szybciej bije mu serce. Valko, cóż to za wojownik! Nerwy i ścięgna ze stali, doskonale skoordynowane ruchy, instynkt walki. Kull miał wszystko to, co czyni wojownika niezwyciężonym w boju.

Żadna z tych myśli nie pojawiła się w pełnym sarkazmu tonie Ka–nu.

– Uspokój się. Usiądź i spójrz wokół. Ogród jest pusty. Przy stole jesteśmy tylko my i nie ma nikogo więcej. Chyba mnie się nie boisz?

Kull usiadł patrząc badawczo wokół.

– Odezwała się w tobie dzika dusza – stwierdził ambasador. – Zastanów się, gdybym naprawdę chciał cię zabić, to czy wybrałbym miejsce, gdzie wszystkie podejrzenia spadłyby na mnie? Ech, wy, młodzi, musicie się jeszcze wiele nauczyć. Tu siedzieli moi dowódcy. Czuli się źle, bo wiedzieli, że siedzisz tu i ty, który pochodzisz ze wzgórz Atlantydy. Ty z kolei, pogardzasz mną, bo jestem Piktem. Lecz ja widzę, iż jesteś Kullem, władcą Valusii, a nie lekkomyślnym Atlantydą, wodzem najemników, którzy pustoszyli Zachodnie Wyspy. Ty również powinieneś zrozumieć, że jestem człowiekiem nie należącym do żadnej rasy, obywatelem świata. Wracając do sprawy. Co by się stało, gdybyś zginął jutro? Kto zostałby królem?

– Kaanuub, baron Blaal.

– No tak. Mam wiele zastrzeżeń co do jego osoby. Najważniejszym z nich jest to, że jest tylko marionetką w rękach innych.

– Jak? Był moim największym z przeciwników. Nigdy nie przypuszczałem, że reprezentuje jakieś inne interesy poza swoimi.

– Noc ma uszy – odrzekł Ka–nu pozornie bez związku. – Istnieją światy wewnątrz tego. Mnie możesz zaufać. Możesz też zaufać Brule włócznikowi–zabójcy. Spójrz.

Na jego wyciągniętej dłoni, leżała bransoleta w kształcie skrzydlatego, zwiniętego smoka z trzema rogami z rubinu na głowie.

– Przyjrzyj się jej dobrze. Kiedy Brule przyjdzie jutro nocą do ciebie, będzie ją miał na ramieniu. Poznasz go po tym. Ufaj mu tak, jak sobie. Zrób wszystko, co ci powie. A na dowód mojej uczciwości... spójrz!

Z niesamowitą szybkością Ka–nu wyciągnął coś spomiędzy fałdów swej szaty. To coś rozblęskło magicznym, zielonkawym blaskiem. Ambasador schował to natychmiast.

– Skradziony skarb! – krzyknął zdumiony Kull. – Zielony klejnot ze Świątyni Węża! Na Valkę! A więc to ty! Ale dlaczego mi go pokazałeś?

– Aby uratować ci życie. Żebyś mi zaufał. Jeżeli zawiodę twoje zaufanie, zrobisz co zechcesz. Moje życie jest w twoich rękach. Teraz nie mogę cię oszukać, bowiem jedno twoje słowo, będzie wyrokiem śmierci na mnie.

Mimo tych słów, stary lis był zadowolony. Był z siebie dumny.

– Ale po cóż dajesz mi władzę nad sobą? – spytał coraz bardziej zaskoczony Kull.

– Już powiedziałem. Widzisz więc teraz, że jestem z tobą uczciwy. A kiedy jutro w nocy, Brule przyjdzie do twojego pałacu, postępuj zgodnie z jego radą. Nie obawiaj się zdrady. Dość na tym. Panie, eskorta czeka u bram. Odprowadzi cię do pałacu.

Kull wstał.

– Właściwie nic mi nie powiedziałeś.

– Jacy niecierpliwi są ci młodzi – Ka–nu bardziej niż kiedykolwiek przypominał grubego, rubasznego elfa. – Idź już i śnij o tronach, armiach i

królestwach. A ja będę śnił o winie, kobietach i różach. Niech ci sprzyja szczęście, królu.

Wychodząc z ogrodów Kull, obejrzał się raz jeszcze. Ka–nu siedział rozparty wygodnie na sofie. Promieniował jowialnością.

Wojownik na koniu oczekiwał tuż przy wyjściu. Kull zdziwił się, gdy stwierdził że to ten sam, który przyniósł mu zaproszenie na ucztę. Wskoczył na siodło. Podczas całej drogi przez puste ulice nie zamienili ani słowa.

Barwę i hałas dnia, zastąpiła tajemnicza cisza nocy. W srebrnym świetle księżycy o wiele bardziej niż w jasnych promieniach słońca wyczuwało się wiek miasta. Potężne kolumny w rezydencjach i pałacach sięgały gwiazd. Szerokie schody, ciche i puste, wznosiły się wysoko, znikając wśród cieni niebieskich sfer. „Schody do gwiazd”, pomyślał Kull. Tajemniczy splendor tych widoków pobudził jego wyobraźnię.

Klik! Klik! Klik! Srebrne podkowy dzwoniły na ulicach, które zalane były srebrnym światłem księżycy. Tylko ich stukot słychać było w ciszy nocy. Poważny wiek miasta przytłaczał. Kull prawie słyszał, jak ogromne, ciche budynki śmieją się z niego drwiąco, bezgłośnie. Jakie skrywały tajemnice?

„Jesteś młody”, mówiły do niego okoliczne pałace i świątynie, „a my jesteśmy stare. Kiedy nas budowano, świat był jeszcze młody. Kiedy ty i twoje plemię przeminą, my będziemy trwać; niezniszczone i niepokonane. Widziałyśmy dziwny świat, zanim jeszcze Lemuria i Atlantyda wynurzyły się z morza. A kiedy zielone fale pokryją wielokilometrową warstwą wieże Lemurii i góry Atlantydy, kiedy wyspy Ludzi Zachodu staną się górami nowego lądu, my wciąż będziemy trwać. Wielu władców przejeżdżało tędy. Kull był wtedy tylko snem Ka, Ptaka Tworzenia. Kullu z Atlantydy, przyjdą po tobie więksi, tak jak i więksi byli przed tobą. Teraz są zapomniani,

pozostał z nich jedynie proch. A my wciąż stoimy, trwamy. Jedź, jedź Kullu z Atlantydy, królu Kullu, Kullu głupcze!”.

Zdawało się, że podkowy konia Kulla podjęły ten niewypowiedziany refren. W ciszy nocy wybijały ten drwiący rym: „Król Kull! Kull głupiec! Świeć księżycu oświetlający królewską drogę! Błyszczcie gwiazdy, pochodnie na drodze imperatora! Dzwoncie podkowy, oto jedzie Kull! Hej! Zbudź się Valusio! Oto jedzie twój władca – Kull! Widziałyśmy już tak wielu innych królów”, mówiły milczące domy Valusii.

W końcu Kull dotarł do pałacu. Jego gwardia, Czerwoni Zabójcy, wybiegli, by chwycić wodze rumaka i odprowadzić króla na spoczynek. Pikt nie wypowiedziawszy ani słowa, pociągnął za cugle zawróciwszy w miejscu wierzchowca. Jak widmo zniknął pośród mroków nocy. Kull wyobraził sobie jadącego przez ciche ulice Pikta, ducha z Przeszłego Świata.

Nie spał tej nocy. Świt nadchodził, podczas gdy on chodził po sali tronowej, myśląc o wszystkim, co się ostatnio zdarzyło. Ka–nu nie powiedział w zasadzie niczego, a mimo to oddał się prawie całkowicie w jego ręce. Co myślał, mówiąc że baron Blaal jest jedynie marionetką? Któż to taki ten Brule, który ma przybyć nocą z tajemniczą bransoletą w kształcie smoka? I dlaczego Ka–nu pokazał mu klejnot grozy, skradziony wiele lat temu ze Świątyni Węża? Cały świat ogarnęłaby wojna, gdyby straszni kapłani tej świątyni, dowiedzieli się o tym. Ka–nu nie ochroniliby przed ich zemstą nawet jego waleczni współplemieńcy. Ale on wiedział, że jest bezpieczny, stwierdził Kull. Był dobrym dyplomatą i bez powodu nie wystawiłby się na takie ryzyko. A może to tylko pretekst? Może Ka–nu chce odsunąć króla od gwardii? Może to jakiś spisek? Czy Ka–nu pozostawi go teraz żywego? Kull wzruszył tylko ramionami.

3. Ci, którzy przybywają o zmroku

Księżyc nie pojawił się jeszcze na niebie, kiedy Kull, z dłonią na rękojeści miecza wyjrzał przez okno. Widok jaki ukazał się jego oczom to pusty o tej porze, wewnętrzny, pałacowy ogród. Ścieżki i alejki wyglądały na opuszczone, a starannie przycinane drzewa zmieniły się w niewyraźne cienie. Z fontann tryskały srebrne w świetle gwiazd strumyczki. Dobiegał z nich cichy szmer. Żadni strażnicy nie pilnowali ogrodu. Znajdował się on tak blisko strzeżonych murów, iż nieprawdopodobne wydawało się wtargnięcie jakiegokolwiek intruza.

Po ścianach pałacu pięły się winoroślą. Kull zastanawiał się właśnie, jak proste byłoby wdrapanie się po nich na górę, gdy jakiś cień wynurzył się z ciemności pod oknem. Nagie, brązowe ramię sięgnęło za parapet. Długi miecz władcy błysnął, wstrzymany w trakcie wyciągania z pochwy. Na muskularnym ramieniu przybysza lśniła bransoleta w kształcie smoka. Taką ozdobę pokazywał Kullowi zeszłej nocy Ka–nu.

Ze zwinnością leoparda całe ciało intruza przedostało się przez parapet i dostało do komnaty.

– Ty jesteś Brule? – zapytał król i zamarł zaskoczony. Poczł przyplw podejrziwości i irytacji. Przybysz był tym samym człowiekiem, którego wykpił w sali przyjęć, i który eskortował go w drodze z ambasady Piktów.

– Ja jestem Brule, włócznik – zabójca – odrzekł ostrożnie. Po czym z bliska spojrzł w twarz Kulla i szepnął: – *Ka nama kaa lajerama!*

Kull zdziwił się.

– Cóż to znaczy?

– Czyżbyś nie wiedział?

– Nie wiem. Słowa są obce, nie pochodzą z żadnego ze znanych mi języków... A jednak, na Valkę... Gdzieś musiałem je już słyszeć...

– Zgadza się – był to jedyny komentarz. Pikt rozejrzał się po komnacie będącej w pałacu pokojem studiów. Nie znajdowało się w niej nic, poza kilkoma stołami, sofą i dwiema wielkimi szafami, pełnymi spisanych na pergaminie ksiąg. W porównaniu z pełnymi przepychu, pozostałymi pomieszczeniami pałacu, to wydawało się aż nagie.

– Powiedz, panie, kto strzeże drzwi?

– Osiemnastu Czerwonych Zabójców. Ale zdradź mi, jak tutaj wszedłeś? W jaki sposób przedostałeś się przez ogrody i jak wdrapałeś się na mur?

Brule uśmiechnął się drwiąco.

– Valusyjscy wartownicy są jak ślepe bawoły. Mógłbym porwać im dziewczki sprzed samych łądźwi. Przeszedłem pomiędzy nimi, a oni nie zobaczyli mnie i nie usłyszeli. Jeśli chodzi o mury... to wszedłbym na nie i bez pomocy winorośli. Kiedyś ścigałem tygrysy na wybrzeżach, gdzie wschodni wiatr przywiewa mgłę z morza. Wspinałem się na górskie urwiska na wyspach zachodnich. Lecz chodźmy już... nie, wpierw dotknij tej bransolety.

Wyciągnął rękę, a gdy zaskoczony Kull wykonał polecenie, odetchnął z wyraźną ulgą.

– Dobrze. Zrzuć teraz te królewskie szatki. Dzisiejszej nocy czekają cię czyny, o których nie marzył żaden z Atlantydów.

Brule miał na sobie jedynie wąską przepaskę biodrową za którą zatknięty został krótki, zakrzywiony miecz.

– Kim jesteś, żebyś mi rozkazywał? – spytał urażonym tonem Kull.

– Czyż Ka–nu nie prosił cię, żebyś mnie słuchał? – warknął zirytowany Pikt. – Wiedz, panie, iż nie czuję do ciebie przyjaźni. Na razie jednak

odsunąłem myśl o walce z tobą. Lepiej, byś uczynił podobnie. A teraz ruszajmy.

Bez żadnego dźwięku podeszli do drzwi. Niewielki otwór pozwalał wyglądać na zewnętrzny korytarz w ten sposób, że sam patrzący nie mógł być widziany. Brule gestem wezwał Kulla do spojrzenia.

– Co widzisz?

– Nic. Tylko osiemnastu gwardzistów.

Pikt skinął głową i pociągnął Kulla za sobą. Stał dopiero przy przeciwległej ścianie. Przez chwilę manipulował przy boazerii. Po chwili wycofał się wyciągając jednocześnie miecz. Król zdumiony sapnął, gdy fragment ściany odsunął się i odsłonił słabo oświetlony korytarz.

– Tajemne przejście! – stwierdził cicho. – A ja nic o tym nie wiedziałem. Na, Valkę, ktoś zapłaci mi za to.

– Ciszej! – syknął Brule.

Stał nieruchomo, każdym nerwem łowiąc najlżejszy bodaj szelest. W jego sylwetce było coś, co sprawiło, iż Kullowi włosy zjeżyły się nagłowię. Nie był to lęk, lecz jakieś niejasne, ponure przeczucie. Brule skinął głową i razem, nie zamykając ich przeszli przez ukryte drzwi. Korytarz za wejściem był pusty. Nie było w nim ani odrobiny kurzu, co niewymownie świadczyło, że nie jest on zapomnianym, od dawna nie używanym już przejściem. Źródło słabego światła pozostało niewidoczne. Co kilka metrów w ścianach były drzwi. Z zewnątrz były zapewne ukryte, ale od środka aż nazbyt widoczne.

– Ten pałac jest jak plaster miodu – mruknął Kull.

– Tak. Wiele oczu obserwuje cię, królu, dniem i nocą.

Kull był pod wrażeniem sposobu poruszania się Brule. Pikt stąpał powoli, uważnie stawiając stopy. W ręku ciągle trzymał nisko wysunięty do

przodu miecz. Rzucił na wszystkie strony niespokojne spojrzenia i mówił szeptem.

Korytarz skręcił ostro. Brule ostrożnie wyjrzał zza węgła.

– Patrz – szepnął. – Lecz pamiętaj: ani słowa, ni dźwięku!... Chodzi o nasze życie.

Kull ostrożnie zerknął. Zaraz za rogiem zaczynały się prowadzące w dół schody. Spojrzał tam i zadrżał. U podnóża schodów leżało osiemnastu Czerwonych Zabójców, wyznaczonych do pilnowania jego komnat. Tylko silna dłoń Brule i jego zdenerwowany szept powstrzymały Kulla przed pomknięciem na dół.

– Cicho, Kullu! Cicho, w imię Valki – szepnął Pikt. – Korytarze są teraz puste, ale wiele ryzykowałem, żeby móc ci to pokazać. Dopiero teraz uwierzysz w to co ci powiem. Wracajmy do pokoju studiów.

Zawrócił, a oszołomiony widokiem, niczego nie rozumiejący Kull ruszył za nim.

– To zdrada – mruzczał do siebie. – Obrzydliwy spisek. I to jak szybko przeprowadzony. Przecież jeszcze kilka minut temu ci ludzie stali na warcie.

W pokoju studiów Brule starannie zamknął sekretne przejście. Potem kiwnął na króla, by ten ponownie wyjrzał przez otwór w drzwiach. Kull zrobił to i westchnął zdumiony. Przed drzwiami znowu stało osiemnastu gwardzistów!

– To czary! – szepnął, na wpół wyciągając miecz. – Czy to zmarli strzegą władcy?

– Tak! – doszła do jego uszu odpowiedź Pikta. Przez moment patrzyli sobie w oczy. Kull zmarszczył czoło usiłując wyczytać coś z twarzy towarzysza. W końcu wargi Brule bezgłośnie uformowały słowa: – Waż... który... mówi!

– Cicho! – wyszeptał Kull zasłaniając mu usta dłonią. – To śmierć mówić coś takiego! Te wersy są przeklęte!

Pikt patrzył spokojnie na króla.

– Wyjrzyj jeszcze raz, królu Kullu. Może była zmiana wart.

– Nie, to ci sami ludzie. Na Valkę, to magia... to szaleństwo! Na własne oczy widziałem ciała tych gwardzistów. Minęła zaledwie chwila. A jednak stoją tutaj.

Brule odstepił od drzwi, Kull machinalnie zrobił to samo.

– Kullu, co wiesz o tradycjach rasy, którą władasz?

– Dużo... a zarazem mało. Valusia jest tak stara...

– Tak – oczy Brule zaśniły dziwnym blaskiem. – My jesteśmy barbarzyńcami, dziećmi wobec Siedmiu Imperiów. Ani ludzka pamięć, ani kroniki nie sięgają na tyle w przeszłość, by powiedzieć, kiedy pierwsi ludzie wyszli z morza i zbudowali miasta nad brzegami. Wiedz jednak, iż nie zawsze ludzie władali ludźmi!

Król drgnął. Spojrzenia obu wojowników spotkały się.

– Istnieje legenda wśród mego ludu...

– Mojego także! – przerwał Brule. – Wydarzyło się to zanim my, lud z wysp zawarliśmy sojusz z Valusią, za panowania Lwiego Kła, siódmego wodza Piktów. Tak wiele lat temu, iż nikt już nie pamięta ile. Wyruszyliśmy z Wysp Zachodzącego Słońca, przepłynęliśmy morze i omijając brzegi Atlantydy z ogniem i mieczem ruszyliśmy na wybrzeża Valusii. Biel plaży rozbrzmiała szczeniem walki, noce były jasne jak dni od blasku płonących zamków. A król, król Valusii, który padł na krwistoczerwony piach tego mrocznego dnia... – głos wojownika ucichł. Przez moment obaj mężczyźni spoglądali bez słów na siebie. Skłonili głowy.

– Valusia jest prastara! – szepnął na koniec Kull. – W czasach, gdy Valusia była młodą wzgórzem Atlantydy i Mu były wyspami na oceanie.

Nocny podmuch wiatru wleciał przez okno. Był przesiąknięty wonią dawno zapomnianych historii, a nie znaną Brule i Kullowi wilgotną bryzą znad morza. Jak szepty z odległej przeszłości, opowiadał o tajemnicach starych już wtedy, kiedy sam świat był młody.

Zasłony poruszyły się. Kull poczuł się przez chwilę jak nagie dziecko wobec niezgłębionej wiedzy przeszłości. Oczyma wyobraźni dostrzegł stojące obok upiory, szepczące mu straszliwe opowieści. Wiedział, iż przez myśli Brule przemykają podobne rozmyślenia. Oczy Pikta były w nim utkwione. Odpowiedział mu spojrzeniem. Duszę władcy przeppełniło zadziwiające jego samego poczucie jedności z tym wrogiem jego plemienia. Obaj barbarzyńcy byli jak dwa rywalizujące ze sobą leopardy, które, gdy wpadły w pułapkę, razem ruszają na myśliwych. W ten sposób wojownicy zjednoczyli swe siły przeciw nieludzkim potęgom przeszłości.

Po chwili Brule ponownie otworzył tajemne przejście. Cicho ruszyli korytarzem tym razem jednak w innym kierunku. Po krótkim marszu stanęli i Pikt pokazał na inne sekretne drzwi.

– Z tego miejsca widać rzadko używane schody, które prowadzą na korytarz biegnący obok pokoju studiów.

Wyjrzeli przez ukryty otwór i prawie w tej samej chwili na schodach pojawił się ciemny kształt.

– To Tu, przewodniczący rady! – syknął Kull. – W nocy, ze sztyletem w dłoni! Cóż to ma znaczyć?

– Zabójstwo! Zamach! – szepnął Brule. – Stój! – Kull miał już zamiar otworzyć drzwi i wyskoczyć na zewnątrz. – Będziemy zgubieni, jeśli chcesz się z nim spotkać tutaj. Tam w ciemnościach, u stóp schodów, czeka ich więcej. Chodźmy.

Prawie biegiem wrócili do pokoju studiów. Brule zatrzasnął dokładnie ukryte przejście i pociągnął Kulla do mało używanej sąsiedniej komnaty.

Tam rozgarnął zasłony w rogu i obaj ukryli się za nimi. Minuty wlokły się bez końca. Kull słyszał szum przeciągów w pomieszczeniu obok. W jego uszach brzmiał on jak szepty duchów. W końcu, skradając się, wkradł się do komnaty Tu, Przewodniczący Rady. Najpewniej, gdy stwierdził, że w pokoju studiów nie ma nikogo, doszedł do wniosku, iż jego ofiara znajduje się właśnie tutaj.

Wszedł cicho, z uniesionym do ciosu sztyletem, zatrzymał się i rozejrzał po opustoszałej na pozór komnacie. Samotna świeca słabo oświetlała pomieszczenie. Zabójca powoli ruszył dalej, najwyraźniej nie pojmując nieobecności władcy. Po chwili zawahał się i stanął przed kryjówką wojowników... i...

– Zabij! – syknął Brule.

Jednym skokiem Kull wyprysnął z ukrycia. Tu odwrócił się, lecz przy takiej szybkości ataku nie miał najmniejszych szans na obronę. Ostrze miecza zabłysło z migotliwym światłem i zgrzytnęło na kości. Tu upadł na plecy z bronią Kulla sterczącą w jego piersi.

Władca spojrzał na pokonanego. Twarz Tu stała się mglista i niewyraźna. Kontury rysów drżały i falowały. Potem, jak ściągnięta maska, twarz Przewodniczącego Rady Koronnej zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się patrząca trupim wzrokiem głowa przerażającego węża!

– O Valko! – jęknął Kull. Zimy pot pokrył mu czoło. – Valko! – powtórzył.

Do króla podszedł Brule. Rysy twarzy miał jak zwykle kamienne, lecz w jego oczach odbijało się przerażenie Kulla.

– Zabierz swoją broń, panie – powiedział. – Wiele mamy jeszcze do zrobienia tej nocy.

Z wahaniem Kull dotknął rękojeści miecza. Gdy postawił stopę na piersiach leżącego stwora, poczuł lodowaty dreszcz. Gdy, przez jakąś

niepojętą reakcją nie zeszywniałych mięśni stworza, straszny pysk rozchylił się szeroko, cofnął się z obrzydzeniem. Chwilę potem, jakby zagniewany na siebie, wyrwał miecz i z bliska przyjrzał się nieznanemu stworzeniu. Znał je jedynie jako kopię Tu, Przewodniczącego Rady. Poza głową, ciało nie różniło się niczym od ludzkiego.

– Człowiek z głową węża! – mruknął. – Więc jest to kapłan boga-węża?

– Tak. Prawdziwy Tu śpi i nie zdaje sobie z niczego sprawy. Te potwory umieją przybrać jakąkolwiek postać. Znaczą się przy pomocy jakiegoś zaklęcia, rozpinają nad twarzą zasłonę magii tak, jak aktor zakłada maskę. Mogą wyglądać jak tylko zapragną.

– A więc stare legendy nie kłamią – westchnął Kull. – Te ponure opowieści, które tylko nieliczni mają odwagę powtarzać, bowiem mogą zostać posądzeni o bluźnierstwo i skazani na śmierć, są prawdziwe. To nie czysta fantazja. Domyślałem się tego, spodziewałem... lecz ciągle mam wrażenie, że jest to niemożliwe. Hej! Warta przy drzwiach...

– To też ludzie-węże. Stój! Co chcesz uczynić?

– Wybić ich! – warknął przez zaciśnięte zęby Kull.

– Jeśli już musisz to zawsze uderzaj w głowę – stwierdził Brule. – Osiemnastu z nich czeka pod drzwiami, znacznie więcej czai się pewnie w korytarzu. Ka-nu jakoś dowiedział się o spisku. Jego szpiedzy dotarli do kryjówek kapłanów węża i przynieśli wieści. Dawno temu Ka-nu odkrył tajemne przejścia w pałacu. Z jego to polecenia studiowałem plany, by ci pomóc. W innym wypadku zginąłbyś, tak jak zginęli inni królowie Valusii. Przybyłem samotnie, więcej ludzi wzbudziłoby podejrzenia. Nie byłoby poza tym wstanie przekraść się do pałacu, tak jak ja. Część spisku już widziałeś. Ludzie-węże strzegą twoich drzwi, a ten tutaj w masce Tu mógł dotrzeć do każdej części pałacu. Rano, jeżeli kapłani przegrają, prawdziwi gwardziści staną na swoich miejscach, nic nie będą wiedzieć, niczego nie

będą pamiętać. Jeśli kapłanom się uda na nich to spadnie wina. Teraz zostań tutaj na moment, ja pójdę ukryć to ciało.

Z tymi słowami Pikt bez wahania zarzucił na ramię straszny ciężar i zniknął za drzwiami. Kull został sam. Myśli wirowały mu w głowie jak oszalałe. Czczyciele potężnego Węża, jak wielu z nich kryje się w miastach? Ilu z jego zaufanych doradców, ilu z wiernych dowódców było naprawdę ludźmi? W jaki sposób można odróżnić prawdę od fałszu? Komu można zaufać?

Sekretne przejście otworzyło się i wszedł przez nie Brule.

– Szybko wróciłeś.

– Tak! – włóczęk postąpił krok do przodu i wbił wzrok w podłogę. – Tu, na dywanie, pozostała plama krwi, spójrz.

Kull pochylił się. Katem oka pochwycił jakiś ruch, błysk stali... Jak puszczone sprężyna wyprostował się. Jednocześnie wyprowadził okrutne pchnięcie z dołu. Pikt, wypuszczając z martwej już dłoni oręż zawisł na ostrzu. Król pomyślał z goryczą, iż najwyraźniej przeznaczeniem zdrajcy było zginąć od ciosu, stosowanego z upodobaniem przez wojowników z jego rasy. Brule osunął się na posadzkę i w tym samym momencie kontury jego twarzy zaczęły falować i znikać. Gdy Kull ze zjeżonym włosiem, wstrzymał oddech, ludzkie rysy twarzy rozwiały się, a na ich miejscu rozwierał pysk łeb olbrzymiego węża. Oczy jak paciorki, nawet po śmierci wpatrywały się w zabójcę z nieludzką złośliwością.

– On cały czas był kapłanem węża! – szepnął władca. – O Valko, cóż to za straszliwy plan, aby zastać mnie bez strażników! A Ka–nu, czy jest człowiekiem? Czy to z nim rozmawiałem wtedy w ogrodach? Wszechmocny Valko! – dreszcz przeszedł go, gdy doszedł do okropnych wniosków: czy ludzie w Valusii to prawdziwi ludzie, czy wszyscy oni to węże?

Stał nieruchomo nie wiedząc co uczynić. Podświadomie zarejestrował ważny szczegół: ciało zwane niegdyś Brule, nie nosiło już smoczej bransolety. Nagle usłyszał za plecami jakieś szmery. Błyskawicznie odwrócił się.

Brule wchodził przez sekretne drzwi.

– Stój! – na ramieniu wyciągniętym do góry, by powstrzymać mające opaść ostrze miecza, zaślniła bransoleta w kształcie smoka. – Valko! – Pikt przerwał. Po chwili wykrzywił usta w posępnym uśmiechu.

– Na bogów mórz! Sprytne są te demony. Musiało tak być, iż ten tutaj ukrył się w korytarzu, a gdy zobaczył jak niosę ciało tego drugiego, przybrał moją postać. Tak. Teraz trzeba się pozbyć i jego.

– Stój! – ostrzeżenie zabrzmiało w głosie Kulla. – Na moich oczach dwóch martwych ludzi zamieniło się w węże. Skąd u licha mam wiedzieć, że ty jesteś naprawdę człowiekiem?

Brule roześmiał się.

– Z dwóch powodów, królu Kullu. Żaden człowiek–wąż nie nosi tego – wskazał na bransoletę. – Żaden nie zdoła także wymówić tych słów – i Kull znów usłyszał przedziwne zdanie. – *Ka nama kaa lajerama*.

– *Ka nama kaa lajerama* – powtórzył mechanicznie. – Gdzie ja, na imię Valki, słyszałem te słowa? Nie, nigdy wcześniej ich nie słyszałem. Ale przecież... przecież...

– Tak, znasz je, Kullu – stwierdził Brule. – Kryją się w mrocznych labiryntach pamięci. Nigdy nie słyszałeś ich w tym życiu. Inne stulecia, które przeminęły, odbiły się z tak straszną mocą w twojej nieśmiertelnej duszy, że ich brzmienie zawsze będzie w stanie poruszyć ukryte struny wspomnień. Nawet wtedy, gdy w kolejnych reinkarnacjach przeżyjesz całe nadchodzące miliony lat. Zdanie to bowiem, przekazywane w tajemnicy, dotarło do nas z krwawych czasów, gdy niezliczone wieki temu, było

hasłem rodu ludzkiego. Zawołaniem walczących ze straszliwymi istotami Starego Wszechświata. Jedynie prawdziwy, z krwi i kości, człowiek może je wypowiedzieć. Jego usta i krtań mają inną budowę niż u jakiegokolwiek stworzenia. Znaczenie zapomniano lecz słowa przetrwały.

– To wszystko prawda – stwierdził Kull. – Pamiętam te opowieści... O Valko! – przerwał nagle. Niespodzianie, jakby po uchyleniu zaklętych drzwi, niezmiernie, pokryte mgłą głębie otwały się przed oczami jego duszy. Spojrzał wstecz, przez bezmiar rozdzielający, życie od życia, dostrzegając nierzeczywiste, widmowe kształty, ożywiające martwe stulecia – ludzi w walce z potworami, ludzi oczyszczających planetę ze straszliwej grozy. Na szarym, wciąż zmieniającym się tle, poruszały się dziwaczne postacie z koszmarne snu. Fantazje powstałe z szaleństwa i lęku. A człowiek, ten żart bogów, ślepy i głupi, zrodzony z prochu i obracający się w proch, kroczył długim, pokrytym krwią szlakiem swego przeznaczenia. Nie znał przyczyn, pełen okrucieństwa, wciąż Władzący, jednak z płonąca w sercu iskrą świętego ognia... Kull wstrząśnięty wizją przesunął dłonią po czole. Zawsze przerażały go te chwilowe spojrzenia w otchłanie pamięci rasowej.

– Oni odeszli – rzekł Brule, jak gdyby czytając w myślach władcy. – Kobiety–ptaki, harpie, ludzie–nietoperze, latające diabły, ludzie–wilki, demony, gobliny – wszyscy z wyjątkiem takich potworów, jak ten u naszych stóp i jeszcze kilku pozostałych ludzi–wilków. Była to długa i okrutna wojna. Minęły całe stulecia, zanim pierwsi z pierwszych ludzi, porzuciwszy małpi ród, przerodzili się w rasę do dziś panującą na świecie. W końcu jednak ludzkość wygrała. Było to tak dawno, iż przez bezmiar czasu przetrwały tylko niejasne opowieści. Ludzie–węże byli ostatni, lecz oni również zostali zwyciężeni i zepchnięci na pustynne ziemie, by żyć tam pośród prawdziwych węży aż do dnia, w którym, jak opowiadają mędrcy, ta

przerazająca rasa zniknie całkowicie. Jednak oni powrócili, ukryci w maskach. Wystarczyło, by ludzkie plemię osłabło i zapomniało o dawnych wojnach. Znowu rozpoczęła się straszliwa, okryta tajemnicą walka. Pomiedzy ludźmi Młodej Ziemi czały się przerażające stworzenia Starej Planety. Chroniły się przy pomocy swej wiedzy i sztuki, przyjmowały każdą formę, każdy kształt, by dokonywać w sekrecie budzących lęk czynów. Nikt nie wiedział, który z ludzi jest prawdziwy, który fałszywy. Ludzie nie mogli ufać sobie nawzajem. Lecz w końcu znaleźli sposoby, by odróżnić prawdę od fałszu. Swoim znakiem i sztandarem uczynili skrzydlatego smoka, latającego dinozaura, największego ze znanych wrogów węży. Słów, które usłyszałeś z moich ust, używali jako hasła i symbolu. Bowiem, jak już powiedziałem, jedynie prawdziwy człowiek jest w stanie je wymówić. I w końcu ludzkość zatryumfowała. Cóż jednak, po kolejnych latach zapomnienia, potwory powróciły. Człowiek zbyt przypomina małpę, zapominającą o rzeczach, których nie ma wciąż przed oczami. Gdy ludzkość, wśród luksusów, zapomniała o starych wierzeniach, ludzie-węże przybyli jako kapłani. I w ten sposób ukryci pod maską nauczycieli nowej, prawdziwej wiary, stworzyli potężny kult boga-węża. Teraz mają tak wielką władzę, iż samo wspomnianie starych legend o ludziach-wężach grozi śmiercią. Wszyscy natomiast pochylają głowy przed bogiem-wężem w jego nowej postaci. Ślepi głupcy, nie widzą żadnego związku pomiędzy jego potęgą, a mocą, którą ich przodkowie zmietli z powierzchni ziemi w poprzednich epokach. Jako kapłani ludzie-węże mają ogromną władzę, a jednak... – przerwał. Kull zadrżał.

– Mów dalej.

– Królowie rządzą Valusią jak ludzie – ciągnął Pikt szeptem. – A przecież, zabici w walce umierali jako węże. W ten sposób zginął ten, który padł przeszyty włócznią Lwiego Kła. Opowiadałem ci, jak my, lud z wysp

pustoszyliśmy Siedem Imperiów. W jaki sposób mogło się to wydarzyć, Kullu? Władcy rodzili się z kobiet i żyli jak ludzie! Rozwiązanie jest proste. Prawdziwi władcy ginęli w tajemnicy... tak jak ty miałeś zginąć dziś w nocy. Na ich miejscu rządzą kapłani Węża Nikt o tym nie wiedział.

Kull zaklął przez zaciśnięte zęby.

– To prawda, tak musiało być. Nie ma wśród żywych człowieka który widziałby Węża Wiadomo to od dawna. Zbyt dobrze pilnują swoich tajemnic.

– Dyplomacja w Siedmiu Imperiach jest trudną sztuką – stwierdził Brule. – Prawdziwi ludzie wiedzą, iż pomiędzy nimi skrywają się szpiegowie i sojusznicy Węża – tacy jak Kaanuub, baron Blaal. Tym niemniej nikt nie chce odkryć swoich podejrzeń, by nie paść ofiarą zemsty. Ludzie nie ufają sobie nawzajem. Dyplomaci nie mówią ze sobą o tym, o czym myślą wszyscy. Gdyby tylko mogli się upewnić, gdyby tylko przed ich oczami został zdemaskowany choć jeden człowiek–wąż, choć jedna intryga. Moc kapłanów została w połowie złamana. Wtedy ludzie zjednoczyliby się i usunęli spośród siebie zdrajców. Dotychczas jednak tylko Ka–nu ma dość wiedzy i odwagi, by walczyć z kapłanami. A nawet on dowiedział się o spisku na twe życie tylko tyle, ile mi powiedział. Co miało się stać... a co już się stało. Byłem przygotowany na ten moment. Od tej chwili musimy ufać we własne szczęście i spryt. Sądzę, iż na razie jesteśmy bezpieczni. Ludzie–wężę stojący za drzwiami nie zejną z posterunku, bo mogliby się niespodziewanie pojawić prawdziwi ludzie. Możesz być jednak pewien jednego, jutro znowu spróbują. Czego... tego nikt nie wie, nawet Ka–nu. Lecz my musimy stać obok siebie Kullu, aż do zwycięstwa lub śmierci. Teraz chodź ze mną królu, zaciągnę to ścierwo tam, gdzie poprzednie.

Kull ruszył za Piktem przez przejście i dalej mrocznym korytarzem. Ich stopy nie czyniły najśłabszego dźwięku, wyuczone w leśnych głuszach

bezgłośnie stapać. Podążali jak duchy, skąpani w widmowym blasku. Kull ciągle zastanawiał się, dlaczego korytarz jest pusty. Za każdym rogiem oczekiwał zasadzki. Jego mózg znów wypełniły podejrzenia: czy ten Pikt nie prowadzi go na zgubę? Szedł dwa kroki za nim, a jego obnażony miecz wisiał nad odsłoniętym karkiem Brule. Jeśli tylko planuje zdradę, umrze jako pierwszy. Wojownik, jeśli nawet domyślał się niepewności króla nie dał niczego po sobie poznać. Szedł spokojnie, aż dotarli do zapomnianej, pokrytej kurzem komnaty. Ze ścian zwisały ciężkie, pofałdowane kotary. Brule odgarnął jedną z nich i położył ciało.

Poszli z powrotem. Nagle Brule zatrzymał się. Zrobił to tak nieoczekiwanie, iż o włos uniknął śmierci. Nerwy Kulla były napięte jak postronki.

– Coś się tam porusza – szepnął Pikt. – Ka–nu twierdził, że korytarze będą puste, ale...

Wyciągnął miecz i ostrożnie postąpił naprzód. Kull ruszył zanim.

Po chwili ujrzeli dziwne, widmowe lśnienie. Oczekiwali w napięciu, przyciśnięci plecami do muru. Kull słyszał wydobywający się przez zaciśnięte zęby, świszczący oddech Brule. Teraz dopiero był pewien jego lojalności.

Blask przybrał niewyraźne kształty. Trochę ludzkie, lecz zamglone i niewyraźne jak kłęby dymu. Stawały się wyraźniejsze w miarę zbliżania się. Wreszcie z twarzy, która wyglądała jakby przecierpiała wszystkie tortury od milionów stuleci, spojrzała na nich para dużych, lśniących oczu. W oczach nie było groźby, lecz bezgraniczny żal, a twarz... twarz...

– Wszechmocni bogowie! – wyszeptał Kull. – To Eallal, król Valusii, który zginał tysiąc lat temu!

Brule po raz pierwszy w ciągu tej nocy stracił zimną krew. Oparł się o ścianę. Jego źrenice rozszerzyły się z przerażenia, a miecz zadrżał mu w

dłoni. Kull stał wyprostowany, instynktownie trzymając przygotowany do ciosu, lecz bezużyteczny oręż. Zimny pot zalał mu czoło, a włosy zjeżyły się na głowie. Wciąż jednak był królem królów, gotowym walczyć z nieznanymi siłami tak żywymi, jak i zmarłymi.

Widmo podążało na wprost nie zważając na nich. Kull czując na twarzy lodowaty jak północny wiatr oddech, odsunął się, gdy przechodziło obok. Cień szedł naprzód bezszelestnym, wolnym krokiem, jakby nogi spętane miało kajdanami wszystkich epok. Nareszcie martwy król zniknął za zakrętem korytarza.

– Valko! – jęknął, ocierając pot z czoła Brule. – To nie był żywy człowiek! To był duch!

– Tak! – Kull pokiwał w zamyśleniu głową. – Poznałeś tę twarz? To był Eallal. Władał Valusią tysiąc lat temu, a został skrytobójczo zabity we własnej sali tronowej od tego czasu zwanej Przeklętą Komnatą. Widziałeś jego posąg w Komnacie Chwały Królów?

– Tak. Przypominam sobie teraz tę opowieść. O bogowie, słuchaj Kullu! To kolejny znak potężnej mocy kapłanów Węża Ten król także został zamordowany przez nich. Jego dusza stała się ich sługą i będzie przez wieczność wypełniać ich rozkazy. Mędrcy zawsze twierdzili, że jeśli człowiek zginie z ręki ludzi-węży, to jego duch zostaje na wieki ich niewolnikiem.

Ogromne ciało Kull zadrżało.

– Valko! To straszliwy los! Słuchaj! – jego mocne jak żelazo palce zacisnęły się na ramieniu Pikta. – Słuchaj, jeśli te potwory śmiertelnie mnie zranią, to dobijesz mnie swoim własnym mieczem. Przysięgnij, że uczynisz to, by nie posiadli mojej duszy.

– Przysięgam – powiedział Brule, a jego oczy płonęły. – I ty uczyn tak samo.

Ich dłonie zwarły się, mocnym uściskiem pieczętując krwawe przyrzeczenia.

4. Maski

Kull siedział w sali tronowej i w zamyśleniu spoglądał na morze zwróconych ku niemu głów. Marszałek dworu mówił coś równym, śpiewnym głosem lecz król nie słuchał go. Niedaleko władcy, oczekując na polecenia stał Tu, Przewodniczący Rady Koronnej. Gdy tylko Kull spoglądał w jego stronę, drżał od przerażających wspomnień. Gładka powierzchnia życia pałacu była jak spokojne morze pomiędzy dwiema falami. Wydarzenia ostatniej nocy, wydawały się być snem, dopóki wzrok władcy nie padł na oparcie tronu. Leżało na nim muskularne, brązowe ramię z owiniętą na nim bransoletą w kształcie smoka. Brule stał u boku króla i to właśnie jego szept wyrwał władcę z nierealnego świata myśli, w którym się poruszał.

To straszliwe interludium nie było tylko snem. Siedział na tronie w Sali Przyjęć, spoglądał na dworzan, damy, księżęta i dyplomatów. Wydawało mu się, iż ich twarze są jedynie nieprawdziwą ułudą, cieniem, igraszką zmysłów. Zawsze uważał te twarze za maski. Przedtem jednak przyglądał im się z pogardliwym pobłażaniem, myślał, że ukrywają płaskie, małostkowe umysły, chciwe, lubieżne, zakłamate. Teraz dojrzał pod ich przykryciem niepoznawalną groźbę. Rozmawiając gładkimi zwrotami z jakimś szlachcicem niemal dostrzegął, jak uśmiechnięta twarz rozplywa się, a na jej miejscu wyszczerza się okropna, paszcza węża. Ilu z tych, na których patrzył nie było ludźmi lecz stworami, spiskującymi przeciw

niemu? Jak wiele twarzy stanowiło tylko hipnotyczną iluzję ludzkich rysów?

Valusia – kraina snów i koszmarów, królestwo cieni. Państwo rządzone przez widma przeskakujące z władcy na władcę, który tym razem sam jest jedynie cieniem.

A niczym drugi cień u jego boku stał Brule, którego oczy błyszczały pośrodku nieruchomej twarzy. Prawdziwy człowiek! Kull czuł, że pomiędzy nim, a dzikim Piktem zawiązały się więzy przyjaźni. Zdawał sobie sprawę, że włócznik–zabójca tak samo odczuwa tę przyjaźń, niezależnie od racji politycznych.

Cóż więc jest prawdziwym życiem, myślał Kull? Ambicje, siła, duma? Męska przyjaźń, miłość kobiety – uczucia, których dotychczas Kull nie zaznał. Bitwa, łupy... co? Czy prawdziwym Kullem był ten, który siedział teraz na tronie, czy też ten, który wspinał się po wzgórzach Atlantydy, pustoszył Zachodnie Wyspy i uśmiechał się do zielonkawych, morskich fal? Jak wielu było tych Kullów. W końcu kapłani Węża poszli przy pomocy swej magii tylko o jeden krok dalej. Maski nosili przecież wszyscy, każdy mężczyzna, każda kobieta. I wszyscy mieli ich wiele. Czy jednak pod każdą z nich nie ukrywał się wąż?

Dworzanie podchodzili i oddalali się, aż w końcu, zwyczajne, codzienne sprawy zostały rozwiązane. Nareszcie, jeśli nie liczyć sennej służby pozostali z Brule sami.

Kull był zmęczony. Ani on, ani Brule nie zasnęli tej nocy. On sam nie spał także i poprzedniej. Przecież to wtedy w ogrodach Ka–nu uzyskał pierwsze wiadomości o dziwnych, mających się dopiero wydarzyć rzeczach. Zeszłej nocy, gdy wrócili do pokoju studiów, nie wydarzyło się już nic godnego uwagi. Żaden z nich nie myślał jednak o śnie. Kull, dzięki swej wilczej żywotności, w czasach młodości był w stanie nie spać przez

wiele dni. Teraz czuł się jednak zmęczony grozą ubiegłej nocy i ciągłą gonitwą myśli za dnia. Potrzebował snu lecz ten był zbyt daleko.

Poza tym Kull zdecydowałby się na spoczynek. Choć razem z Brule pilnowali wtedy w nocy... czy i kiedy warta została zmieniona to nastąpiło to bez ich wiedzy. Rano gwardziści bez problemu umieli powtórzyć magiczne słowa Brule. Nie mogli także przypomnieć sobie nic niezwykłego. Byli pewni, że jak zwykle spędzili całą noc na warcie. Kull nie zaprzeczał. Ufał w to, że są prawdziwymi ludźmi, czuł jednak, iż lepiej utrzymać całą sprawę w tajemnicy.

Brule pochylił się nad królem i zniżył głos do szeptu.

– Sądzę, Kullu, iż wkrótce uderzą. Przed chwilą Ka–nu dał mi sygnał. Kapłani wiedzą, że zdajemy sobie sprawę ze spisku, nie wiedzą jednak, jak dużo posiadamy informacji. Musimy być gotowi. Ka–nu i wodzowie Piktów będą w pobliżu, do czasu aż wszystko się wyjaśni. W ten sposób lub w inny. Wiedz, panie, że jeśli dojdzie do ostatecznej rozgrywki, ulice i pałace Valusii pokryje krew.

Kull uśmiechnął się pośepnie. Z radością podjąłby jakiegokolwiek działanie. Wędrówka labiryntami złudzeń i magii była obca jego naturze. Tęsknił do szczęku zderzającej się broni, do radosnej wolności jaką daje jedynie prawdziwa bitwa.

Potem do sali przyjęć wkroczył Tu, a za nim pozostali członkowie Rady Koronnej.

– Panie, zbliża się czas obrad. Czekamy, by doprowadzić cię.

Kull wstał. Doradcy klękali, gdy ruszył szpalerem wśród nich. Po jego przejściu podnosili się i podążali za nim. Kilku zmarszczyło brwi, zaskoczonych widokiem piktyjskiego wojownika, z dumną miną ciągnącego za władcą. Żaden z nich jednak nie zaprotestował. Brule

przepełniony typowo barbarzyńską pogardą, przyglądał się ich gładko wygolonym twarzom.

Przebyli liczne korytarze i w końcu znaleźli się w komnacie Rady. Zgodnie z tradycją zamknięto drzwi. Doradcy usiedli według rang przed podwyższeniem, na którym znalazł się Kull. Brule bez słowa, zajął miejsce za jego plecami.

Kull rozejrzał się po pomieszczeniu. Tak, tutaj zdrada była nieprawdopodobna. Dobrze znał wszystkich siedemnastu członków Rady. Byli jego zwolennikami już wtedy, gdy wstępował na tron.

– Ludu Valusii... – rozpoczął w zwyczajny sposób i zaskoczony urwał.

Członkowie Rady, jak jeden mąż wstali i ruszyli w jego kierunku. W ich obliczach nie było widać groźby, ale całe ich zachowanie było co najmniej zaskakujące. Pierwszy z nich był już całkiem blisko, gdy Brule, iście leopardzim skokiem znalazł się z przodu.

– *Ka nama kaa lajerama!* – zabrzmiał w ciszy jego głos. Najbliższy z doradców stanął na chwilę i sięgnął ręką pod togę.

Brule działał błyskawicznie. Jego miecz błysnął w powietrzu i człowiek runął na ziemię. Legł nieruchomo, a jego głowa zaczęła rozpływać się jak mgła pod wpływem podmuchów wiatru. Z wolna stawała się łbem ogromnego węża.

– Bij, Kullu! – krzyknął Pikt. – Wszyscy to słudzy Węża! Potem był już tylko krwawy zamęt. Kull ujrzał jak znane twarze znikają ukazując okropne, gadzie pyski. Cała grupa runęła naprzód. Oszołomienie ogarnęło myśli Kulla, lecz jego ciało działało mechanicznie, bez udziału woli.

Szczęk mieczy rozbrzmiał w komnacie. Atak został powstrzymany w strumieniach krwi. Przeciwnicy jednak walczyli dalej. Życie nie było dla nich ważne. Pragnęli zabić króla. Obrzydliwe łby wyciągały się w jego stronę. Pozbawione powiek oczy patrzyły na niego wzrokiem pełnym

nienawiści. W powietrzu czuć było obrzydliwy odór, który Kull znał z południowych dżungli – odór węży. Miecze i sztylety raniły go, ale on nie czuł bólu. Był w swoim żywiole. Co prawda jeszcze nigdy nie spotkał się z takimi przeciwnikami, ale nie było to ważne. Oni żyli, a w ich żyłach płynęła krew, którą mógł przelać. Ginęli, kiedy mieczem przebijał ich ciała. Pchnięcie, zamach, cięcie, obrót... Kull zapewne zginałby, gdyby nie walczący u jego boku mężczyzna, który odbijał i powstrzymywał ciosy. Król był oszalały. Walczył tak, jak zwykli walczyć mieszkańcy Atlantydy – zadając śmierć szukał śmierci. Nie zasłaniał się przed ciosami. Szedł naprzód; wyprostowany, opanowany jedną myślą: zabijać! Rzadko zdarzało się, aby Kull, opanowany zwierzęcą żądzą krwi, zapomniał o swych szermierczych umiejętnościach. Ale tym razem w jego duszy pękła jakaś struna i opanowała go szaleńcza furia. Za każdym ciosem powalał jednego z wrogów. Ale oni wciąż kłębili się wokół i Brule musiał odbijać śmiertelne pchnięcia. Pikt walczył spokojnie, skulony. Nie wyprowadzał szerokich pchnięć jak Kull, ale powalał przeciwników krótkimi atakami z dołu.

Kull śmiał się szaleńczo. Wokół wirowały odrażające pyski; wszystko przysłonięte było szkarłatną mgłą. Poczul, jak ostrze rozcina mu ramię. Wyprowadził atak z góry szerokim łukiem, który prawie na pół rozciął wroga. Później mgła powoli rozviała się i Kull zorientował się, że stoi wraz z Brule nad masą ciał.

– Na Valkę, cóż to był za bój! – rzekł Brule i otarł okrwawione czoło. – Gdyby oni wiedzieli, Kullu, jak posługiwać się bronią, już byśmy nie żyli. Ci kapłani nie wiedzieli jak walczyć. Łatwiej ich było zabić, niż jakiegokolwiek człowieka, z jakim się zmierzyłem. Ale gdyby było ich choć o paru więcej, to ta walka skończyłaby się inaczej.

Kull przytaknął. Szał opuścił go. Był już tylko zmęczony. Głębokie rany na piersi, ramieniu, ręce i nodze krwawiły. Pokrwawiony Brule spojrzał na

niego z niepokojem.

– Panie, pozwólmy, aby kobiety opatrzyły twe rany. Kull stanowczym gestem odmówił.

– Trzeba będzie się im przyjrzeć, zanim ruszymy stąd. Ty możesz iść. Rozkażę, by cię opatrzono. Pikt zaśmiał się ponuro.

– Twoje rany są groźniejsze... – zaczął. Urwał nagle zaskoczony pewną myślą. – Valko! To nie jest komnata Rady!

Kull rozejrzał się dookoła i poczuł, jak odsłania się przed nim kolejna tajemnica.

– Nie. To komnata, w której zginął Eallal. Od jego śmierci stoi opuszczona i zwie się Przeklętą.

– A jednak nas podeszli! – warknął wściekły Brule. Kopał leżące na podłodze zezwłoki. – Weszliśmy w pułapkę jak głupcy! Odmienili tę komnatę czarami...

– Mamy więc przed sobą więcej takich diabelskich sztuczek – stwierdził Kull. – Jeśli w radzie Valusii są jacyś prawdziwi ludzie, to znajdują się oni teraz w komnacie Rady. Chodźmy tam szybko!

Pobiegli przez puste korytarze pozostawiając po sobie komnatę pełną martwych ciał. Stanęli przed komnatą Rady. Kull wzdrygnął się. Przez drzwi doszedł go głos, jego głos.

Kiedy odsłaniał zasłony, jego dłoń drżała. W komnacie znajdowali się członkowie Rady. Wyglądali tak samo jak ci, których niedawno zabili. A na podwyższeniu stał Kull, król Valusii. Przestraszony cofnął się.

– To jest szaleństwo! – wyszeptał. – Czy jestem Kullem? Czy to ja stoję tutaj, czy też Kull to tamten w sali? Czy jestem tylko jakąś zbłąkaną myślą?

Brule potrząsnął nim gwałtownie przywracając jasność umysłu.

– Na Valkę! Nie bądź głupcem, Kullu. Jeszcze się dziwisz? Po tym wszystkim, co widzieliśmy? Przecież to prawdziwi ludzie, a tamten to

człowiek–waż, który przyjął twą postać. Ty miałeś być trupem, a on miał rządzić przez nikogo nie zdemaskowany. Zabij go, inaczej jesteśmy straceni. Za nim stoją prawdziwi Czerwoni Zabójcy. Nikt prócz ciebie nie dosięgnie tego stwora. Szybko.

Kull otrząsnął się z oszołomienia i dumnie podniósł wyżej głowę. Wziął głęboki haust powietrza niczym pływak przed wskoczeniem do morza. Potem jednym długim, tygrysim skokiem znalazł się na podwyższeniu. Brule miał rację. Byli tu wyćwiczeni w szybkim niczym myśl reagowaniu Czerwoni Zabójcy. Ktokolwiek spróbowałby zabić uzurpatora, zginałby natychmiast. Ale widok Kulla, który wyglądał jak stojący na postumencie król, zbił ich na chwilę z tropu. Ale to wystarczyło. Człowiek–waż sięgnął ku mieczowi, ale nie zdążył dotknąć rękojeści. Kull przeszył jego pierś i stwór, który dla obecnych był królem, padł martwy.

– Stójcie! – Kull uniósł rękę pragnąc zmniejszyć zamieszanie. Wskazał na ciało, które leżało u jego stóp. Twarz powoli zniknęła zmieniając się w łeb węża. Przerażeni doradcy cofnęli się. Jednymi drzwiami do komnaty wszedł Brule, a drugimi Ka–nu. Obaj uścisnęli okrwawioną dłoń króla.

– Mieszkańcy Valusii! – zaczął Ka–nu. – Widzieliście wszystko na własne oczy. Oto Kull, prawdziwy, najwspanialszy z władców, którzy rządzą dotąd Valusią. Potęga Węża została złamana. Jesteście prawdziwymi ludźmi. Panie, jak brzmią twe rozkazy?

– Weźcie to ciało – powiedział Kull. Gwardziści wykonali jego rozkaz. – Chodźcie za mną.

Poszli w kierunku komnaty zwanej Przeklętą. Brule, który był bardzo zaniepokojony stanem króla, pragnął go podtrzymać, ale Kull odtrącił jego ramię. Rany krwawiły coraz bardziej, a droga nie chciała się skończyć. W końcu stanęli przed drzwiami. Weszli do środka. Słyszając przerażone okrzyki członków Rady, Kull roześmiał się dziko. Rozkazał gwardzistom

rzucić ciało koło stosu innych. Kiedy to zrobili, gestem nakazał wszystkim wyjść z komnaty. Zamknął za wszystkimi drzwiami.

Miał zawroty głowy. Otaczały go białe, dziwne twarze rozplływające się we mgle. Krew płynęła po jego skórze. Wiedział, że musi to zrobić prędko lub nie zrobi tego nigdy.

Zgrzyt wydobywanego z pochwy miecza wypełnił komnatę.

– Brule, jesteś tu?

– Tak, panie – twarz Pikta zdawała się być tuż obok, ale jego głos dochodził z odległości setek kilometrów i lat.

– Pamiętaj o przysiędze. Każ im się cofnąć.

Lewą ręką odsunął tych, którzy stali bliżej niego. Uniósł miecz. W ten cios włożył całą siłę, jaka jeszcze drzemała w jego mięśniach. Miecz wbił się po rękojeść w drzwi i futrynę zamykając na zawsze komnatę.

Zatoczył się jakby był pijany.

– Niech komnata ta będzie podwójnie przeklęta. Ciała leżące tam niech zgniją w niej i zostaną na zawsze, symbolizując złamanie potęgi Węża Tu i teraz przysięgam, że przez wszystkie ziemie i morza będę ścigał ludzi-węży. Nie zaznam spokoju, dopóki wszyscy nie zginą. Dopóki dobro nie zwycięży zła. Przysięgam... ja... król... Valusii... Kull...

Kolana ugięty się pod nim, a twarze stojących wokół ludzi zawirowały. Kull padł na podłogę, twarzą do ziemi.

Doradcy biegali tam i z powrotem jęcząc. Nie wiedzieli co zrobić. Kanu roztrącił ich pięściami wściekle klnąc.

– Odsuńcie się durnie! Chcecie, aby ostatnia iskra życia, która jeszcze się w nim tli, zgasła przez waszą głupotę? Brule? Już jest martwy, czy będzie żyć? – zapytał pochylonego nad królem wojownika.

– Martwy? – Brule zaśmiał się drwiąco. – Nie tak łatwo zabić człowieka takiego jak on. Brak snu i stracona krew osłabiły go... Valko! Ma parę

głębokich ran, ale żadna nie jest śmiertelna. Lepiej jednak by było, żeby ci krzyczący durnie sprowadzili tu szybko jakieś kobiety.

Nagle oczy Brule rozbłysły.

– Na Valkę! Nie myślałem, Ka–nu, że w czasie upadku i degeneracji jaki mamy teraz, może żyć ktoś taki jak on. Już za parę dni będzie siedział w siodle. Niech się wtedy ludzie–wężę strzegą Kulla z Valusii. Na Valkę! To będzie wspaniałe polowanie! Pod rządami takiego człowieka czekają nas lata dobrobytu i spokoju.



OŁTARZ I SKORPION

– Boże pełnącej ciemności! Pomóż mi!

Na zimnej, marmurowej posadzce klęczał szczupły chłopiec. Jego serce przeniknęło większym chłodem, niż zimno kamieni, na których klęczał. W panującym w komnacie półmroku, ciało młodzieńca zdawało się świecić niczym kość słoniowa.

Ponad nim, w ciemności widać było sklepienie z lapis lazuli. Naprzeciwko drzwi błyszczał złoty ołtarz, na którym stał wspaniale wyrzeźbiony w kryształach posąg skorpiona.

– Wielki Skorpionie! – jęczał młodzieniec. – Pomóż swemu wyznawcy! Dawno temu Gonra zwany Mieczem, skonał na stosie ciał barbarzyńców chcących zbezczcić twoją świątynię. On był jednym z moich największych przodków. A ty, jak powiedzieli kapłani, obiecałeś pomagać rodowi Gonry przez wszystkie wieki.

– Wielki Skorpionie! Jeszcze nigdy żaden mężczyzna ani kobieta z tego rodu nie prosili cię o wypełnienie tej obietnicy. Ale teraz, gdy nadeszła godzina wielkiej potrzeby, przyszedłem tu, by błagać cię o spełnienie tamtej obietnicy. Przypomnij ją sobie! Na krew wypitą przez miecz Gonry! Na krew, która wypłynęła z jego ciała!

– Wielki Skorpionie! Mój wróg to arcykapłan Czarnego Cienia zwany Thuronem. Król Valusii, Kull, wyruszył z miasta o purpurowych wieżach. Ogniem i mieczem karze kapłanów Czarnego Cienia. Oni nadal składają ludzkie ofiary swym czarnym, dawnym bogom. Uragają mu. Ale zanim zdoła nadejść król, ja i dziewczyna, którą kocham, nie będziemy już wśród żywych. Zanim nas uratuje, zostaniemy złożeni w ofierze na czarnym jak noc, ołtarzu świątyni Wiecznego Mroku. Thuron obiecał, iż nasze ciała poddane zostaną starodawnym, obrzydliwym obrzędom, zaś nasze dusze poświęcone bogu kryjącemu się od wieków w czarnym Mroku.

– Kull zasiada na tronie Valusii. Podąża teraz nam z pomocą. Lecz nadal ukrytym pośród gór miastem rządzi Thuron. Teraz ściga on mnie. Wielki Skorpionie, pomóż swemu słudze! Przypomnij sobie Gonra! On oddał za ciebie życie walcząc z barbarzyńcami z Atlantydy, którzy ogniem i mieczem piętnowali Valusię.

Młodzieniec pochylił się. Jego głowa opadła na piersi. Wielki posąg zdawał się świecić w półmroku, który okrywał salę. Dziwny bóg nie dał swemu wyznawcy żadnego znaku, iż słyszy jego prośby.

Chłopiec wyprostował się bardzo szybko. Ktoś wbiegał po prowadzących do świątyni schodach. Przez ciemne, świątynne drzwi wpadła dziewczyna. Chyliła się niczym jasny płomień pod wpływem wiatru.

– Thuron! On nadchodzi! – jęknęła i wpadła w ramiona swego kochanka.

Młodzieniec pobladł. Przycisnął do siebie mocniej ukochaną. Spojrzał ze strachem na drzwi. Usłyszał ciężkie kroki huczące po marmurowej posadzce. W drzwiach świątyni pojawiła się groźna postać.

Arcykapłan Czarnego Cienia był chudym, wysokim mężczyzną. Przypominał olbrzyma i trupa zarazem. Płonące pod krzaczastymi brwiami

oczy, przypominały piekielne jamy. Bezgłośny uśmiech wykrzywił cienkie usta, które wydawały się być blizną na bladej skórze. Thuron odziany był jedynie w przepaskę biodrową Zakrzywiony sztylet miał zatknięty przy pasie, a w ręce trzymał ciężki choć krótki bat.

Przytuleni do siebie młodzi, patrzyli szeroko otwartymi ze strachu oczyma na swego przeciwnika. Przypominali ptaki patrzące na mającego je zaatakować węża. Powolny chód arcykapłana oraz jego wygląd powodował, że wydawał się podobny do tego zwierzęcia.

– Strzeż się, Thuronie! – odważnie rzekł młodzieniec. Mimo że próbował powstrzymać strach, jego głos drżał z przerażenia.

– Nie boisz się króla, ani nie masz dla nas litości. Ale strzeż się, bowiem Wielki Skorpion ma nas w swej opiece. Nie obraż go! Thuron roześmiał się. Był pewien swej władzy i potęgi.

– Król! – drwił. – Kimże takim jest król w porównaniu ze mną. Wszak ja jestem potężniejszy od wszystkich królów. He! He! He! Wielki Skorpion?! He! He! To zapomniany bóg kobiet i dzieci. Chciałbyś przeciwstawić swego Boga-Skorpiona przeciw mocy Czarnego Cienia? Jesteś głupcem. Teraz nie uratuje cię nawet sam Valka, mimo iż jest największym pośród bogów! Przyrzekłem twą dusze bogowi Czarnego Cienia.

Zbliżył się do drżącej pary. Chwycił ich za ramiona, zatapiając w ich pięknych i młodych ciałach szponopodobne paznokcie. Stawili opór, ale Thuron tylko się zaśmiał. Uniósł ich w powietrze i trzymał na wyciągniętych ramionach tak, jakby trzymał małe dziecko. Jego siła była ogromna, a jego okrutny śmiech odbijał się echem w komnacie.

Przytrzymał młodzieńca kolanami. W międzyczasie związał ręce i nogi dziewczynie, która jęczała i wiała się pod jego dotykiem. Rzucił ją na podłogę i związał chłopca. Zrobił krok do tyłu i przyjrzał się tym dwojgu.

Przerażona dziewczyna płakała. Z trudem udawało jej się chwycić ustami powietrze.

– Głupcy! – przemówił do swych ofiar. – Myśleliście, że uciekniecie przede mną! Mężowie z twojego rodu, młody głupcze, od lat zwalczali mnie w Radzie i na królewskim dworze. Teraz za to zapłacisz. A Czarny Cień ugasi tobą pragnienie. He! He! He! Ja rządę tym miastem. I nie przejmuję się tym, kto jest królem! Moi uzbrojeni po zęby kapłani patrolują ulice. Nikt nie sprzeciwi mi się. Gdyby król był teraz na przełęczy to i tak nie przedostałby się przez moich żołnierzy. Nic was nie może ocalić.

Obejrzał komnatę. Zatrzymał spojrzenie na milczącym skorpionie z kryształu stojącym na złotym ołtarzu.

– He! He! He! Cóż z ciebie za głupiec! Żeby wierzyć bogowi, którego ludzie już od lat nie czczą. Toż ten bóg nie ma nawet swego kapłana. Jego świątynie zbudowano tylko dlatego, iż kiedyś był wielki. Cześć oddają mu tylko głupie kobiety i prosty lud. Prawdziwi bogowie pragną krwi, są ciemni niczym noc. Moje słowa powrócą do twego umysłu, gdy będziesz leżał na hebanowym ołtarzu, za którym płonie odwieczny, czarny ogień. Przed śmiercią poznasz prawdziwych bogów. Bogów potężnych i strasznych. Oni przybyli z zapomnianych królestw i zaginionych światów. Urodzili się na lodowych gwiazdach i ciemnych słońcach, które unoszą się tam, gdzie nie ma żadnego światła gwiazd. Poznasz straszliwą prawdę. Poznasz Nie-Mającego-Imienia, którego natura jest zupełnie inna, niż cokolwiek ziemskiego. Jego symbolem jest Czarny Cień!

Dziewczyna przestała płakać. Obydwoje młodzi milczeli oszołomieni. Wyczuli ohydny, wrogą ludziom otchłań straszliwych cieni, która kryła się za słowami kapłana.

Thuron podszedł do ofiar, wyciągnął zakrzywione, przypominające szpony ręce. Chciał chwycić swe ofiary i zarzucić je na plecy. Roześmiał

się głośno, kiedy zobaczył, jak wijąc się próbują oddalić się od niego. Zaciśnął swe okropne palce na delikatnym ramieniu dziewczyny...

Straszliwy krzyk zniszczył kryształową ciszę i rozbił ją na milion kawałków, które wirując rozpadły się wokół. Thuron podskoczył do góry, następnie upadł na twarz, zaczął jęczeć i wić się w konwulsjach. Niewielkie stworzenie odskoczyło do niego i zniknęło za drzwiami. Jęk arcykapłana przerodził się w cienki skowyt i urwał. Niczym niosąca śmierć mgła, w komnacie zapadła cisza.

– Co to było? – zapytał w końcu przerażonym szeptem młodzieniec.

– To był skorpion! – odrzekła dziewczyna, a jej głos drżał niesamowicie.

– Przebiegł po moich nagich plecach i nic mi nie zrobił. Potem skoczył na Thurona, kiedy ten próbował mnie chwycić, i ukąsił go.

W komnacie znów zapadło milczenie. – Od lat nikt nie widział w tym mieście skorpiona – odezwał się po pewnym czasie chłopiec.

– To Wielki Skorpion wezwał na pomoc jednego ze swego rodzaju – powiedziała szeptem dziewczyna. – Bogowie nie zapominają. I Wielki Skorpion też nie zapomina. Dotrzymał swej obietnicy. Powinniśmy podziękować mu za to!

I, mimo iż kochankowie mieli związane ręce i nogi, przewrócili się twarzą ku ziemi. Leżeli tak bardzo długo wielbiąc wielkiego, milczącego, kryształowego skorpiona, stojącego na złotym ołtarzu. Potem z daleka nadszedł ich głos mieczy i tętent podkutych srebrem koni. Przybywał król Valusii.



KOT DELCARDES

Król Kull wyszedł wraz z Tu, Przewodniczącym Rady Koronnej, aby zobaczyć mówiącego kota Delcardes. Nie każdy kot miał możliwość ujrzenia władcy. Tym niemniej nie każdemu królowi było dane ujrzeć kota takiego jak ten, którego posiadała Delcardes. Kull na chwilę zapomniał o śmiertelnym zagrożeniu czyhającym ze strony Thulusa Doom, maga-nekromanty i udał się do Delcardes.

Kull był nastawiony sceptycznie. Tu sam nie wiedząc dlaczego, zachowywał się ostrożnie i podejrzliwie. Lata intryg i życie na pełnym plotek dworze nauczyło go tego. Przysięgał sobie, że mówiący kot jest szwindlem, oszustwem, złudą. Pomijając to wszystko, jakże takie coś mogłoby zaistnieć. Mówiący kot byłby wyraźnym odstępstwem od praw bogów, którzy nakazali, by jedynie człowiek mógł cieszyć się potęgą mowy.

Kull wiedział, że w dawnych czasach zwierzęta rozmawiały z ludźmi. Słyszał przecież legendy, przekazane mu przez barbarzyńskich przodków. Do tej nowości podchodził więc sceptycznie, ale był otwarty na przekonujące dowody.

Delcardes dopomogła przy udowadnianiu. Wylegiwała się i przeciągała na swym jedwabnym posłaniu tak, jak zwykle robią to zwinne i piękne

kotki. Patrzyła na Kulla spod długich, opadających rzęs, które nadawały niewyobrażalny urok jej wąskim, lekko skośnym oczom.

Jej pełne wargi miały wspaniałą odcień czerwieni. Zazwyczaj, tak, jak i dziś, wyginały się w dziwnym, enigmatycznym uśmiechu. Jedwabne okrycie, pełne złotych i wyszywanych kamieniami ornamentów, ukrywało niewiele z jej wdzięków.

Król nie był zainteresowany żadną kobietą Rządził Valusią, ale ponad wszystko był Atlantydą i jego jedynym celem była władza. Jedyne rzeczy, jakie go interesowały to wojna i podboje. Poza nimi zwracał uwagę tylko na jak najdłuższe utrzymanie się na tronie starożytnego imperium i potrzeby podległego mu narodu.

Dla Kulla, Delcardes stanowiła dziwną, królewską postać. Była damą otoczoną blaskiem starożytnej mądrości i pełną kobiecej magii.

Dla Tu była przede wszystkim kobietą – ukrytą przyczyną intryg i niebezpieczeństw.

Dla Kanu, ambasadora Piktów i od niedawna najbliższego doradcy Kulla, była namiętym dzieckiem, zainteresowanym jedynie efektywnością roli, jakąż upodobaniem grała. Cóż, Kanu nie było z Kullem, gdy przybył, aby zobaczyć mówiącego kota.

Sam kot będący przyczyną i celem odwiedzin króla, wylegiwał się na własnym, pokrytym jedwabiem posłaniu. Dokładnie przyjrzał się władcy niezgłębionymi oczami. Kot, a właściwie kotka nazywała się Saremes i dysponowała własnym niewolnikiem, który stał za nią gotowy na rozkazy. Niewolnik był chudym człowiekiem, którego dolną część twarzy ukrywała cienka zasłona, opadająca aż na piersi.

– Królu – zaczęła Delcardes – czy mogę cię o coś błagać, zanim Saremes zacznie mówić? Wtedy będę musiała zamilknąć.

– Możesz mówić – odparł Kull.

Dziewczyna uśmiechnęła się przymilnie i złożyła dłonie.

– Pozwól mi poślubić Kulra Thoom z Zarfhaany.

W chwili, gdy Kull miał już coś odpowiedzieć do rozmowy wtrącił się Tu.

– Mój Panie, ta sprawa została rozpatrzona już dawno temu! Spodziewałem się, że coś może się kryć za zaproszeniem do złożenia tej wizyty! Ta... ta dziewczyna posiada w swych żyłach królewską krew. To wbrew zwyczajom Valusii, by taka kobieta poślubiła cudzoziemca o niższej randze.

– Ale król może zdecydować inaczej – odparła Delcardes.

– Mój panie – rzekł Tu, machając ręką w ostatnim stadium nerwowej irytacji. – Jeśli ona go poślubi może się to stać powodem wojny, rebelii, czy też jakiegokolwiek innej niezgody na najbliższe sto lat.

Już miał zamiar zagłębić się w dłuższą dysputę o rangach, genealogii i historii, lecz Kull szybko przerwał mu. Jego niewielki zasób cierpliwości został wyczerpany.

– Na Valkę i Hotath! Czy jestem starą kobietą lub kapłanem, by zajmować się takimi sprawami? Rozwiążcie to pomiędzy sobą i nie drażnijcie mnie już więcej pytaniami o kojarzenie par! O Valko, na Atlantydzie mężczyźni i kobiety biorą ślub tylko z tym, z kim mają ochotę.

Delcardes złagodniała trochę i zrobiła minę do Tu, na co ten skrzywił się. Potem radośnie uśmiechnęła się i obróciła na posłaniu z kocią gracją.

– Przemów do Saremes, Kullu. Ona będzie o mnie zazdrosna.

Kull uważniej przyjrzał się kotce. Jej futro było długie, jedwabiste i szare. Skośne oczy patrzyły z dziwną tajemniczością.

– Wygląda na całkiem młodą, Kullu, lecz naprawdę jest bardzo stara – stwierdziła Delcardes. – Jest kotem pochodzącym ze Starej Rasy, która żyła tysiące lat temu. Spytaj ojej wiek, Kullu.

– Jak wiele lat oglądały twe oczy, Saremes? – zapytał leniwie Kull.

– Valusia była młoda, gdy ja już byłam stara – odparł kot czystym głosem o dziwnym brzmieniu.

Kull w skupieniu przyjrzał się kotce.

– Valko i Hotath! – szepnął. – Ona mówi!

Delcardes roześmiała się radośnie w zapadłej ciszy. Mimo to efekt wypowiedzi kotki i związany z nim nastrój obcości nie zniknął.

– Ja mówię, myślę, wiem, a przede wszystkim istnieję – powiedziała – Wieki przed tym, zanim białe plaże Atlantydy poznały twoje stopy, Kullu z Valusii, byłam sprzymierzeńcem królowych i doradcą królów. Widziałam przodków Valusyjczyków, przybywających z dalekiego wschodu, by rozdeptać Starą Rasę. Byłam tutaj, gdy Stara Rasa, wyszła z oceanów tak wiele eonów temu, że myśl ludzka nie jest w stanie ich ogarnąć. Jestem starsza niż Thulusa Doom, którego widziało jedynie kilku ludzi. Widziałam wyrastające imperia i upadek królestw. Znałam królów wyruszających na swych rumakach, by powrócić na tarczach. Tak, swego czasu byłam nawet boginią, łagodną dla klękających przede mną neofitów i straszliwą w obrzędkach wyprawianych na moją cześć. Wielu mnie podziwiał, wielu nie wierzyło w me istnienie.

– Czy umiesz czytać w gwiazdach i przepowiadać przyszłość? – barbarzyński umysł Kulla natychmiast przeskoczył, do możliwych do wykorzystania konkretów.

– Tak, księgi przeszłości i przyszłości stoją dla mnie otworem. Mogę przekazywać ludziom te informacje, które dla własnego dobra powinni znać.

– Opowiedz mi – poprosił Kull – gdzie zapodziałem wczoraj sekretny list od Ka-nu.

– Wetknąłeś go na spód pochwy od sztyletu, a potem zapomniałeś o tym – odparł kot.

Kull rozejrzał się, wyciągnął sztylet i potrząsnął pochwą. Cienki kawałek pergaminu wypadł mu na dłoń.

– Valko i Hotath! – wykrzyknął. – Saremes, czyżbyś była kocią wiedźmą! Tu, czy jesteś w stanie w to uwierzyć?!

Ale wargi Tu były zaciśnięte w prostą linię niedowierzania. Przewodniczący Rady Koronnej uparcie patrzył na Delcardes.

Ta otwarcie oddała mu spojrzenie. Tu odwrócił się z irytacją do Kulla.

– Rozważ to, mój panie! To wszystko jest jakąś komedią.

– Tu, nikt nie widział jak chowałem ten list. Sam o tym też zapomniałem.

– Królu, panie, każdy szpieg mógł...

– Szpieg? Nie bądź większym głupcem niż jesteś Tu. Czy kotka wysyłałaby szpiegów, aby obserwowali jak chowam listy?

Tu zamyślił się. Im stawał się starszy, tym trudniejsze było dla niego powstrzymanie się od okazywania królom rozgoryczenia.

– Mój panie – powiedziała Delcardes tonem grzecznej wymówki – zawstydzasz mnie i obrażasz Saremes.

Kull poczuł nieokreśloną złość na Tu.

– Mimo wszystko, Tu – stwierdził – kotka mówi. Temu nie możesz zaprzeczyć.

– Jest w tym jakieś oszustwo – uparcie trzymał się swego Tu. – To ludzie mówią, zwierzęta nie powinny.

– Niezupełnie – rzekł Kull całkiem przekonany o realności mówiącego kota. Król usilnie starał się udowodnić swoją rację. – Lew rozmawiał z Kambłą, a ptaki mówiły do starego człowieka z plemienia Morskiej Góry. Opowiadały im, gdzie chowają się zwierzęta. Nikt nie może zaprzeczyć, że

zwierzęta umieją ze sobą rozmawiać. Wiele nocy spędziłem leżąc na szczycie pokrytych lasem wzgórz, czy na trawiastej sawannie. W świetle księżyca słyszałem ryczące do siebie tygrysy. Dlaczego niektóre zwierzęta nie mogłyby nauczyć się mowy ludzi? Był kiedyś taki czas, że prawie mogłem zrozumieć tygrysie ryki. To tygrys jest moim totemem i tabu. Zwierzę bezpieczne w samoobronie – dodał bez związku.

Tu skręcał się z niepokoju. Ta przemowa o totemie i tabu, była odpowiednia dla przywódcy dzikiego plemienia. Gdy usłyszał takie słowa od króla Valusii, rozdrażniły go tylko.

– Mój panie – powiedział – kot to nie tygrys.

– To prawda – odparł Kull. – A czy ten nie jest mądrzejszy od wszystkich tygrysów razem wziętych?

– To wszystko prawda – spokojnie stwierdziła Saremes.

– Lordzie kanclerzu, czy w takim razie uwierzysz, gdy powiem ci, co w tym momencie dzieje się w królewskim skarbcu?

– Nie! – uparcie trzymał się swoich poglądów Tu. – Sprytni szpiegowie mogli nauczyć się czegokolwiek na temat skarbcza, tak jak i ja to uczyniłem.

– Żaden człowiek nie może zostać przekonany, jeśli nie uwierzy – powiedziała Saremes, niewzruszenie cytując starożytną valusyjską sentencję. – Wiedz zatem, Tu, że została odkryta nadwyżka dwudziestu sztuk złota. Właśnie teraz kurier spieszy przez ulice miasta, aby ci o tym powiedzieć. A... – w tym momencie rozległ się dźwięk kroków w zewnętrznym korytarzu – właśnie teraz przybył.

Wszedł szczupły dworzanin, ubrany w barwne okrycie urzędników królewskiego skarbcza. Skłonił się głęboko i poprosił o pozwolenie na odezwanie się. Gdy Kull zgodził się, powiedział: – Potężny królu, lordzie Tu, nadwyżka dwudziestu sztuk złota została odnaleziona w królewskim skarbcu.

Delcardes roześmiała się i klasnęła z zadowoleniem dłońmi. Tu, tylko po raz kolejny skrzywił się.

– Kiedy to odkryto?

– Jakies pół godziny temu.

– Ile osób wie o tym.

– Nikt nie wie, mój panie. Wiedzieliśmy tylko ja i królewski skarbnik. Teraz wiecie i wy, moi panowie.

– Hm! – Tu machnął rozkazując mu odejść. – Dostyc. Później zajmę się tą sprawą.

– Delcardes – powiedział Kull. – Ta kotka jest twoją czy nie?

– Królu panie – odparła dziewczyna. – Nikt nie posiada Saremes. Ona tylko powierzyła mi honor, jakim jest jej obecność. Jest tutaj gościem. Już od tysiąca lat jest swoim własnym władcą.

– Chciałbym móc mieć ją w swoim pałacu – powiedział Kull.

– Saremes – zapytała z szacunkiem Delcardes – król chciałby móc cię gościć.

– Pójdę z królem Valusii – stwierdziła z godnością kotka – i pozostanę w królewskim pałacu, dopóki nie wydarzy się podobna sytuacja i będę miała przyjemność podążyć gdzieś indziej. Jestem wielkim podróżnikiem, Kullu. Czasami sprawia mi przyjemność wyruszać w świat i przechadzać się ulicami miast, gdzie wieki temu widziałam lasy, oglądać piaski pustyni, gdzie dawno temu znałam ulice imperiów.

Tak więc Saremes, mówiący kot, przybyła do królewskiego pałacu Valusii, a wraz z nią jej niewolnik. Otrzymała przestronną komnatę z kanapami i jedwabnymi poduszkami. Najlepsze potrawy z królewskiego stołu były codziennie stawiane przed nią. Wszyscy królewscy służący byli jej bardzo pomocni i ulegli. Wszyscy z wyjątkiem Tu, który nie był zadowolony widząc tak wywyższającego się kota, nawet mówiącego kota.

Saremes obserwowała go z rozbawieniem, ale tylko Kulla wynosiła na poziom godny sobie.

Często przybywała do tronowej komnaty, niesiona na jedwabnej poduszce przez niewolnika, którego zadaniem było zawsze usługiwać kotu.

Czasami Kull przychodził do jej komnaty. Rozmawiali wtedy aż do mglistych, porannych godzin. Saremes opowiadała mu historie i przelewała w niego swą antyczną mądrość. A król słuchał jej z uwagą i zainteresowaniem. Wiedział, iż ten kot jest mądrzejszy od wszystkich jego doradców razem wziętych i może mu dać o wiele więcej dobrych rad niż oni. Jej słowa były niczym wyrocznia. Odmawiała jednak mówienia o rzeczach, które miały związek z przyziemnymi i codziennymi sprawami królewskiego pałacu. Ostrzegała jedynie Kulla przed Przeklętym Thulusem, który przesyłał mu groźby.

– Ja – mówiła – która przeżyłam więcej lat życia niż ty minut, wiem, że człowiekowi łatwiej żyć, kiedy nie wie o swej przyszłości. Co ma być, to będzie. Ludzie nie powinni przyspieszać tego co ma nadejść. Ani próbować omijać zło stojące przed nimi. Lepiej iść w ciemności w paszczę lwa, której i tak nie zdoła się minąć.

– Tak – powiedział Kull. – Co ma być, to będzie, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale jeśli człowiek pozna rzeczy, które mają nadejść, jego ramię stanie się silniejsze lub słabsze, zależnie od sytuacji. Prawda, niezwykła?

– Tak, jeśli jest mu przeznaczone znać przyszłość – rzekła Saremes zwiększając zakłopotanie i wątpliwości, które powstały w umyśle Kulla. – Jednakże nie wszystkie drogi życia są z góry ustalone. Człowiek może zrobić to lub tamto. Nawet bogowie nie znają wszystkich ścieżek, którymi błądzi umysł człowieka.

– A więc – niepewnie zaczął Kull – nie wszystko jest przeznaczone. Jest przecież wiele dróg, którymi może pójść człowiek. Jak więc w tej sytuacji można przepowiadać przyszłość?

– Życie to wiele dróg, Kullu – odpowiedziała Saremes. – Ja stoję na ich skrzyżowaniu i wiem, co leży na końcu każdej z nich. Ale nawet bogowie nie wiedzą, którą drogą pójdzie człowiek, kiedy nadejdzie czas wyboru. Czy tą w lewo, czy tą w prawo? Ale kiedy raz zaczniesz iść, nie będziesz mógł się cofnąć.

– Na Valkę! Dlaczego więc – ciągnął Kull – nie wskażesz mi niebezpieczeństw każdej z dróg? Dlaczego nie powiesz mi, która jest najbezpieczniejsza? Łatwiej byłoby mi wtedy wybrać.

– Dlatego, iż na mocach takich jak moja, nałożone są więzy i ograniczenia – odrzekła kotka. – Tacy jak my przeszkadzają bogom i alchemikom. Nie możemy zdejmować zasłony z oczu człowieka, bo bogowie zabraliby nam naszą moc. Bo w ten sposób przeszkadzilibyśmy tylko ludziom. Wiele dróg wiedzie z każdego skrzyżowania, ale to człowiek musi wybrać tą, którą chce podążać. Czasem nie istnieje lepsza, czy gorsza droga. Nadzieja może oświetlić swym ogniem jedną z nich i tą drogę może wybrać człowiek. Ale to ona może być najgorsza ze wszystkich.

– Widzisz, królu – mówiła dalej widząc, iż Kull nie bardzo ją rozumie. – Nasze moce muszą mieć ograniczenia, bo inaczej stalibyśmy się zbyt potężni. Tak więc rzucono na nas tajemniczy czar. Kiedy otwieramy księgę przyszłości, możemy zobaczyć świecące poprzez okrywającą wszystko mgłę okruchy wydarzeń, które nadejdą.

Kull czuł, że argumenty Saremes są słabe i nielogiczne. Czuć w nich było ciemne moce. Ale zimne, uważne spojrzenie kota mówiło, iż nie powinien rozwiewać wątpliwości, jeśli nawet ma jakieś.

– Teraz – rzekł kot – odsunę dla ciebie na chwile zasłonę... niech Delcardes poślubi Kulra Thoom.

Kull wstał. Jego potężne ramiona drżały.

– Nie będę nic robił w związku z czyimś małżeństwem. Niech Tu się tym zajmie.

Kull zostawił na później swe myśli. W nadchodzących dniach Saremes dawała jeszcze wiele filozoficznych i morał i stycznych rad. A Kull słabł jakby pod ich wpływem.

To był naprawdę dziwny widok. Król wspierał ciężką głowę na potężnej dłoni. Pochylał się nad jedwabną poduszką lub prostował na całą swą wysokość. Pił wino ze złotego pucharu. A spokojne słowa Saremes szumiały wokoło. Kiedy mówiła o tajemniczych i fascynujących Kulla rzeczach, jej oczy świeciły dziwnym blaskiem, a jej usta poruszały się delikatnie. Za nią stał niewolnik Kuthulos. Był jak posąg – nie ruszał się i nie mówił.

Kull cenił sobie wysoko jej opinie. Bardzo często pytał ją o radę. A ona dawała ich niewiele albo wcale, w zależności od sprawy, której dotyczyły. Król zauważył jednak, że to, co mówiła, było zgodne z jego życzeniami. Zaczął się więc zastanawiać, czy nie potrafi ona również czytać w myślach.

Ponury Kuthulos denerwował Kulla tym, że nie ruszał się i nic nie mówił, ale Saremes nie towarzyszył nikt inny. Król umierał z ciekawości, pragnąc zobaczyć, co znajduje się pod zakrywającą twarz niewolnika woalką. Nie chcąc obrazić Saremes, nigdy nie prosił go o odkrycie oblicza.

Pewnego dnia Kull przybył do komnaty kotki, a ona spojrzała na niego swymi enigmatycznymi oczami. Przypominający statuę niewolnik stał tuż za nią z wciąż zakrytą twarzą.

– Kullu – zaczęła – znów uniosę dla ciebie zasłonę. Brule, piktyjski włócznik–zabójca, wojownik Kanu i twój przyjaciel, został właśnie

zawleczony na dno Zakazanego Jeziora przez okropne monstrum.

Kull podskoczył, przeklinając ze wściekłości.

– Co?! Brule?! Na Valkę! Co on u diabła robił przy Zakazanym Jeziorze?

– Pływał. Pospiesz się. Możesz jeszcze go uratować, nawet, jeśli został przeniesiony do leżącego pod jeziorem Zaczarowanego Kraju.

Kull ruszył w kierunku drzwi. Był zdenerwowany, ale gdyby na miejscu Brule był ktoś inny, nerwy poniosłyby go bardziej. Znał przecież tego lekkomyślnego i niczego nie szanującego Pikta, który wybijał się spośród innych potężnych przyjaciół króla.

Zaczął krzyczeć na gwardzistów, ale głos Saremes zatrzymał go.

– Nie, mój panie. Lepiej idź sam. Nawet twoje rozkazy nie zmuszą ludzi do wejścia w mroczne wody jeziora. Valusyjski zwyczaj mówi, iż każdego człowieka, z wyjątkiem króla, który w nie wejdzie czeka śmierć.

– Dobrze, pójdę sam – powiedział Kull – dam Brule w ten sposób ochronę przed złością ludzi, o ile oczywiście uda mu się stamtąd uciec. Poinformuj Ka–nu.

Kull bez słów, jedynie gestem i wyrazem twarzy, odmówił odpowiedzi na grzeczne pytania służby. Wsiadł na swego wspaniałego rumaka i najszybciej jak mógł wyjechał z Valusii. Jechał sam i rozkazał, by nikt nie jechał za nim. To, co miał zrobić, mógł zrobić sam, a nie chciał, by ktokolwiek widział jak wynosi Brule lub jego ciało z Zakazanego Jeziora. Przeklął lekkomyślność Pikta i tabu, które wisiało nad jeziorem, a którego pogwałcenie mogło grozić rebelią.

Kiedy Kull zatrzymał konia na brzegu jeziora leżącego w samym środku ogromnego lasu, półmrok ruszył z podnóży gór Zalgara. W wyglądzie błękitnej wody nie było nic strasznego. Rozciągała się ona pomiędzy długimi, białymi plażami i malutkimi wyspami, które wyrastały ponad jej

powierzchnię niczym szlachetne kamienie. Lepka, błyszcząca mgła unosiła się nad taflą wody i wypełniała powietrze wokół jeziora leniwą nierealnością. Kull przez chwilę przysłuchiwał się odgłosom brzęczącym wokół. Wydawało mu się, że słyszy przyciszoną i odległą muzykę, która zdawała się przedzierać przez szafirową wodę.

Zaklął wściekle. Zastanawiał się, czy nie jest pod wpływem jakiegoś czaru. Zdjął z siebie całe ubranie i ozdoby, z wyjątkiem przepaski biodrowej i pasa, do którego przytroczony był miecz. Zaczął powoli wchodzić w świecąca błękitem wodę. Kiedy sięgała mu do ud, wziął głęboki oddech i wiedząc, że dno zaraz zacznie coraz bardziej opadać, zanurkował.

Gdy podążał w dół przez szafirowy półmrok, miał jeszcze czas na refleksję, iż cała ta sprawa jest prawdopodobnie robieniem z niego wariata. Mógł przecież chwilę poczekać i dowiedzieć się od Saremes, gdzie dokładnie Brule pływał, kiedy został zaatakowany i w jakie miejsce powinien się skierować, aby uratować wojownika. Cóż, pomyślał, kot mógł mu w ogóle nie powiedzieć o tym. Gdyby zaś Saremes zapewniła go, iż nie jest w stanie uratować przyjaciela, Kull i tak spróbowałby zrobić to samo co teraz. Była więc pewna prawda w opowieściach Saremes, iż ludziom lepiej nie opowiadać o przyszłości.

Z miejsca, w którym znajdował się Brule podczas ataku, potwór mógł zaciągnąć go gdziekolwiek. Kull miał zamiar rozejrzeć się po dnie jeziora, ale...

Gdy przeżuwał to w myślach, nagle jakiś cień zabłysnął niedaleko niego. Słaby blask w jaszczurzych i szafirowych barwach jeziora. Zorientował się, że inne cienie zbliżają się do niego ze wszystkich stron. Nie mógł jednak dostrzec ich kształtów.

Zdawało mu się, że widzi daleko przed sobą migotanie dna jeziora. Dno świeciło dziwnymi promieniami. Teraz cienie były wszędzie dookoła. Machnęły ku niemu siecią w kształcie serpentyny, ciągle zmieniającą się pajęczyną o tysiącach barw. Woda wokół nich zabłysła topazowo, a cienie machały i iskrzyły się w baśniowym splendorze. Wydawały się być cieniami kolorów, słabymi i nierealnymi, czasami nieprzezroczyste i świecące.

Jednakże Kull, stwierdziwszy, iż nie mają zamiaru zaatakować go, nie poświęcał im więcej uwagi. Skierował swój wzrok na dno jeziora, którego dotyk poczuły po chwili jego stopy. Rozejrzał się dookoła, i mógłby przysiąc, że wylądował na żywym stworzeniu. Poczuł pod stopami rytmiczne poruszenia. Słaby blask był wyraźnie widoczny na dnie jeziora. Tak daleko, jak tylko mógł spojrzeć, rozciągnięte na wszystkie strony aż do szafirowego cienia podłoże jeziora stanowiło jedną, solidną płaszczyznę ognia, który błyskał i znikał z nieustanną regularnością. Kull przyjrzał się dokładniej. Dno jeziora było pokryte jakimś rodzajem krótkiej, podobnej do mchu substancji, która świeciła białym płomieniem. Wydawało się, że dno pokryto dziesiątkami tysięcy robaczków świętojańskich, które na rozkaz podnosiły i opuszczały skrzydełka. Mech drgał pod stopami Kulla, jak jakieś żywe stworzenie.

Po chwili Kull zaczął wynurzać się z powrotem na powierzchnię. Spędziwszy dzieciństwo pomiędzy morskimi górami, opasanej oceanem Atlantydy, sam jakby stał się stworzeniem morza. Tak jak dla każdego Lemuryjczyka, woda była dla niego drugim domem. Mógł więc spędzać pod powierzchnią dwa razy więcej czasu niż zwyczajny pływak. To jezioro było jednak głębokie, a on chciał zachować swe siły na przyszłość.

Dotarł do powierzchni, wypełnił swe wielkie piersi powietrzem i znowu zanurkował. Ponownie cienie zatańczyły dokoła, prawie oślepiając go

swymi widmowymi odblaskami. Tym razem popłynął szybciej. Gdy dotarł do dna, zaczął przesuwać się wzdłuż niego tak szybko, na ile tylko dziwna substancja otaczająca jego nogi pozwalała. Ognisty mech oddychał i świecił, kolorowe złudy błyskały dokoła niego, a monstrualne, jak mary nocne, cienie spadały przez jego ramiona na dno rozpalające się na niewidzialny rozkaz.

Mech pokryty był czaszkami i kośćmi ludzi, którzy ośmielili się zanurzyć w Zakazanym Jeziorze. Nagle, z cichym sykiem wody, coś rzuciło się na Kulla. Na początku król sądził, że jest to ogromna ośmiornica. Ciało stworzenia przypominało ośmiornicę obdarzoną długimi, machającymi mackami. Gdy jednak zaszarżowało, zauważył, iż posiada nogi jak człowiek i ohydną, na wpół ludzką twarz spoglądającą na niego spomiędzy kłębiących się, obrzydliwych ramion.

Kull złączył stopy, gdy poczuł okrutny uścisk macek na ramionach. Pchnął mieczem z zimną precyzją w środek demonicznej twarzy. Stwór opadł w dół i umarł u stóp króla, w powolnych i bezdźwięcznych konwulsjach. Krew rozpląnęła się jak mgła dookoła Kulla. Ten odepchnął się nogami od dna i wystrzelił w górę.

Wynurzył się na światło dzienne. Jakiś olbrzymi kształt zbliżał się do niego przecinając gładź jeziora. Był to wodny pająk, lecz ten okaz był większy niż odyniec. Jego ślepie skrzyły się piekielnym blaskiem. Kull, utrzymując się na powierzchni tylko przy pomocy nóg i jednej ręki, uniósł miecz. Gdy pająk wpadł na niego, pchnął dwukrotnie w korpus bestii. Ta prawie natychmiast zatonąła w ciszy.

Słaby plusk wody spowodował, iż odwrócił się, inny pająk, potężniejszy niż pierwszy był tuż za nim. Ten zarzucił na ramiona i ręce króla pasma lepkiej pajęczyny, która oznaczała zgubę dla każdego oprócz prawdziwego giganta. Kull zerwał lepkie liny, jakby były nitkami. Zamierzył się nogą na

stworzenie górujące nad nim i kopał je, dopóki nie osłabło pod jego ciosami i nie odpłynęło zabarwiając wodę czerwienią.

– Na Valkę! – wymamrotał król. – Nie powinienem wyruszać tutaj bez przygotowania. Na razie te bestie są łatwe do pokonania. W jaki sposób mogły one pokonać Brule? On jest przecież drugim co do waleczności wojownikiem w całych Siedmiu Królestwach.

Kull spodziewał się raczej spotkać świecące widma, polujące w śmiertelnie niebezpiecznych wodach Zakazanego Jeziora, niż te pająki. Zanurkował po raz kolejny. Tym razem zauważył jedynie kolorowe cienie i kości zapomnianych ludzi. Znowu wynurzył się po powietrze i po raz czwarty zanurkował.

Był koło jednej z wysp. Kiedy płynął w dół, zastanawiał się, jakie dziwne rzeczy mogą być ukryte pod okrywającym ją szmaragdowym listowiem. Legendy mówiły o pozostałościach świątyń i relikwiarzy, które nie zostały zbudowane ludzkimi rękoma. Wspominały też o tym, że pewnej nocy, istoty żyjące w jeziorze wyjdą z głębin, aby odprawiać tu niesamowite rytuały.

Kiedy Kull dotknął stopami dna za jego plecami pojawił się jakiś ruch. Król, wiedziony instynktem, odwrócił się i zobaczył ogromną postać zwisającą nad nim. Nie przypominała ona ani człowieka, ani żadnej bestii. Była jakby okropnym połączeniem obu tych rzeczy. Kull poczuł zaciskające się na ramieniu i ręce palce.

Rzucił się wściekle, ale to coś trzymało mocno rękę, w której miał miecz, a w lewe przedramię głęboko wpijały się jego szpony. Kull gwałtownie obrócił się i mógł teraz dokładniej obejrzeć swego wroga. Istota ta przypominała trochę rekina, ale z jej pyska wyrastał przypominający szablę róg. Miało to cztery ramiona, które kształtem przypominały ludzkie,

ale były o wiele od nich większe. Niesamowita siła drzemała w szponiastych palcach, którymi były zakończone.

Dwoma ramionami potwór obezwładnił Kulla. Pozostałymi odginał mu głowę do tyłu tak, aby złamać kręgosłup. Ale nawet ta obrzydliwa istota nie mogła tak łatwo pokonać Kulla z Atlantydy. Dziki szal ogarnął króla Valusii. Kull wpadł w szal.

Wbił stopy w muł, wyrwał lewe ramię z uścisku i skręcił ramiona. Z szybkością, podobną do szybkości kota, spróbował przerzucić miecz z prawej do lewej ręki, ale niestety nie udało mu się. Nie namyślając się uderzył monstrum zaciśniętą pięścią. Szafirowe coś, wiszące ponad nim, nic nie zrobiło sobie z tego uderzenia. Człowiek–rekin obniżył pysk, ale zanim zdołał zaatakować, Kull złapał mocno róg lewą ręką.

Nastąpiła teraz próba sił i wytrzymałości. Kull nie był zdolny do szybkiego poruszania się pod wodą. Wiedział, że jego jedyną nadzieją jest pozostanie blisko przeciwnika i pokonanie go w zapasach, aby w ten sposób uniemożliwić mu wykorzystanie szybkości. Z opętającą siłą próbował wyrwać prawą rękę z uścisku potwora, ale ten chwycił ją wszystkimi czterema łapami. Lewą ręką ścisnął róg, którym atakujący mógł przeciąć go na pół. Człowiek–rekin trzymał za to mocno jego prawą rękę, tę, w której Kull wciąż ścisnął długi miecz.

Obracali się i siłowali w wodzie. Kull wiedział, że jeśli nic nie zrobi, to będzie stracony. Już zaczął odczuwać skutki braku powietrza. Błysk w zimnych oczach człowieka–rekin powiedział mu, że jego wróg też o tym wie. Wystarczy, że potrzyzyma go pod wodą tak długo, aż skończy mu się powietrze zmagazynowane w płucach.

Dla wielu ludzi byłoby to straszne położenie. Ale Kull z Atlantydy nie był zwykłym człowiekiem. Od dziecka uczył się w twardej i krwawej szkole. Miał stalowe mięśnie i mózg taktyka. To połączenie tworzyło z

niego wspaniałego wojownika Kiedy dodało się do tego odwagę, której mu nigdy nie brakowało, i szął podobny do tygrysięgo, który czasami go opanowywał, Kull stawał się człowiekiem mogącym dokonać niesamowitych czynów.

Tak więc widząc nadchodzącą powoli zagładę i czując straszliwą bezsilność, Kull zdecydował się na desperackie działanie, którego potrzebował. Puścił róg monstrum, odchylając jednocześnie ciało najdalej, jak mógł, a potem chwycił jedno z ramion swego przeciwnika.

Człowiek–rekin natychmiast zaatakował. Jego róg przeorał udo Kulla, i na szczęście dla Atlantydy, zaklinował się w ciężkim pasie. Kiedy monstrum próbowało uwolnić się, król z całych swych sił zacisnął dłoń na trzymanej przez siebie ręce przeciwnika Jego palce zmiażdżyły ciało i nie ludzkie kości tak, jakby był to tylko zgniły owoc.

Paszczka człowieka–rekinia rozwarła się cicho z bólu. Monstrum uderzyło znowu. Kull zdołał uniknąć ataku, ale stracił jednocześnie równowagę. Upadli obaj wywołując jadeitową falę. Kull zdołał wyrwać ramię, w którym trzymał miecz, z osłabionego uścisku. Uderzył ku górze rozcinając monstrum na pół.

Cała walka zajęła jedynie chwilę. Kull, kiedy wypływał na powierzchnię z głową o ciężarze, wydawałoby się, wgniatającym szyję w ramiona, był pewien iż trwało to całe godziny. Zauważył, że dno jeziora zbliża się szybko do niego, to wyspa – zrozumiał. Wtedy woda wokół niego ożyła i poczuł, jak zostaje spętany od ramion do pięt gigantycznymi splotami, których nawet jego stalowe mięśnie nie były w stanie przerwać. Tracił przytomność czuł, jak unosi się z niesamowitą prędkością, słyszał dźwięk jakby wielu dzwonów – wtedy nagle wynurzył się z wody i jego torturowane płuca wielkimi łykami piły powietrze. Ogarnięty ciemnością

czuł, jak obraca się wokół własnej osi. Zdołał wziąć jedynie jeden, głęboki wdech, a potem znów znalazł się pod wodą.

Ponownie zaświeciło światło. Widział pod sobą falujący, ognisty mech. Trzymał go w uścisku potężny wąż, który parokrotnie obwinał się wokół jego ciała i ciągnął go teraz w kierunku, o którym coś bliższego mógł powiedzieć jedynie Valka.

Kull nie próbował się wyrwać, rezerwując swe siły na później. Może wąż nie będzie go trzymał pod wodą tak długo, aż zabraknie mu powietrza. Będzie miał wtedy szansę walczyć z nim w jego siedzibie, czy w innym miejscu, do którego go ciągnął. W rzeczywistości ramiona Kulla były tak mocno przyciśnięte do jego ciała, że nie mógł poruszyć nimi ani odrobinę.

Wąż płynął przez niebieską głębinę z niesamowitą prędkością. Był to największy okaz, jaki dotąd widział król. Jego długie na sześćdziesiąt metrów ciało pokrywały jadeitowo-złote łuski, o wspaniałych, żywych kolorach. Kiedy odwrócił się, Kull zobaczył, iż jego oczy są niczym ognisty lód, jeśli coś takiego istnieje. Nawet w tej strasznej sytuacji, wyobraźnia króla wytworzyła niesamowity obraz: wielki, zielono-złoty kształt lecący poprzez płonące topazem jezioro, a wokół niego cienie wywołane poruszeniem fal.

Znów pojawiło się błyszczące dno, ostro wznoszące się ku górze tworząc na powierzchni wyspę bądź też sięgając brzegu. Nagle przed nimi pojawiła się jaskinia. Wąż wpłynął do środka. Wewnątrz nie było już świecącego mchu i Kull znalazł się w niczym nie rozświetlonej ciemności. Zdawało mu się, że trwał w tej pozycji niesamowicie długo. Potem wąż znów zanurkował.

Znaleźli się w zasięgu światła, ale takiego, jakiego Kull nigdy wcześniej nie widział. Luminescencyjny odblask pokrywał ciemną i nieruchomą powierzchnię wody. Król zorientował się, iż teraz znajduje się na dnie

Zakazanego Jeziora, w Zaczarowanym Kraju. To światło nie przypominało żadnego z tych, które widział i na powierzchni. To było czarne światło, ciemniejsze niż sama ciemność. Rozświetlało ono złe wody, więc Kull widział ich mroczną powierzchnię i swoje odbicie. Nagle poczuł, że ciało węża powoli puszcza go i odpływa.

Popłynął szybko do przodu, po pewnym czasie wynurzył się i zobaczył wielkie miasto. Wiele poziomów czarnego kamienia wznosiło się w górę i kończyło ponurymi szczytami, ginącymi w czarnym świetle, o innym niż poprzednio odcieniu. Potężne, kwadratowe budynki z bloków skalnych przypominających bazalt, wznosiły się ponad Kullem. Pomiędzy nimi wyrastały gigantyczne kolumny. Powoli wyszedł z wody, krocząc po wyciętych w skale stopniach. Zdawało mu się, że jest na przystani.

Ani jeden błysk ziemskiego światła nie rozświetlał mrocznych ulic tego nieludzkiego miasta, ale z jego murów i wież płynęły czarne promienie. Oświetlały one powierzchnię wody z niekończącymi się, drżącymi falami.

Kull wiedział, że przed nim, pomiędzy stojącymi po obu stronach ulicy budynkami, stoi wiele istot. Zamrugał, próbując przystosować oczy do dziwnego światła. Istoty podeszły bliżej szepcząc pomiędzy sobą tak, jak nocny wiatr szepcze pomiędzy źdźbłami trawy. W porównaniu z ciemnością niesamowitego światła były niczym świetliste cienie. Ich oczy błyszczały dziwnym blaskiem.

Król zauważył, iż jedna z tych istot stoi na czele grupy. Przypominała ona człowieka. Miała ludzką, brodatą i szlachetną twarz pokrytą zmarszczkami.

– Przychodzisz jak herold swojej rasy – powiedział nagle. – Cały pokrzwawiony, z obnażonym mieczem.

Kull uśmiechnął się wściekle z powodu tak niesprawiedliwej oceny.

– Na Valkę i Hotath! – stwierdził. – Większość tej krwi, to moja krew przelana przez istoty z tego przeklętego jeziora.

– Śmierć i nieszczęścia to przekleństwo twojej rasy – rzekł ponuro człowiek z jeziora. – Wydaje ci się, że o tym nie wiemy? Mieszkaliśmy w niebieskich wodach tego jeziora zanim ludzie zaczęli śnić o bogach.

– Żaden z nich nie naprzykrzał się... – zaczął Kull.

– Bali się. Wiele lat temu, ludzie żyjący na ziemi, postanowili nawiedzić nasze królestwo. A my zabiliśmy ich. Zaczęła się wojna pomiędzy synami ludzi, a istotami z jeziora. Sialiśmy terror pomiędzy żyjącymi na powierzchni, bo wiedzieliśmy, że niosą oni nam tylko śmierć, a urodzeni są po to, by zabijać. Użyliśmy naszych czarów, którymi zmiękczyliśmy ich mózgi i złamaliśmy duszę. Błagali nas więc o pokój i tak się stało. Ludzie z powierzchni położyli tabu na tym jeziorze. Nikt nie mógł wejść w jego wody z wyjątkiem króla Valusii. To było tysiąc lat temu. Każdy człowiek, który nawiedził Zaczarowane Królestwo, ginął, a jego ciało trafiało do jeziora. Kimkolwiek jesteś, może i królem Valusii, i tak jesteś zgubiony.

Król z niedowierzaniem warknął.

– Nie szukałem waszego królestwa! Szukam Brule, włócznika–zabójcę tego, którego porwaliście!

– Kłamiesz – odparł człowiek z jeziora. – Już od setek lat żaden człowiek nie ośmielił się odwiedzić tego jeziora. Przybyłeś tutaj w poszukiwaniu skarbów, by zabijać i gwałcić, jak wszyscy z twojego krwawego plemienia. Umrzesz!

Kull poczuł wokół siebie szepty magicznych zaklęć. Wypełniły one powietrze i przybrały fizyczny kształt. Unosiły się w ciemnym świetle jak cienkie pajęczyny, łapiąc go słabo widocznymi mackami. Ale Kull, przeklinając bezczynność, chwycił je i unicestwił przy pomocy pustych rak.

Ponieważ przeciwko podstawowej, twardej logice dzikich ludzi, dekadenska magia nie ma mocy.

– Jesteś młody i silny – powiedział król jeziora – Zgnilizna cywilizacji nie ogarnęła twojej duszy. Nasze czary nie mogą cię zranić, ponieważ nie jesteś w stanie ich zrozumieć. Musimy spróbować innych sposobów.

I na te słowa, stojące wokół niego stworzenia z jeziora, wyciągnęły sztylety i ruszyły na Kulla. Król tylko roześmiał się i zabezpieczył swe plecy opierając je o kolumnę. Chwycił mocniej rękojeść miecza tak, że mięśnie jego prawej ręki wybrzuszyły się tworząc istne góry.

– To dopiero jest grą którą lubię, duchy – zaśmiał się. Stwory zatrzymały się.

– Nie przyspieszaj swej zguby – powiedział król jeziora. Jesteśmy nieśmiertelni i nie możemy zostać zabici rękami śmiertelników.

– Teraz kłamiesz – odparł Kull z chytryością barbarzyńcy. – Niedawno własnymi słowami opisywałeś strach przed śmiercią z rak moich pobratymców. Możesz żyć wiecznie, lecz stal i ciebie dosięgnie. Zastanówcie się. Jesteście słabi, bierni i nie umiecie posługiwać się bronią. Broń trzymacie, jakbyście nie znali jej dotyku. Ja zaś urodziłem się i wychowałem, by zabijać. Możecie mnie zabić, ponieważ jest was tysiące, a ja jeden. Wasze czary zawiodły i wielu z was zginie, zanim mnie pokonacie. Będę zabijał was jak mrówki. Weźcie to do siebie, ludu z jeziora. Czy zabicie mnie warte będzie ponoszenia takich kosztów?

Kull wiedział, iż istota zabijająca przy pomocy stali, tą samą stalą może zostać zabita. Nie obawiał się więc. Jego postać uosabiała groźbę i śmierć, cała we krwi, spoglądająca z góry straszliwym wzrokiem na tłumy poniżej.

– Tak, rozważcie to – powtórzył. – Lepiej byłoby, gdybyście przyprowadzili do mnie Brule i puścili nas wolno. Jeśli nie, gdy zapadnie cisza po bitwie, moje ciało będzie spoczywać pośród ułamków broni i

wzgórz trupów. Nie, pośród moich najemników są Piktowie i Lemuryjczycy, którzy jeśli zginę, przybędą moim śladem do Zakazanego Jeziora i Zaczarowane Królestwo spłynie krwią. Oni mają własne tabu i nie boją się tych, które pozostały po cywilizowanych rasach. Oni nie troszczą się o to, co stanie się z Valusią. Myślą tylko o mnie. W moich żyłach bowiem, tak jak i w ich, płynie barbarzyńska krew.

– Stary świat podąża drogą do ruiny i zapomnienia – zamyślił się król jeziora. – My, którzy byliśmy tak potężni w dawnych czasach, musimy pogodzić się z urąganiem aroganckiego dzikusa w naszym własnym królestwie. Przyrzeknij, że nigdy więcej twoja stopa nie zanurzy się w Zakazanym Jeziorze. Jeśli chcesz być wolny, nie pozwól także, żeby tabu złamał ktoś inny.

– Najpierw przyprowadźcie do mnie włócznika–zabójcę.

– Taki człowiek nigdy nie przybył do tego jeziora.

– Nie? Kotka Saremes powiedziała mi...

– Saremes? Tak, znamy ją od dawna. Kiedyś przypląnęła przez zielone wody i pozostała przez kilka wieków na dworach Zaczarowanego Królestwa. Posiada ona mądrość całych pokoleń. Nie wiedziałem dotychczas, że rozmawia także z ludźmi, z powierzchni ziemi. Nadal twierdzą, że nie ma tutaj twojego człowieka. Przysięgam...

– Nie przysięgaj na bogów, czy diabły – wtrącił się Kull. – Daj mi słowo, jak prawdziwie prawdomówny człowiek.

– Daję słowo – powiedział król jeziora, a Kull uwierzył mu. Majestat władcy był bowiem tak wszechobecny, że Kull czuł się przy nim dziwnie mały i prymitywny.

– I ja – powiedział Kull – daję ci słowo, którego nigdy jeszcze nie złamałem, że żaden człowiek nie złamie tabu ani nie będzie przeszkadzał wam w inny sposób.

– Wierzę ci. Jesteś inny od tych ludzi, których znałem. Jesteś prawdziwym królem, i co więcej, prawdziwym człowiekiem.

Kull podziękował mu i schował miecz odwracając się w kierunku schodów.

– Królu Valusii, czy wiesz jak dotrzeć do zewnętrznego świata?

– Jeśli o to chodzi – odparł Kull – sądzę, że jeśli wystarczająco długo będę pływać to znajdę drogę. Wiem, iż wąż przyciągnął mnie przez jedną lub więcej wysp. Przez długi czas płynęliśmy w jaskini.

– Jesteś śmiały – stwierdził król jeziora – ale możesz do końca świata pływać w ciemnościach.

Uniół ręce i potwór wypłynął do podnóża schodów.

– Okropny rumak – powiedział król jeziora – lecz bezpiecznie wyprowadzi cię na odległy brzeg górnego jeziora.

– Jeszcze chwila – zawahał się Kull. – Czy jesteśmy teraz pod jakąś wyspą, czy lądem? Czy może ta kraina naprawdę znajduje się pod dnem jeziora?

– Jesteś, tak jak zawsze, w centrum wszechświata. Czas, miejsce i przestrzeń są iluzjami. Ich miejsce znajduje się tylko w głowach ludzi, którzy, aby rozumieć, muszą ustanawiać granice. Pod tym wszystkim leży tylko rzeczywistość, w stosunku do której wszystkie zjawiska są tylko zewnętrzną manifestacją. Tak, jak górne jezioro wypełnione jest tą samą wodą co, to tutaj. Idź teraz, królu. Jesteś prawdziwym człowiekiem, nawet pomimo tego, że to dopiero pierwsza fala wznoszącego się nurtu dzikości. Dzikości, która wcześniej czy później obejmie cały świat.

Kull słuchał spokojnie, niewiele rozumiejąc. Sądził jednak, że była to jakaś wyższa forma magii. Uścisnął dłonie króla jeziora wzdrygając się jedynie pod wrażeniem, że dotyka czegoś, co jest ciałem, ale nie człowieka. Potem spojrzął po raz ostatni na wielkie, czarne budynki wyrastające w

ciszy i mrużące, ćmopodobne formy stojące pomiędzy nimi. Przyjrzał się jeszcze świecącej powierzchni wody, pokrytej falami czarnego blasku, przemykającego po niej, jak ślady pajaków. Odwrócił się, zszedł po schodach przystani i wskoczył na grzbiet behemota.

Wydawało się, iż wieki mijają, gdy przedostawali się przez ciemne groty i płynące strumienie. Z różnych stron, spod wody, czy z jej powierzchni słyszeli szepty niewidzialnych, gigantycznych potworów. I w końcu pojawił się ognisty mech, a oni wypłynęli przez błękit wzburzonej wody. Kull nareszcie mógł wyjść na ląd.

Rumak króla stał cierpliwie, w miejscu, w którym go zostawił. Księżyc już świecił nad jeziorem. Kull stwierdził zdziwiony: – Na Valkę. Zaledwie godzinę temu pojawiłem się tutaj! Wydawało mi się, że od tego czasu minęło wiele godzin, a może nawet i dni.

Wsiadł na wierzchowca i ruszył w kierunku miasta Valusii. W trakcie jazdy zastanawiał się, że być może było coś w stwierdzeniach króla jeziora o iluzji czasu.



Kull był znużony, wściekły i oszołomiony. Podróż przez wody jeziora zmyła z jego ciała krew. Niestety jazda wierzchem spowodowała iż rany na udach ponownie otworzyły się. Ponadto zraniona noga zesztyniała, co jeszcze bardziej go rozdrażniło. Ale najważniejsze było teraz dla niego poznać powody, dla których Saremes skłamała. Czy był to efekt niewiedzy,

czy złośliwej premedytacji? Jej działanie zbyt bliskie było wysłaniu go na pewną śmierć. Z jakiego powodu?

Kull zaklął, przypomniawszy sobie co powiedziałby Tu. Oczywiście, nawet mówiący kot mógł być osadzony niewinnie. Po chwili zastanowienia, Kull zdecydował się jednak nie przechylać szali na korzyść Saremes.

Kull wjechał w ciche, srebrzyste ulice starożytnego miasta. Strażnicy przy wrotach aż zamarli ujrzawszy go, ale rozsądnie zrezygnowali z wypytывania.

Pałac wydał mu się niesłychanie zgiełkliwym. Przeklinając udał się do komnat Rady, a potem do pokojów kotki Saremes. Stworzenie było na miejscu, jak zwykle perwersyjnie przeciągające się na posłaniu. W jej pokojach zgromadzili się także spierający się pomiędzy sobą Tu i członkowie Rady. Nigdzie nie można było dostrzec niewolnika kotki, Kuthulosa.

Kull został powitany dzikim hałasem okrzyków i pytań. Skierował się jednak prosto ku posłaniu Saremes. Przyjrzał się jeszcze raz dokładnie kotu.

– Saremes – powiedział król – okłamałaś mnie.

Kotka spojrzała na niego zimno, ziewnęła i nie odpowiedziała Kull stanął w zakłopotaniu, co pozwoliło, by Tu chwycił go za rękę.

– Kullu, w imię Valki, gdzie ty byłeś? Skąd ta krew?

Kull skrzywił się z irytacją.

– Zostawmy to – sarknął. – Ten kot zrobił ze mnie wariata... gdzie jest Brule?

– Kullu!

Kull obrócił się i ujrzął, jak Brule przechodzi przez drzwi komnaty. Jego skąpe okrycie pokrywał pył po długiej, konnej podróży. Brązowe oblicze Pikta było jak wykute z kamienia, tylko z ciemnych oczu wyglądała ulga.

– Na imiona siedmiu diabłów! – powiedział wojownik ukrywając emocje. – Moi jeźdźcy przeczesywali wzgórza i lasy poszukując ciebie. Gdzie się podziewałeś?

– Przeszukiwałem wody Zakazanego Jeziora, chcąc znaleźć tve nic nie warte ścierwo – odparł Kull doskonale bawiąc się zdenerwowaniem Pikta.

– Zakazane Jezioro! – ryknął Brule, jakby byli w dżungli. – Czy dostałeś rozmiękczenia mózgu? I cóż ja miałbym tam robić? Dotrzymywałem wczoraj towarzystwa Ka–nu aż do granicy zarfhaaniańskiej. Gdy wróciłem, usłyszałem, jak Tu wydaje rozkaz o poszukiwaniu ciebie dla całej armii. Od owej chwili moi ludzie rozjechali się we wszystkich kierunkach oprócz Zakazanego Jeziora Nie sadziliśmy, że ten jest właściwy.

– Saremes okłamała mnie... – zaczął Kull.

Jego głos od razu utonął w chórze głosów, z których większość miała za swój cel przypomnieć mu, że król nigdy nie powinien wyjeżdżać tak bezceremonialnie. Nie może pozostawiać królestwa na łasce losu.

– Cisza! – ryknął unosząc rękę Kull. Jego oczy niebezpiecznie rozbłysły. – Valko i Hotath! Czy jestem wykręcającym się od pracy smarkaczem? Tu, powiedz mi, co się stało.

W nagle zapadłej ciszy, która rozpoczęła się po królewskim wybuchu, Tu zaczął: – Mój panie, od początku zostaliśmy wystrychnięci na dudka. Ten kot jest, jak już wspomniałem, złudą, niebezpiecznym oszustwem.

– Jeszcze...

– Panie, czy nigdy nie słyszałeś człowieka który umiałby wyrzucać głos na odległość? W ten sposób można sprawić wrażenie, że słowa pochodzą od innej osoby lub, że pojawiają się z powietrza.

Twarz Kulla pokryła czerwień. – Tak, na Valkę! Głupcem jestem, że zapomniałem! Taki sam dar miał stary czarownik z Lemurii. Tylko kto mówił...

– Kuthulos! – wyjaśnił Tu. – Ja też jestem głupcem. Nie pamiętałem Kuthulosa, niewolnika, tak, ale też największego uczonego i najmądrzejszego człowieka w całych Siedmiu Królestwach. Niewolnik tej, tak zwanej Delcardes, która nawet teraz wije się na mękach!

Kull wydał słaby okrzyk zaskoczenia.

– Tak – bezlitośnie powiedział Tu. – Kiedy wszedłem i zorientowałem się, że wyjechałeś, nie wiadomo gdzie, podejrzewałem zdradę. Usiadłem i zacząłem wysilać mózg. Przypomniałem sobie Kuthulosa i jego sztukę rzucania głosem. Pamiętałem, że fałszywy kot opowiadał ci o małych rzeczach, a nigdy nie udzielał wielkich przepowiedni. Opowiadał wymyślne bzdury mające stanowić dowód specjalnego powstrzymywania się.

– Więc w końcu, domyśliłem się, że Delcardes wysłała tego kota i Kuthulosa, aby cię ogłupić, zdobyć twoje zaufanie, a w końcu doprowadzić do zguby. Posłałem zatem po Delcardes i nakazałem poddać ją torturom, aby wszystko wyznała. Zaplanowała to bardzo sprytnie. Tak, Saremes musiała mieć cały czas przy sobie własnego niewolnika Kuthulosa... w ten sposób mógł on mówić jej ustami i podsuwać ci dziwne pomysły.

– Zatem, gdzie teraz jest Kuthulos? – zapytał Kull.

– Zniknął, gdy przybyłem do komnat Saremes i...

– Czołem Kullu! – spokojny głos dobiegł od strony drzwi i pojawiła się brodata, podobna do elfa postać. Towarzyszyła jej dziewczęca, szczupła i wyraźnie przerażona osóbka.

– Ka-nu! Delcardes! A więc mimo wszystko nie torturowali cię!

– Och, mój panie! – podbiegła do króla i łącząc stopy rzuciła się przed nim na kolana. – Och, Kullu – zapłakała. – Oskarżono mnie o jakieś potworne rzeczy! Jestem winna zwodzenia ciebie, mój panie, ale nie chciałam cię skrzywdzić! Ja chciałam tylko poślubić Kulra Thoom!

Zakłopotany Kull podniósł jaz klęczek, litując się nad jej strachem i wierząc w wyrzuty sumienia.

– Kullu – powiedział Ka-nu. – Jak to dobrze, że wróciłem we właściwym momencie. Inaczej ty i Tu wrzucilibyście królestwo do morza!

Tu skrzywił się w milczeniu, ciągle zazdrosny o ambasadora Piktów, będącego również doradcą Kulla.

– Wróciłem i cóż widzę. Cały pałac aż huczy, ludzie biegają to tu, to tam, wpadając bez powodu jeden na drugiego. Wysłałem Brule i jego jeźdźców na poszukiwanie ciebie. Wracając do komnaty tortur... pierwsze co zrobiłem to udałem się tam. Tu przecież mógł wydawać rozkazy...

Przewodniczący Rady drgnął.

– Co do komnaty tortur – Ka-nu uprzejmie kontynuował – znalazłem tam płaczącą Delcardes, która opowiadała wszystko co wie. Nie wierzono jej jednak i już miano zacząć tortury. Pomijając jej urodę, to tylko wścibskie dziecko. Przyprowaździłem ją więc tutaj.

– Zatem, Kullu, Delcardes mówiła prawdę, kiedy opowiadała, że Saremes była jej gościem i jest bardzo stara. To prawda, jest kotem ze Starej Rasy, mądrzejszym od innych ze swego gatunku. Odpowiada i przybywa na wiele próśb. Ciągle jednak jest kotem. Delcardes miała szpiegów w pałacu opisujących jej wiele nieważnych zdarzeń, takich jak tajny list, który schowałeś w pochwie sztyletu, czy nadwyżka w skarbcu. Poślaniec, który zawiadamiał was o tym, był jednym z jej szpiegów. Wcześniej odkrył nadwyżkę i powiedział jej, zanim dowiedział się o tym królewski skarbnik. Jej szpiegami byli twoi zaufani członkowie świty. Zdarzenia o jakich jej opowiadali, nie mogły wyrządzić ci krzywdy, a pomagały jej. Wszyscy oni kochali ją, wiedzieli bowiem, że nie ma groźnych zamiarów.

– To jej pomysłem było zatrudnienie Kuthulosa, żeby mówił ustami Saremes, wzbudził twoje zaufanie drobnymi przepowiedniami i faktami, które każdy mógłby znać. Takim było i ostrzeżenie przed Thulusa Doom. Wtedy wystarczyłoby namówić cię, byś pozwolił Delcardes na ślub z Kulra Thoom, co było jedynym życzeniem dziewczyny.

– Więc to Kuthulos okazał się zdrajcą – powiedział Tu.

W tym momencie rozległ się hałas w drzwiach pokoju. Do komnaty wkroczyli strażnicy, trzymając pomiędzy sobą wysoką, ponurą postać. Jej twarz nadal kryła się pod zasłoną, ręce zostały skrępowane.

– Kuthulos!

– Tak, Kuthulos! – powiedział Ka–nu, lecz nie wydawał się zadowolony. Jego oczy rozglądały się przenikliwie bez odpoczynku. – Bez wątplenia, Kuthulos, wraz z welonem na twarzy, by ukrywać pracę ust i mięśni szyi w trakcie przemawiania przez Saremes.

Kull przyjrzał się cichemu kształtowi, który stał jak statua. Cisza zapanowała w całej grupie, tak jakby zimny wiatr przemknął wokół nich. W powietrzu czuć było napięcie. Delcardes popatrzyła na cichą postać i jej oczy rozszerzały się, gdy wartownicy składali krótkie sprawozdanie, w jaki sposób niewolnik został złapany w trakcie próby ucieczki z pałacu, przez rzadko używany korytarz.

Potem znowu zapadła nabrzmiąta emocjami cisza, kiedy Kull podszedł i wyciągnął dłoń, by zerwać welon z ukrytej twarzy. Przez cienki materiał król czuł dwoje oczu wpatrujących się w niego z uwagą. Nikt nie zwrócił uwagi na zaciskającego dłonie i napinającego się jak przed dziwną bitwą Ka–nu.

Nagle, gdy Kull już prawie dotknął welonu, dziwny dźwięk przerwał ciszę wstrzymanych oddechów. Odgłos brzmiał jak dźwięk, jaki powoduje człowiek uderzając w podłogę łokciem lub czołem. Wydawał się dolatywać

ze ściany. Kull zamaszystym krokiem przeciął pokój i uderzył w fragment ściany, zza której dobiegał. Ukryte drzwi otworzyły się, odkrywając przed ich oczami zakurzony korytarz, w którym leżał skrępowany i zakneblowany człowiek.

Postać została szybko wyciągnięta i postawiona na nogi. Odkneblowano go.

– Kuthulos! – krzyknęła Delcardes.

Kull przyjrzał się. Odkryta twarz mężczyzny była szczupła i sympatyczna jak oblicze nauczyciela filozofii i etyki.

– Tak moi państwo – powiedział. – Ten człowiek, który nosi welon wypadł przez sekretne drzwi, ogłuszył mnie i związał. Leżałem tam, słuchając jak wysyła króla na to, co wydawało mu się pewną śmiercią, a co nie przyniosło nic.

– Zatem kim on jest? – wszystkie oczy zwróciły się na zawoalowaną postać, a Kull zbliżył się znowu do niej.

– Królu, panie, strzeż się! – zawołał prawdziwy Kuthulos. – On...

Kull ściągnął zasłonę jednym ruchem i wzdrygnął się jej dotykiem. Delcardes krzyknęła i kolana nie utrzymały jej ciężaru. Członkowie Rady cofnęli się z pobladłymi twarzami. Wartownicy zwolnili uścisk i skulili się wstrząśnięci grozą.

Twarcą mężczyzny była prosta, biała czaszka, w której oczodołach płonął siny ogień!

– Thulusa Doom! Tak, tego się spodziewałem! – wykrzyknął Ka–nu.

– Tak, Thulusa Doom, głupcy – głos pobrzmiwał dziwnym echem. – Największy ze wszystkich czarowników, a zarazem twój odwieczny wróg, Kullu z Atlantydy. To rozdanie wygrałeś, ale strzeż się bo będą jeszcze inne.

Jednym ruchem zerwał więzy z rak i ruszył do drzwi, deptając po piętach uciekającemu tłumowi.

– Bez wątpienia jesteś mało spostrzegawczym głupcem, Kullu – powiedział. – Gdyby było inaczej, nigdy nie pomyliłbyś mnie z tym drugim głupcem Kuthulosem, nawet w jego welonie i ubraniu.

Kull wiedział, że to prawda. Kuthulos i Thulusa byli tej samej postury i wzrostu, ale skóra maga była skórą od dawna martwego człowieka.

Król stał. Nie był jak inni przestraszony, ale dziwna sytuacją której był świadkiem, spowodowała, iż nie był w stanie powiedzieć ani słowa. Kiedy ruszył do przodu, zachowywał się jak człowiek idący we śnie. Za to Brule rzucił się do walki z cichą wściekłością tygrysa i obnażonym ostrzem zakrzywionego miecza. Jego ruchy były niczym błysk światła. Wbił swą broń w żebra Thulusy Doom, aż jej koniec wyszedł pomiędzy łopatkami maga.

Brule odzyskał broń, wyciągając ją szybkim szarpnięciem. Odskoczył i złożył się do kolejnego ciosu. Zatrzymał się nagle, w pół ruchu. Z rany, która zabiłaby normalnego człowieka, nie wypłynęła ani jedna kropla krwi. Istota o twarzy–czaszce zaśmiała się.

– Wieki temu umarłem jako człowiek! – wykrzyknął. – Dlatego odejdę do innego świata, kiedy nadejdzie mój czas, ale nie wcześniej. Nie krwawię, bo moje żyły są puste. Czuję jedynie zimno, kiedy rana się zamyka, a właśnie teraz to się dzieje. Cofnijcie się, głupcy. Idzie wasz władca. A kiedy wróci, będziecie krzyczeć, klękać i umierać. Kullu, pozdrawiani cię!

Brule wahał się zdenerwowany, a Kull stał zdziwiony, podczas gdy Thulusa Doom przechodził przez drzwi i znikał na oczach wszystkich.

– Przynajmniej – powiedział później Ka–nu – wygrałeś Kullu swoje pierwsze starcie z tą istotą o twarzy–czaszce. Następnym razem musimy

uważać. On jest diabłem we własnej osobie, mistrzem złej, czarnej magii. Nienawidzi cię, bo jest związany z wielkim Wężem, którego potęgę złamałeś. Umie posługiwać się iluzją i zna sekret niewidzialności, i co gorsza jest jedynym, który to potrafi. Jest niebezpieczny i okrutny.

– Nie boję się go – powiedział Kull. – Następnym razem będę przygotowany i moją odpowiedzią stanie się uderzenie miecza, mimo że, jak sam twierdzi, a w co ja wątpię, nie można go zabić. Brule nie trafił w wewnętrzne organy, które nawet żyjący martwy musi mieć. To wszystko.

– Lordzie Tu – mówił dalej zwracając się do swego doradcy – wygląda na to, że cywilizowane rasy także mają swe tabu, jako że niebieskie jezioro jest zakazane dla wszystkich, poza mną.

Tu odpowiedział sztywno. Był zły na Kulla, że zezwolił on uradowanej Delcardes na ślub z tym, kogo pragnęła.

– Mój panie, to nie jest ciemne tabu, podobne do tych, które miał twój szczep. To sprawa wagi państwowej. Ma ona utrzymywać pokój pomiędzy Valusią, a magicznymi istotami z jeziora.

– I nie zmienimy tego zwyczaju tak, jak nie obrażamy duchów tygrysów i orłów – powiedział Kull. – Nie widzę tu żadnej różnicy.

– W każdym razie – rzekł Tu – musisz panie uważać na Thulusę Doom. Co prawda znikł on w innym wymiarze i dopóki jest tam, pozostaje dla nas niewidzialny i nic nam nie może zrobić. Ale on wróci.

– Ach, Kullu – westchnął stary łobuz, Ka-nu. – Moje życie jest i tak trudniejsze, w porównaniu z twoim. Brule i ja upiliśmy się w Zarfhaanie i spadłem ze schodów nieszczęśliwie, tłukąc sobie goleń. W międzyczasie ty, Kullu, wylegiwałeś się w miękkich jedwabkach królewskiego życia.

Kull spojrzał na niego bez słowa. Potem zwrócił swoją uwagę na śpiącą Saremes.

– Ona nie jest magiczną bestią, Kullu – rzekł włócznik–zabójca. – Jest mądra, ale nie wygląda na taką. I nie mówi. Teraz jej oczy fascynują mnie swoją wiekowością. Normalny kot.

– Ale wciąż, Brule – odrzekł Kull głaszcząc jedwabne futerko kota – jest bardzo starym kotem. Bardzo starym.



CZASZKA CISZY

Ludzie wciąż nazywają go Dniem Królewskiego Strachu. W końcu Kull, król Valusii, jest tylko człowiekiem. Nie było nigdy bardziej śmielszego niż on, ale wszystko ma swoje granice, nawet odwaga. Oczywiście Kull wiedział co to obawa, zimny szept przerażenia, nagły napływ strachu, a nawet cień nieznanego lęku. Ale to tylko początki w cieniu umysłu, powstałe głównie przez zaskoczenie lub obrzydliwe tajemnice, czy nienaturalne rzeczy. Bardziej odraza niż prawdziwy strach. Prawdziwy strach zdarzał się u niego tak rzadko, że ludzie nazwali dzień, w którym to się stało.

Tak więc był i czas, kiedy Kull poznał Strach. Prawdziwy, okropny i niezrozumiały strach. Jego kolana zdrząły, a krew, zmrożona strachem, przestała płynąć. Ludzie mówiąc czasie Królewskiego Strachu bez pogardy, a Kull nie czuje wcale wstydu. Nie, bowiem i to wpłynęło na jego nieśmiertelną sławę.

A zaczęło się tak.

Kull siedział na Tronie Państwa, słuchając leniwie toczącej się rozmowy, w której brali udział: główny doradca – Tu, ambasador Piktów – Ka–nu, jego prawa ręka – Brule oraz niewolnik, który niegdyś był wielkim mędrcelem Siedmiu Imperiów – Kuthulos.

– Wszystko jest iluzją – mówił Kuthulos. – Wszystko to zewnętrzne manifestacje leżącej w głębi Rzeczywistości. Jest ona poza możliwościami zrozumienia przez człowieka, ponieważ nie istnieją relatywne sposoby, przy których pomocy, ograniczony umysł mógłby zmierzyć coś, co nie ma granic. Może ona stanowić przykrywkę wszystkiego, bowiem każda naturalna iluzja może posiadać podstawowy byt. Wszystkie te sprawy znał Raama, największy umysł wszechczasów. Wieki temu uwolnił on ludzkość z uścisków nieznanych demonów i wyniósł rasę ludzką na pierwszy plan dziejów.

– Był bardzo potężnym nekromantą – powiedział Ka-nu.

– Nie był czarownikiem – stwierdził Kuthulos. – Nie takim śpiewającym, mamroczącym magiem wożącym z wątroby węży. Nie było w nim nic z tych komedii. Raama pojął Pierwsze Zasady, znał Żywioły i rozumiał, że działając na siły natury naturalnymi środkami, osiągniemy naturalne efekty. Stworzył widmowe lustra poprzez naturalne działanie mocy. Było to dla niego tak proste, jak dla nas dołożenie do ognia. Cóż... jest to poza granicami naszych możliwości tak, jak ogień był nie do okiełznania przez naszych przodków.

– Dlaczego więc nie przekazał swych sekretów ludziom? – spytał Tu.

– Wiedział, że ludzie nie powinni wiedzieć za dużo. Niektórzy z nich mogliby użyć swej wiedzy w złych celach. Podporządkowaliby sobie całą rasę, a może cały świat, gdyby wiedzieli tyle co Raama Człowiek musi uczyć się sam i rozwijać swą duszę podczas nauki.

– Tak... powiedziałaś, że wszystko jest iluzją – stwierdził Ka-nu, dobry dyplomata, ale ignorant, jeśli chodzi o filozofię. Niemniej respektował on Kuthulosa, a może w gruncie rzeczy jego wiedzę. – Jak to jest? Czy my nie słyszymy, nie widzimy i nie czujemy?

– Cóż to takiego obraz i dźwięk? – odrzekł niewolnik. – Czy dźwięk nie jest przeciwieństwem ciszy? Czy nie powstaje pod jej nieobecność? Brak czegoś nie tworzy materialnych rzeczy. Jest niczym. A jak nic może istnieć?

– Więc dlaczego rzeczy, przedmioty istnieją? – zapytał Ka–nu jakby był zdziwionym dzieckiem.

– One są pozorem rzeczywistości. Jak cisza. Gdzieś istnieje esencją dusza ciszy. Nic jest czymś. Brak czegoś powoduje istnienie materii. Który z was słyszał prawdziwą, absolutną ciszę? Żaden z nas! Zawsze istnieją jakieś dźwięki – szept wiatru, brzęczenie owadów, nawet ruch trawy czy piasku, mamrotanie pustyni. Ale w samym sercu ciszy nie ma dźwięku.

– Raama – rzekł Ka–nu – dawno temu zamknął na zawsze duszę czasu w wielkim zamku.

– Tak – powiedział Brule. – Widziałem ten zamek: wielkie, czarne coś, stojące samotnie na wzgórzu w najdzikszym obszarze Valusii. Od niepamiętnych czasów to miejsce jest znane jako Czaszka Ciszy.

– Ha! – Kull wreszcie zainteresował się rozmową – Moi przyjaciele, mam ochotę zobaczyć to miejsce!

– Królu – rzekł Kuthulos – nie dobrze jest ruszać coś, co stworzył Raama. Wszak był on mądrzejszy od wszystkich ludzi. Słyszałem, iż dzięki swej sztuce uwięził demona. Znaczący... Nie dzięki sztuce, ale dzięki wiedzy o mocach natury i nie demona, a żywiołu, który przeszkadzał w istnieniu rasy.

– O mocy tego żywiołu świadczy fakt, że nawet sam Raama nie mógł go zniszczyć. Zdołał go jedynie uwięzić.

– Wystarczy – Kull machnął ręką. – Raama nie żyje tyle tysięcy lat, że nuży mnie myślenie o nim. Jadę odnaleźć Czaszkę Ciszy. Kto jedzie ze mną?

Wszyscy, którzy go słuchali wtedy, oraz setka Czerwonych Zabójców, najlepszych oddziałów Valusii, była z Kullem, gdy wczesnym rankiem wyjeżdżał on z królewskiego miasta. Wjechali pomiędzy góry Zalgara i po wielu dniach szukania trafili na samotne, ponure wzgórze, które wznosiło się ponad okoliczne płaskowyże. Na nim stał wielki, czarny jak cień zagłady zamek.

– To jest to miejsce – rzekł Brule. – Żaden człowiek nie mieszka w odległości mniejszej niż sto kilometrów od zamku i żaden nie mieszkał za ludzkiej pamięci. Ta okolica jest przeklęta.

Kull zatrzymał swego rumaka i rozejrzał się. Nikt nic nie mówił i król czuł dziwną ciszę, która zdawała się być nie do wytrzymania. Kiedy przemówił, wszyscy podskoczyli. Dla Kulla wyglądało to tak, jakby fale zabijającej ciszy emanowały z okropnego, stojącego na wzgórzu zamku. Żaden ptak nie śpiewał w okolicy, nie było wiatru, który poruszyłby gałęziami uschłych drzew. Kiedy jeźdźcy Kulla podjeżdżali do góry, wywołany przez nich stukot zdawał się dzwonić niemrawo i daleko. Dźwięk umierał nie dając echa.

Zatrzymali się przed zamkiem, który wyrastał ze wzgórza niczym monstrualne, ciemne drzewo. Kuthulos spróbował jeszcze raz wpłynąć na króla.

– Kullu, zastanów się! Jeżeli rozerwiesz pieczęć, to możesz wypuścić potwora, którego sile i szalowi nie przeciwstawi się żaden człowiek!

Kull z powstrzymywaną niecierpliwością machnął przecząco ręką. Był w uścisku nieobliczalnej przewrotności. Ten podstawowy błąd władców, dotknął zazwyczaj rozsądnego Kulla. Król podjął już decyzję i nic nie było w stanie odwieść go od jej realizacji. – Kuthulosie, na pieczęci jest jakiś starożytny napis – powiedział. – Przeczytaj go mi.

Kuthulos niechętnie zsiadł z konia. Reszta grupy podążyła za nim, oprócz siedzących na koniach jak statuy z brązu zwykłych żołnierzy. Zamek spoglądał na nich jak niewidoma czaszka. Wrażenie to pogłębiał fakt, iż nie było widać żadnych okien. Wielkie, żelazne wrota były zaryglowane i opieczętowane. Najwyraźniej budynek miał wewnątrz tylko jedno pomieszczenie.

Kull wydał kilka rozkazów, co do działania oddziałów. Zirytował się, kiedy stwierdził, że musi podnosić głos jedynie po to, aby dowódcy lepiej go zrozumieli. Ich odpowiedzi wypadły bezbarwnie i niewyraźnie.

Król, wraz z czterema współtowarzyszami, zbliżył się do wrót. Na ramie ponad wejściem, wisiał dziwnie wyglądający gong. Zrobiony był prawdopodobnie z jadeitu w odcieniu szarości. Kull nie był pewien jego koloru, ponieważ ten zmieniał się przed jego zaskoczonym wzrokiem. Chwilami zdawało się, że spojrzenie wciągane jest w głąbiny, innym razem, że pływa po płyciźnie. Obok gongu wisiał młotek zrobiony z tego samego, dziwnego materiału. Kull uderzył w niego lekko i z zaskoczenia został z lekka ogłuszony dźwiękiem, jaki się pojawił. Była to jakby koncentracja wszystkich ziemskich brzmień.

– Przeczytaj napisy, Kuthulosie – ponownie rozkazał i niewolnik z zauważalnym szacunkiem podszedł do drzwi. Słowa te bez wątplenia wykuł sam wielki Raama.

– To co było, może się powtórzyć – przeliterował. – Strzeżcie się więc, wszystkie ludzkie dzieci!

Na jego twarzy pojawił się zauważalny cień lęku.

– Ostrzeżenie! Ostrzeżenie prosto od Raamy! Zastanów się Kullu, powstrzymaj się!

Kull sarknął, wyciągnął miecz, wyrwał pieczęć z obsady i zaczął przecinać wielki, metalowy skobel. Uderzał raz za razem niewiele robiąc

sobie z zapadłej wokół ciszy, przerywanej jedynie metalicznymi dźwiękami. Zasuwy opadły, a wrota trzasnęły otwierając się.

Kuthulos wrzasnął. Kull zachwiał się rozglądając się po pomieszczeniu. Komnata była pusta. Nie! Nic nie zauważył, bowiem nie było nic do zobaczenia. Wtedy poczuł, jak powietrze zadrgało wokół niego, gdy coś przybyło kłębiąc się w ohydny pokój wielkimi, niewidzialnymi falami. Kuthulos pochylił ramiona i wrzasnął. Jego słowa dobiegły słabo, jakby z jakiejś kosmicznej odległości.

– Cisza! To jest dusza całej Ciszy!

Dźwięk wygasł. Konie poniosły, a jeźdźcy spadli na twarze w pył. Leżeli tak, trzymając się rękami za głowy, bezgłośnie wrzeszcząc.

Kull stał wyprostowany samotnie. Jego wielki miecz błyszczał z przodu. Cisza! Całkowita i absolutna! Przelewające się i kłębiące fale horroru. Ludzie otwierający usta i wrzeszczący, lecz... bez dźwięku!

Cisza wdarła się do duszy Kulla. Dotarła do jego serca wysłała stalowe macki do jego mózgu. W udęce przycisnął dłoń do czoła. Jego czaszka płonęła, puchła. W falach lęku, jaki wypełnił go, Kull ujrzał czerwone, gigantyczne wizje. Ciszę rozprzestrzeniającą się na całą Ziemię, na cały Wszechświat! Ludzie umierali w drgawkach. Ryk rzek, huk oceanów, hałasy wiatru zamierały i przestawały istnieć. Cały Dźwięk został zatopiony przez Ciszę. Cisza niszcząca duszę, rozmiękczająca mózg, zalewająca całe życie na Ziemi i docierająca do nieba, by zniszczyć nawet śpiew odległych gwiazd!

I wtedy Kull, poznał strach, lęk, przerażenie... ogarniające wszystko, przekłete, zabijające duszę. Stojąc twarzą w twarz z ciemną wizją, zachwiał się i zatoczył jak pijany, oszalały z lęku. O bogowie, choć jeden dźwięk, cichutki, słaby hałas! Kull otworzył usta jak pełzający szaleńcy za nim. Jego serce prawie wyrwało się z piersi w wysiłku wrzasku. Przelewająca się

cisza zakneblowała go. Uderzył w metal swego miecza. I dalej kłębiące się fale wypływały z pomieszczenia, opływając go, rozdzierając, urągając mu jak jakaś przerażająca forma Życia.

Ka–nu i Kuthulos leżeli w bezruchu. Tu wił się leżąc na brzuchu z głową w uścisku dłoni, wyjąc bezgłośnie, jak umierający szakal. Brule tarzał się w pyle jak ranny wilk, na ślepo sięgając pochwy.

Kull mógł teraz prawie ujrzeć kształt Ciszy, przerażającej Ciszy, która nareszcie wy dostała się z Czaszki, by rozsadzić czaszki ludzi. Kręciła się, pełzała bluźnierczymi kłębami i cieniami. Śmiała się z niego! Żyła! Kull zachwiał się i przewrócił. Gdy to się stało, jego wyciągnięta ręka potrąciła gong. Kull nie usłyszał dźwięku, lecz poczuł gwałtowne drgania i skurcze fal wokół siebie. Słabe cofnięcie się, niechętne jak ręka człowieka bezwiednie cofa się przed płomieniem.

Ach, stary Raama pozostawił strażnika dla rasy, nawet po śmierci! Ogłupiały umysł Kulla rozwiązał nagle zagadkę. Morze! Gong był jak morze wypełnione zmieniającymi się, zielonymi cieniami. Nigdy nie będące w bezruchu. Nigdy nie bezgłośnie.

Morze! Wibrujące, pulsujące, poruszające się w dzień i w nocy. Największy nieprzyjaciel Ciszy. Unosząc się z wysiłkiem, ogłuszony, złapał jadeitowy młotek. Jego kolana poddały się, ale uwiesił się jedną ręką ramy, zamachując się w ostatecznej, śmiertelnej desperacji młotkiem. Cisza kłębiła się groźnie wokoło.

Śmiertelniku, kim jesteś aby przeciwstawiać się mi, która jestem starsza od bogów? Byłam, zanim pojawiło się Życie. Będę, gdy ono umrze. Zanim narodził się najeźdźca Dźwięk, Wszechświat był cichy, będzie taki znowu. Ponieważ rozprzestrzenię się na cały kosmos i zabiję Dźwięk... zabiję Dźwięk... zabiję Dźwięk!

Ryk Ciszy odbijał się w jaskiniach odrętwiałego mózgu Kulla śpiewnymi, monotonnymi drganiami, gdy ten uderzał w gong znowu... i znowu... i znowu!

Przy każdym uderzeniu Cisza cofała się... centymetr po centymetrze... centymetr po centymetrze... Z powrotem, z powrotem, z powrotem. Kull odnalazł siłę do uderzania dalej. Zdawało mu się teraz, że słyszy cichutkie dźwięczenie gongu. Jakby ktoś, gdzieś po drugiej stronie Wszechświata uderzył w srebrną monetę gwoździem. Przy każdym odgłosie, otaczająca Cisza zmniejszała się i jakby oddalała. Macki skróciły się, fale cofnęły. Cisza zmalowała.

Z powrotem i z powrotem, i jeszcze raz... z powrotem. Teraz kłęby Ciszy unosiły się w wejściu. Za Kullem ludzie z trudem unosili się na kolana, skamląc i jęcząc. Szczękali zębami, a ich wzrok był pusty. Król wydarł gong z mocujących go ramion i ruszył w kierunku drzwi. Chciał skończyć walkę. Nie uznawał kompromisów. Nie zaryglowane drzwi nie będą chronić przed tym horrorem. Cały Wszechświat powinien zatrzymać się i ujrzyć człowieka będącego dowodem na niezbędną istnienie ludzkości, wspinającego się na wysokie schody chwały, dzięki tak heroicznemu czynowi.

Stał w wejściu pochylony przeciw wiszącym falom, które bezustannie go raniły. Całe Piekło ruszyło na niego z ostatniej siedziby przerażającej rzeczy, której spokój naruszył. Cała Cisza była z powrotem w komnacie, zmuszona do powrotu przez niepowstrzymany Dźwięk. Dźwięk, który był połączeniem wszystkich dźwięków i odgłosów Ziemi. Uwięziony ręką mistrza, który dawno temu pokonał zarówno Dźwięk jak i Ciszę.

Cisza zebrała wszystkie swoje siły na ostatni atak. Piekło bezdźwięcznego zimna i płomieni zawirowało wokół Kulla. Nadszedł czas istnienia, żywiołów i rzeczywistości. Cisza istniała pod nieobecność

dźwięku, jak mówił Kuthulos, który leżał teraz i jęczał przypominając pusty dzban.

Był więcej niż nieistnieniem. Był tak potężnym nieistnieniem, iż stał się istnieniem. Tak abstrakcyjną iluzją, że stał się rzeczywistością. Kull był oślepiiony, ogłuszony i ogłupiały. Prawie nic nie czuł pod naporem kosmicznych sił. Dusza, ciało i umysł. Otoczone przez wijące się macki. Odgłos gongu znów zniknął. Ale Kull nie poddał się. Jego torturowany mózg trzął się. Ale on wierzył w swoje, stojące na progu, nogi. I z ogromną siłą ruszył do przodu. Napotkał materialny opór. Coś jakby fale twardego ognia, który był bardziej gorący od płomieni i zimniejszy niż lód. Ale podążał naprzód, czując jak opór maleje... maleje.

Krok za krokiem, stopa za stopą, wywalczył sobie drogę do komnaty śmierci pchając przed sobą Ciszę. Każdy krok był dla niego straszną, zmuszającą prawie do jęku torturą. Każdy metr, który przeszedł, zbliżał go do Piekła. Szedł zgarbiony, ze spojrzeniem wbitym w ziemię, a ramiona poruszały się w dziwnym rytmie. Wielkie krople krwi zbierały się na jego brwiach i kapały bez ustanku na ziemię.

Zanim ludzie zaczęli wstawać. Byli słabi i ogłupiali, ponieważ Cisza nawiedziła ich umysły. Patrzyli się na drzwi, za którymi król toczył śmiertelną bitwę o Wszechświat. Brule czołgał się na oślepie, naprzód, ciągnąc miecz. Wciąż był ogłupiały, ale wiódł go instynkt. Czołgał się za swym królem ścieżką, która wiodła do Piekła.

Kull zmuszał Ciszę, by cofała się, krok za krokiem. Czuł jak staje się coraz słabsza i słabsza, jak maleje. Odgłos gongu narodził się znowu i zaczął rosnać, i rosnać. Wypełnił pokój, Ziemię, niebo. Cisza uciekała przed nim. I podczas gdy malała pod jego wpływem, zaczęła przyjmować niesamowitą postać, tę którą zobaczył Kull, mimo iż nie widział jej. Jego ramiona zdawały się martwe, mimo to z ogromnym wysiłkiem zaczął

uderzać coraz mocniej. Cisza cofnęła się w ciemny róg i malała, malała. Jeszcze raz, ostatnie uderzenie! Wszystkie dźwięki Wszechświata zebrały się razem w jedno wycie, jęk, ryk, pochłaniający wybuch dźwięku! Gong rozpadł się na miliony malutkich kawałków. A Cisza krzyknęła!



RZĄDY TOPORA!

1. „Moje pieśni są gwoździami do królewskiej trumny!”

– O północy król musi zginąć!

Mówiący te słowa człowiek był wysoki, szczupły o ciemnej karnacji. Zakrzywiona blizna idąca koło ust, nadawała jego twarzy złowieszczy wyraz. Jego słuchacze kiwali głowami, patrząc na niego w zamyśleniu. Było ich czterech: niski, gruby facet z nieśmiało wyglądającą twarzą, cienkimi ustami i wyłupiastymi oczami; ponury, owłosiony i prymitywny gigant; wysoki i bardzo chudy mężczyzna w stroju błazna, którego błękitne, płonące oczy odbijały zamieszkałe w duszy szaleństwo; i karzeł z nienormalnie szerokimi plecami i długimi ramionami.

Pierwszy z mówiących uśmiechnął się chłodno.

– A teraz złożmy przysięgę. Przysięgę, której nic nie złamię... Przysięgę Sztyletu i Płomieni! Oczywiście ufam wam. Ale lepiej mieć jakieś zabezpieczenie. Zauważyłem, że niektórzy z was drżą.

– Łatwo ci mówić, Ardyon – przerwał mu niski, gruby facet. – Jesteś skazanym na wygnanie złoczyńcą, za którego głowę wyznaczono cenę. Nie

masz nic do stracenia, za to wiele do zdobycia. A my...

– Macie więcej do stracenia i więcej do zdobycia – dokończył niewzruszony złoczyńca. – Wezwaliście mnie z górskich ostępów, abym pomógł wam w zrzuceniu króla z tronu. Zaplanowałem wszystko, przygotowałem sidła, zastawiłem pułapkę i jestem gotów do zniszczenia zwierzyny... ale muszę być pewien waszej współpracy. Czy przysięgniecie?

– Dość tych głupstw! – krzyknął mężczyzna o płomiennych oczach. – Tak, przysięgniemy o świcie, a nocą będziemy tańczyć nad upadłym królem! „Och, śpiew rydwanów i furkotanie skrzydeł sępów”.

– Zachowaj swe pieśni na później, Ridondo – zaśmiał się Ardyon. – Nadszedł czas sztyletów, nie rymów.

– Moje pieśni są gwoździemi do królewskiej trumny! – wykrzyknął minstrel wyciągając długi, cienki sztylet. – Giermku, przynieś tu świecę! Będę pierwszym, który przysięgnie!

Cichy i ponury niewolnik przyniósł długą, cienką świecę. Ridondo przekłuł nadgarstek upuszczając krew. Jeden po drugim pozostała czwórka zrobiła to samo. Trzymali się teraz ostrożnie za nadgarstki tak, aby krew jeszcze nie kapiała. Potem stanęli w krąg, twarzami do siebie, chwycili się za ręce i wyciągnęli je w stronę stojącej w środku świecy. Odwrócili nadgarstki tak, aby krew spadła właśnie na nią. Podczas gdy ogień syczał i skwierczał, oni powtarzali: – Ja, Ardyon, człowiek bez ziemi, ślubuję słowem i pieczętuję ciszą, iż przysięgi nie złamię.

– I ja Ridondo, pierwszy minstrel dworu Valusii! – wykrzyknął bard.

– I ja, Ducalon, książę Komahar – powiedział karzeł.

– I ja Enaros, dowódca Czarnego Legionu – zadudnił gigant.

– I ja, Kaanuub, baron Blaal – rzekł drżącym falsetem mały, gruby człowiek.

Świeczka zasyczała jeszcze raz i zgasła pod rubinowym deszczem, który na nią padał.

– Niech tak skończy się życie naszego wroga – powiedział Ardyon puszczając ręce swych kamratów. Spojrzał na nich z dobrze skrywanym zadowoleniem. Banita wiedział, że przysięga może zostać złamana, nawet ta „nie do złamania”. Ale wiedział też, że Kaanuub, któremu ufał najmniej, jest przesądny. Zawsze jest sposób na pokonanie zabezpieczeń, choćby nie wiadomo jak dobrych.

– Jutro – rzekł nagle Ardyon – lub raczej dzisiaj, jako że już jest świt, Brule, włócznik–zabójca, prawa ręka króla, oraz Ka–nu, ambasador Piktów, wyjeżdżają do Grondaru. Mają piktyjską eskortę i liczny oddział Czerwonych Zabójców, królewskich obrońców.

– Tak – powiedział Ducalon z pewną satysfakcją – to był twój plan, Ardyon, ale to ja go wykonałem. Mam rodzinę w radzie Grondaru. W bardzo łatwy sposób udało się namówić króla, aby zażądał on obecności Ka–nu. A ponieważ Kull wynosi Ka–nu ponad wszystkich, wysłała z nim odpowiednią eskortę.

Banita skinął głową.

– Dobrze. W końcu udało mi się, poprzez Enarosa, skorumpować oficera Czerwonej Gwardii. Człowiek ten wyprowadzi dziś koło północy swych ludzi daleko od królewskiej sypialni, pod pretekstem sprawdzenia dziwnych dźwięków, czy czegoś takiego. Będziemy rozstawieni na wielu różnych podwórcach. Będziemy czekać, nas pięciu i szesnastu zdesperowanych awanturników, których wezwałem z gór, a którzy teraz ukryci są w różnych częściach miasta. Będzie nas dwudziestu jeden przeciw jednemu...

Zaśmiał się. Enaros pokiwał głową, Ducalon wyszczerzył zęby, a Kaanuub zbladł. Ridondo klasnął w dłonie i wykrzyknął wesoło: – Na

Valkę! Pociągający za złote sznurki będą pamiętać tę noc! Upadek tyrana, śmierć despoty... jaką pieśń napiszę!

Jego oczy płonęły dzikim, fanatycznym ogniem. Pozostali spojrzeli po sobie dziwnie. Wszyscy z wyjątkiem Ardyona, który odwrócił głowę kryjąc uśmiech. Potem nagle wybuchnął.

– Dość! Wracajcie do swych domów i ani słowem, ani działaniem, ani nawet jednym spojrzeniem nie zdradźcie co kryją wasze myśli – zawahał się spoglądając na Kaanuuba. – Baronie, twoja blada twarz zdradzi cię. Jeśli Kull przyjdzie do ciebie i spojrzy swymi lodowatymi, szarymi oczami w twoje, załamiesz się. Wyjedź do swej podmiejskiej siedziby i czekaj, aż cię wezwiemy. Nas czterech wystarczy.

Kaanuub ucieszył się tak, że prawie upadł. Odszedł plotąc coś bez związku. Reszta kiwnęła banicie głowami i odeszła.

Ardyon przeciągnął się jak wielki kot i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zawołał niewolnika. Przybyły okazał się być ponuro wyglądającym człowiekiem, którego ramię znaczyły blizny takie, jakie posiadają jedynie napiętnowani złodzieje.

– Jutro – stwierdził Ardyon, biorąc w ręce oferowany mu kielich – wyjdę z tego ukrycia i pozwolę ludowi Valusii nacieszyć swój wzrok moją osobą Przez całe miesiące, odkąd Czwórka Spiskowców wezwała mnie z gór, kryłem się jak szczur. Żyłem w sercu imperium moich wrogów, chowając się przed światłem w dzień, w nocy czając się i zakładając maski w ciemnych alejach, i jeszcze ciemniejszych korytarzach. Teraz zakończę to, czego ci rebelianccy panowie nie umieli. Pracowałem wykorzystując ich, a także innych agentów, z których wielu nigdy nie ujrzało mojej twarzy. Dzięki niezadowoleniu i korupcji, stworzyłem imperium podobne do plastra miodu. Przekupywałem i finansowałem urzędników, podżegałem do buntu biedotę. Tak, działałem w ciemnościach, przygotowując sposób na

zrzucenie z tronu władcy, który w tej chwili siedzi w słońcu na tronie. Och, mój przyjacielu, prawie zapomniałem, że byłem mężem stanu, zanim zostałem banitą. Było tak, dopóki Kaanuub i Ducalon nie posłali po mnie.

– Pracujesz z dziwnymi współtowarzyszami – stwierdził niewolnik.

– Słabi ludzie, lecz na swój sposób silni – leniwie odparł banita. – Ducalon, kłótniwy człowiek, śmiały, zuchwały. Posiada krewnych na wysokich stanowiskach, lecz klepie biedę, a jego nieurodzajne majątki obciążone są potwornymi długami. Enaros, okrutna bestia, silny i odważny jak lew. Ten ma duże wpływy wśród żołnierzy, ale jest bezużyteczny z powodu braku mózgu. Kaanuub, przebiegły dzięki latom wprawy, pełen sprytnych intryg. Z drugiej strony głupiec i tchórz. Skąpy, lecz posiadający bogactwa które były niezbędne dla realizacji moich planów. Ridondo, szalony poeta, całkiem postrzelony, odważny, lecz roztrzepany. Faworyt ludu, słynny i kochany za poruszające serca pieśni. To on jest naszym głównym atutem, jeśli chodzi o popularność. Oczywiście, jeśli moje plany powiodą się.

– Więc kto zasiądzie na tronie?

– Kaanuub sądzi, że to on będzie królem. Posiada w swych żyłach kroplę królewskiej krwi, krwi króla, którego własnymi rękami zabił Kull. To poważny błąd obecnego władcy. Kull wie, że są jeszcze ludzie, którzy chlubią się pochodzeniem ze starej dynastii, ale pozwala im ciągle żyć. Tak więc Kaanuub spiskuje, aby zdobyć tron. Ducalon pragnie powrócić do łask, tak jak było to za starego władcy. Wtedy mógłby przywrócić swe majątki i tytuły do ich właściwego kształtu. Enaros nienawidzi Kelkora, dowódcy Czerwonych Zabójców i sądzi, że powinien mieć jego stanowisko. Chce być dowódcą wszystkich wojsk Valusii. Jeśli chodzi o Ridondo... cóż! Nie cierpię go i podziwiam zarazem. On jest prawdziwym idealistą. Widzi w Kullu obcokrajowca i barbarzyńcę twardo stojącego na

ziemi, krwaworękiego dzikusa, który przybył z morza, by podbić spokojny i cywilizowany kraj. On wyidealizował nawet starego króla, zabitego przez Kulla. Zapomniał przy tym o jego podłej osobowości. Zapomniał nieludzkość, pod brzemieniem, której kraj aż jęczał za jego panowania. To on sprawił, że ludzie zapomnieli. Lud zawsze śpiewa *Lament po Królu*, w którym Ridondo opiewa świętobliwego złoczyńcę, a oczernia Kulla, jako „dzikusa o czarnym sercu”. Kull śmieje się z tych pieśni i odpuszcza karę Ridondo. Tym niemniej zapewne zastanawia się, dlaczego naród zwraca się przeciw niemu. – Ale dlaczego Ridondo nienawidzi Kulla?

– Ponieważ jest poetą. Poeci zawsze nienawidzą tych, którzy posiadają władzę. Rezygnują tylko po śmierci, przeżywając stulecia ulgi w snach. Ridondo jest płonąca pochodnią idealizmu, postrzegającą siebie jako bohatera, stalowego rycerza powstającego, by zrzucić z tronu tyrana.

– A ty?

Ardyon roześmiał się i wysuszył kielich.

– Ja mam własne idee. Poeci są niebezpieczni, ponieważ zawsze wierzą w to, o czym śpiewają. Cóż, ja wierzę w to, co myślę. A myślę, że Kaanuub nie utrzyma zbyt długo tronu. Kilka miesięcy temu straciłem wszystkie ambicje oprócz niszczenia wioski i karawan, dopóki starczy życia. Teraz, cóż... teraz zobaczymy.

2. „Wtedy byłem wyzwolicielem... Teraz...”

Komnata była dziwnie uboga w porównaniu do bogatych kobierców na ścianach i puszystych dywanów na podłodze. Stało w niej małe biurko, za którym siedział mężczyzna. Człowiek tego typu wyróżniałby się z miliona. Było tak głównie dzięki jego niezwyklej wielkości, wzrostowi, szerokości

ramion, co razem dawało dość okazały efekt. Jego twarz jednak była ciemna i nieruchoma. Jego spojrzenie było ostre, a jego wąskie, szare oczy przykuwały swym lodowatym magnetyzmem wzrok rozmówców. Każdy ruch, jaki wykonał, nawet niewielki, ujawniał sprężyste jak stal mięśnie. W poruszeniach nie widać było specjalnych zamierzeń, czy podejmowania jakichś decyzji. Człowiek był perfekcyjny w trwaniu w bezruchu, jak statua z brązu, czy też w kocim ruchu szybkim tak, iż umykał z pola widzenia śledzącemu go obserwatorowi. Teraz mężczyzna odpoczywał z policzkiem opartym na pięści, podpierając się łokciem o biurko. Chmurnie przypatrywał się stojącemu przed nim człowiekowi. Ten zajmował się własnymi sprawami. Był w trakcie mocowania na sobie napierśnika. Co więcej, gwizdał w roztargnieniu jakiś dziwny i niekonwencjonalny utwór, nie zwracając uwagi na to, iż robi to w obecności króla.

– Brule – powiedział król – ten polityczny problem bardziej mnie martwi, niż wszystkie bitwy, jakie stoczyłem.

– To fragment gry, Kullu – odparł Brule. – Jesteś królem i musisz grać swoją rolę.

– Chciałbym móc pojechać z tobą do Grondaru – stwierdził zamyślony Kull. – Wydaje się, że minęły wieki, odkąd ostatni raz dosiadałem rumaka. Cóż, Tu twierdzi, że domowe sprawy wymagają mojej obecności. Przekleństwo z nim!

– Całe miesiące temu – nie oczekując odpowiedzi z wzrastającą posępnością kontynuował – zdetronizowałem starą dynastię i zagarnąłem tron Valusii. Marzyłem o tym od czasów, gdy byłem chłopcem w kraju mojego plemienia. To było proste. Wracając w myślach do starych czasów widzę, jak długą drogę przeszedłem. Te wszystkie dni mordów, trudów i udręki wydają się teraz snem. Wyrosłem z dzikiego ludu Atlantydów. Przetrwiałem lemuryjskie galery... dwa lata niewoli przy wiosłach... Potem

banicja na wzgórzach Valusii, więzienie w jej lochach. Byłem gladiatorem na arenach tego kraju, żołnierzem w jego armii, dowódcą, królem!

– Problem ze mną, Brule to to, iż nie patrzę zbyt daleko w przyszłość. Zawsze moim głównym celem był tron. Nie zastanawiałem się co dalej. Kiedy król Boma legł martwy u moich stóp, a ja zerwałem koronę z jego ociekającej krwią głowy, osiągnąłem ostateczne spełnienie swych marzeń. Od tego czasu nastąpił labirynt iluzji i pomyłek. Przygotowywałem się na zdobycie tronu, a nie na jego utrzymanie.

– Kiedy zabiłem Boma lud pozdrowiał mnie dzikimi okrzykami. Wtedy byłem Wyzwolicielem... Teraz ci sami ludzie mamrocą coś i dziwnie patrzą za moimi plecami... Plują na mój cień, kiedy myślą, że tego nie widzę. Ustawili nawet posąg, tej martwej świni, Bomowi, w Świątyni Węża. Ludzie chodzą tam i biją mu pokłony, pozdrawiając go jak świętego monarchę, który dokonał żywota w walce z barbarzyńcą o splamionych krwią rękach. Kiedy, jako żołnierz, prowadziłem armię do zwycięstwa, w Valusii nie pomijano faktu, iż jestem obcoplemieńcem. Teraz też nie mogą mi tego wybaczyć.

– Teraz w Świątyni Węża mają palić kadzidła ku czci Borna. Robią to ludzie, których egzekutorzy starego władcy oślepiali i wycinali języki, ojcowie, których dzieci zginęły w lochach, mężowie, których żony zostały zaciągnięte do jego haremu. Cóż! Wszyscy ludzie to głupcy.

– Ridondo jest za to najbardziej odpowiedzialny – odparł Pikt, przyczepiając pochwę miecza do pasa. – To jego pieśni spowodowały to szaleństwo. Powieś go za te błazeńskie szatki na najwyższej wieży w mieście. Pozwól, by układał rymy sępom.

Kull potrząsnął swą lwią grzywą.

– Nie, Brule, on jest poza moim zasięgiem. Wielki poeta jest większy nawet od króla. On mnie nienawidzi. Cóż, ja chciałbym żyć z nim w

przyjaźni. Jego pieśni są potężniejsze od mojego berła. Kilkakrotnie prawie wydarł mi serce z piersi, gdy postanowił zagrać dla mnie. Ja umrę i zostanę zapomniany. Jego pieśni będą żyć wiecznie.

Pikt wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Ciągłe jednak jesteś królem i ludzie nie mogą cię usunąć. Czerwoni Zabójcy są po twojej stronie, jak jeden mąż. Masz za sobą także Piktów. Obaj jesteście barbarzyńcami nawet pomimo tego, iż większość swego życia spędziliśmy w tym kraju. Wyruszam już. Nie musisz się niczego obawiać, oprócz próby zamordowania. Tego nie ma się co lękać, z uwagi na fakt, że jesteś dniem i nocą strzeżony przez oddział Czerwonych Zabójców.

Kull uniósł dłonie w geście pożegnania, gdy brzęczący zbroją Pikt opuszczał komnatę.

Teraz kolejna osoba pragnęła móc zwrócić na siebie uwagę króla. Przypomniało to władcy, że wolny czas nigdy nie był jego zbawieniem.

Człowiek o imieniu Seno val Dor, był młodym szlachcicem z miasta. Słynny, młody fechtmistrz i rozpustnik, pojawił się przed obliczem króla z wyraźnymi oznakami poważnych, duchowych problemów. Jego aksamitny kapelusz był już pognieciony, gdy klękając przed władcą upuścił go na podłogę. Pióra całkiem wypadły z przytrzymujących klamer. Nieporządny i zapuszczony ubiór informował o stanie umysłowej agonii, w jakim znalazł się jego właściciel.

– Królu, panie – powiedział tonem głębokiego smutku. – Jeśli wspinała przeszłość mojej rodziny znaczy coś dla Waszego majestatu. Jeśli moja wierność lenna znaczy cokolwiek, na imię Valki, spełnij moją prośbę.

– Opisz ją.

– Królu, panie. Kocham pannę. Nie mogę bez niej żyć. Beze mnie ona będzie musiała umrzeć. Nie mogę jeść, czy też spać, bowiem ciągle myślę o

niej. Jej uroda powraca do mnie dniem i nocą... Wspaniała wizja jej niesamowitej piękności.

Kull poruszył się w zasłuchaniu. Nigdy jeszcze nie był kochankiem.

– Więc, ożeń się z nią, na Valkę!

– Ach – zapłakał młodzieniec – w tym cały problem! Ona jest niewolnicą należącą do Ducalona, księcia Komahar. Zapisane jest w czarnych księgach valusyjskiego prawa, że szlachcic nie może poślubić niewolnicy. Zawsze tak było. Poruszyłem niebo i ziemię, ale zawsze otrzymywałem podobną odpowiedź. „Szlachcic i niewolnica nie mogą wziąć ślubu”. To przerażające. Opowiedziano mi, że nigdy przedtem w całej historii imperium, szlachcic nie zapragnął poślubić niewolnicy. Cóż to dla mnie znaczy! Odwołuję się do ciebie, jako ostatniej deski ratunku.

– Czy ten Ducalon nie mógłby jej sprzedać?

– Mógłby, ale to pogorszyłoby jeszcze sprawę. Ona wciąż byłaby niewolnicą, a człowiek nie może poślubić swojej niewolnicy. Ja też pragnę jej jako żony. Jakakolwiek inna droga byłaby powodem kpin. Chcę pokazać ją całemu światu wystrojoną w gronostaje i klejnoty rodu val Dor! To nie stanie się, jeśli nie pomożesz mi panie. Urodziła się jako niewolnica, jej przodkowie to tysiąc pokoleń niewolników. Niewolnicą będzie też aż do śmierci, a jej dzieci podzielą ten los. Dlatego też nie może poślubić człowieka wolnego.

– Zostań więc razem z nią niewolnikiem – zasugerował Kull, przyglądając się badawczo młodzieńcowi.

– Pragnąłem i tego – odparł Seno z taką prostotą, iż król natychmiast mu uwierzył. – Poszedłem do Ducalona i powiedziałem: „Posiadasz niewolnicę, którą kocham. Pragnę ją poślubić. Weź mnie, zatem do siebie jako niewolnika. W ten sposób będę mógł chociaż być blisko niej”. Uprzejmie odmówił. Sprzedałby mi tę dziewczynę, albo nawet dał ją. Nie

zgodziłby się jednak wziąć mnie jako niewolnika. W dodatku mój ojciec przysiągł na swój niezłomny honor, że zabije mnie, jeśli splamię imię rodu val Dor zostając niewolnikiem. Tak, królu panie, tylko ty możesz mi pomóc.

Kull wezwał Tu i wyłożył przed nim całą sprawę. Tu, Przewodniczący Rady Koronnej, potrząsnął głową.

– Jest tak, jak powiedział Seno. W wielkiej, oprawionej w żelazo księdze, zapisane jest prawo. Zawsze takie było i zawsze takie będzie. Szlachcic nie może wejść w związek z niewolnicą.

– Dlaczego nie miałbym zmienić prawa? – zapytał Kull. Tu położył przed nim kamienną tablicę, na której wykuto prawa.

– To prawo obowiązywało przez tysiące lat. Spójrz Kullu, pierwotni prawodawcy pokryli nim kamień tak wiele wieków temu, że moglibyśmy liczyć całą noc i wciąż byśmy nie poznali ich liczby. Żaden król, nawet ty, nie może tego zmienić.

Kull poczuł nagle słabość, bezbrzeżne poczucie zagubienia, które dosyć często dopadało go ostatnio. Królowanie było tylko inną formą niewolnictwa. Tak mu się w każdym razie wydawało. Zawsze zwyciężał, wycinając ścieżkę wśród wrogów przy pomocy swego wielkiego miecza. Jak może walczyć z grzecznymi i pełnymi respektu przyjaciółmi, którzy kłaniają się i nadskakują, ale sprzeciwiają się wszelkim nowościom. Oni sami zabarykadowali się zwyczajami przy pomocy tradycji i przeszłości, a jemu grzecznie nie pozwalają niczego zmienić.

– Odejdź – powiedział, machając w zmartwieniu ręką. – Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

Seno val Dor wyszedł z komnaty. Załamany człowiek, którego spuszczone głowa, zgarbione ramiona, smutne oczy i powłóczące stopy nic już nie znaczyły.

3. „Myślałem, że jesteś tygrysem w ludzkiej skórze!”

Zimny wiatr szeptał w zielonych lasach. Srebrna żyła potoku wiła się między wielkimi pniami drzew, obwieszonymi ogromnymi winoroślami i zasłaniającymi prześwit pnączami. Ptaki śpiewały, a późne, letnie światło słoneczne przeciskało się przez wyrastające zewsząd gałęzie. Opadało złotymi i aksamitnoczarnymi plamami cienia i światła na pokrytą trawą ziemię. W pomroce nabożnej ciszy leżała piękna niewolnica. Twarz wtuliła w gładkie, białe ramiona i płakała tak, jakby miało pęknąć jej serce. Ptaki śpiewały, lecz ona była głucha; potok przyzywał ją, lecz była niema; słońce świeciło, lecz ona była ślepa... Cały świat był czarną pustką, w której realny był tylko ból i łzy.

Nie usłyszała ani lekkich kroków, ani nie zobaczyła mężczyzny o nad wyraz szerokich ramionach, gdy ten wyszedł z krzaków i stanął nad nią. Nie lękała się jego obecności, dopóki nie ukląkł i nie podniósł jej. Przetarł, delikatną jak kobieca dłoń ręką, jej załzawione oczy.

Mała niewolnica spojrzała w ciemną, nieruchomą twarz. Wąskie, szare oczy były teraz dziwnie puste. Od początku wiedziała że ten mężczyzna nie był Valusyjczykiem. W tych niebezpiecznych czasach nie było wskazane dla niewolnic zostać złapane w lesie przez obcych, a zwłaszcza obcokrajowców. Ona jednak była zbyt nieszczęśliwa, by się bać, a poza tym człowiek wyglądał sympatycznie.

– Co się stało, dziecko? – spytał, a ponieważ pełna głębokiego żalu kobieta pragnęła przekazać swe zmartwienia komuś jeszcze, wychlipała: – Och, panie, jestem nieszczęśliwą dziewczyną. Kocham młodego szlachcica.

– Seno val Dora?

– Tak, panie – spojrzała na niego zaskoczona. – Skąd wiesz? On pragnie mnie poślubić i dzisiaj poszedł prosić króla o zgodę, ponieważ starał się już wszędzie indziej bez skutku. Ale i król odmówił mu.

Ciemna twarz obcego skrzywiła się.

– Czy Seno powiedział, że król odmówił mu?

– Nie. Król wezwał swego doradcę i rozmawiał z nim przez chwilę, potem odesłał Seno – pociągnęła nosem. – Wiedziałam, że to nic nie da! Praw Valusii nie sposób zmienić, bez względu na to, jak są okrutne, czy niesprawiedliwe. Są potężniejsze, niż król.

Dziewczyna poczuła jak mięśnie podtrzymującej ją ręki twardnieją i zmieniają się w żelazne druty. Twarz obcego wykrzywiła się w grymasie bezradności.

– Tak – mruknął na wpół do siebie – prawa Valusii są potężniejsze niż król.

Opowieść o kłopotach pomogła trochę i wysuszyła jej oczy. Piękne niewolnice są przyzwyczajone do kłopotów i do przełamywania ich, mimo że ta była rzadziej przez nie dotykana.

– Czy Seno nienawidzi króla? – zapytał obcy. Potrząsnęła głową.

– Wie, że król jest bezradny.

– A ty?

– Co ja?

– Czy nienawidzisz króla? Jej oczy zapłonęły.

– Ja?! Och, panie, kimże ja jestem, aby nienawidzić króla. Dlaczego, dlaczego, nigdy o tym nie myślałam.

– Cieszę się – powiedział mężczyzna. – Poza tym, dziewczyno, król jest tylko niewolnikiem takim, jak ty, z o wiele cięższymi łańcuchami.

– Biedny człowiek – powiedziała z żalem, choć bez rozumienia. – Ale nienawidzę okrutnych praw, którymi ludzie są ograniczeni! – wybuchała

gniewem. – Dlaczego prawa nie miałyby się zmienić? Czas nigdy nie stoi! Dlaczego teraz ludzie mieliby być ograniczeni prawami, które stworzyli nasi barbarzyńscy przodkowie tysiące lat temu... – przerwała nagle i spojrzała wokół ze strachem.

– Nie mów nikomu o tym, co usłyszałeś przed chwilą z mych ust – wyszeptała kładąc we wzruszający sposób głowę na ramieniu mężczyzny. – Kobieta, a tym bardziej niewolnica, nie powinna w ten sposób wybuchać na tematy polityczne. Jeśli moja pani lub pan dowiedzą się, zostaną obita.

Wielki mężczyzna uśmiechnął się.

– Nie denerwuj się, dziecko. Król nie zdenerwowałby się, gdyby usłyszał, co mówisz. W rzeczywistości wierzę, że zgodziłby się z tobą.

– Czy widziałeś króla? – zapytała. Dziecięca ciekawość na chwilę zastąpiła ból.

– Wiele razy.

– Czy ma dwa i pół metra wzrostu – zapytała ciekawie – i czy ma rogi pod koroną, jak mówią ludzie?

– Chyba nie – roześmiał się. – Co do wzrostu, brakuje mu prawie pół metra by odpowiadał twemu opisowi. Wielkością mógłby być moim bliźniakiem. Nie ma pomiędzy nami nawet centymetra różnicy.

– Czy jest tak samo miły jak ty?

– W chwilach, gdy z niezrozumienia spraw władzy nad krajem nie szaleje z wściekłości lub nie denerwuje się kapryсами ludu, który nigdy nie pojmie władcy.

– Czy on naprawdę jest barbarzyńcą?

– To prawda. Urodził się i spędził dzieciństwo wśród ciemnych barbarzyńców, zamieszkujących Atlantyde. Śnił pewien sen, który zrealizował po latach. Był wspaniałym wojownikiem i dzikim fechtmistrzem, świetnie dowodził w bitwach, a najemnicy w armii Valusii

kochali go. To wszystko złożyło się na jego koronę. Teraz, ponieważ jest wojownikiem, a nie politykiem, ponieważ jego talent do miecza w niczym mu nie może pomóc, jego tron zapada mu się pod stopami.

– On jest bardzo nieszczęśliwy?

– Nie przez cały czas – uśmiechnął się wielki mężczyzna. – Czasem, gdy wyślizguje się samotnie i organizuje sobie kilkugodzinne wakacje w lasach, jest prawie szczęśliwy. Zwłaszcza, gdy spotyka ładną dziewczynę jak...

Dziewczyna krzyknęła w nagłym strachu, zsuwając się przed nim na kolana.

– Och, panie, miej litość! Nie wiedziałam, że jesteś królem!

– Nie obawiaj się.

Kull usiadł znowu obok niej i objął ją ramieniem. Poczł jak drży od stóp do głów.

– Mówiłaś, że jestem miły...

– I jesteś taki, panie – wyjąkała słabo. – Ja... z tego co ludzie mówili, myślałam, że jesteś tygrysem w ludzkiej skórze. Ale ty jesteś miły i wrażliwy... a... ale... ty jesteś królem i ja...

Nagle w wybuchu zmieszania i zakłopotania wstała na nogi i od razu uciekła. To, że król, o którego ujrzeniu pewnego dnia z daleka mogła jedynie marzyć, okazał się być człowiekiem, któremu zwierzyła się ze swych trosk, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Ogarnęło ją zakłopotanie, które przerodziło się prawie w fizyczny lęk.

Kull rozejrzał się i wstał. Sprawy pałacu wzywały go z powrotem. Musiał zmierzyć się z problemami, o których naturze miał odległe pojęcie i dotyczącymi spraw, o jakich nie wiedział zupełnie nic.

4. „Kto zginie pierwszy?”

Przez wyludnioną ciszę, która wypełniała korytarze i hole pałacu, przedzierało się dwadzieścia postaci. Ich stopy obute w proste, skórzane obuwie nie powodowały żadnych dźwięków, stąpając zarówno po cienkich dywanach, jak i pustych, marmurowych posadzkach. Pochodnie stojące w niszach wzdłuż holów, świeciły czerwienią na obnażonych mieczach, gołych ostrzach sztyletów i toporów.

– Powoli, spokojnie – szeptał Ardyon zatrzymując się na chwilę, by spojrzeć do tyłu na swych kamratów. – Kto to robi? Przestań natychmiast dyszeć. Oficer z nocnej warty opróżnił ten korytarz ze straży dając im bezpośredni rozkaz lub upijając ich. Mimo to musimy uważać. Mamy szczęście, że ci przekłęci Piktowie... wychudzone wilki... wrócili do konsulatu lub wyruszyli do Grondaru. Pst! Do tyłu... idzie jakiś strażnik.

Stłoczyli się i czekali za wielkim filarem, który mógł, w razie potrzeby, ukryć cały regiment ludzi. W chwilę potem w korytarzu ukazało dziesięć osób. Wysocy, brązowi mężczyźni w czerwonych zbrojach, wyglądali jak żelazne statuy. Byli dobrze uzbrojeni, a na twarzach kilku z nich widać było niepewność. Oficer, który prowadził ich, był bardzo blady. Jego twarz pobruździły linie zmarszczek, a ręką wycierał pot z brwi. Oddział mijał filar, za którym schowali się mordercy. Dowódca był młody, a zdrada króla nie była dla niego łatwa.

Pobrzękując zbrojami weszli w następny korytarz.

– Dobrze! – syknął Ardyon. – Zrobił tak, jak zakładałem. Kull śpi bez strażników! Szybciej, mamy coś do zrobienia! Jeśli złapią nas, gdy będziemy go zabijać, to jesteśmy straceni. Ale martwy król ma słabą pamięć. Szybciej!

– Tak, szybciej! – krzyknął Ridondo.

Pospieszyli w dół korytarza i zatrzymali bieg dopiero przed drzwiami.

– Tutaj! – wysapał Ardyon. – Enaros... wyważ mi te drzwi! Gigant zwał się całym ciężarem ciała na drzwi. Znowu... tym razem usłyszeli wypadanie zasuw i trzask drewna. Drzwi odchyliły się i wpadły do wnętrza.

– Do środka! – krzyknął Ardyon, przesiąknięty płomiennym duchem morderstwa.

– Do środka! – warknął Ridondo. – Śmierć tyranowi... Zatrzymali się na moment. Przed nimi stał Kull twarzą w twarz... nie nagi Kull obudzony z głębokiego snu, zaskoczony i nieuzbrojony, gotów do zarżnięcia jak owca. Kull nie był śpiący ani zaskoczony, lecz częściowo ubrany w zbroję Czerwonych Zabójców z długim mieczem w dłoni.

Król wstał cicho już kilka minut temu. Nie mógł zasnąć. Miał zamiar zaprosić oficera warty do swego pokoju, aby porozmawiać z nim przez chwilę. Gdy jednak popatrzył przez ukryty judasz w drzwiach, zobaczył go, jak wyprowadza z korytarza swój oddział. Do podejrzliwego mózgu barbarzyńskiego króla wkradła się myśl, że został zdradzony. Nie pomyślał nawet o tym, by wezwać z powrotem swych ludzi. Prawdopodobnie oni też byli wplątani w spisek. Nie było żadnych powodów dla tego typu dezercji. Tak więc Kull cicho i szybko zaczął nakładać na siebie zbroję. Cóż, nie zakończył tej czynności, gdyż Enaros zaszarżował na drzwi.

Przez moment, ten niesamowity widok zatrzymał w drzwiach czterech spiskujących szlachciców. Szesnastu zdesperowanych banitów tłoczyło się za nimi. Spoglądający w zapadłej ciszy, przerażającym wzrokiem gigant stał z mieczem gotowym do walki na środku królewskiej sypialni.

Wtedy Ardyon krzyknął: – Do środka i zabić go! Jest sam przeciwko dwudziestu i nie ma hełmu!

To prawda, nie było czasu na założenie hełmu, tak jak i na ściągnięcie wielkiej tarczy z haka na ścianie. Tym niemniej Kull był lepiej chroniony

od wszystkich zabójców z wyłączeniem Enarosa i Ducalona. Ci dwaj mieli całe zbroje z zatrzaśniętymi przyłbicami.

Z wrzaskiem, który odbił się od sufitu, zabójcy wpadli do pokoju. Pierwszy był Enaros. Wbiegł do pomieszczenia jak szarżujący byk, z głową opuszczoną, a mieczem trzymany nisko, by zadać wypruwające wnętrzności pchnięcie. Kull skoczył mu na spotkanie jak tygrys zaskakujący byka. Cały ciężar króla i jego potężna siła zebrała się w ramieniu, które prowadziło miecz. Z jęczącym świstem wielkie ostrze przecięło powietrze i zatrzymało się dopiero na hełmie dowódcy. Ostrze i hełm pękły, a odłamki obu posypały się po pokoju. Enaros padł martwy na podłogę. Kull natomiast cofnął się ściskając w dłoni rękojeść miecza pozbawionego ostrza.

– Enaros! – sarknął, gdy roztrzaskany hełm odkrył zakrwawioną głowę. W tej samej chwili reszta napastników była już przy nim. Poczul sztylet sunący mu wzdłuż żeber i uderzeniem lewego ramienia posłał na bok trzymającego go przeciwnika. Walnął ułamaną rękojeścią w oczy innego napastnika i pozostawił go leżącego na ziemi i krwawiącego całkiem bez zmysłów.

– Czterech niech pilnuje drzwi! – wrzasnął Ardyon, tańcząc na krawędzi wiru śpiewającej stali. Bał się, że Kull, ze swym olbrzymim ciężarem i dużą szybkością, może przebić się przez ich szeregi i uciec. Czterech morderców cofnęło się i ustawiło się przed drzwiami. W tym momencie Kull skoczył do ściany i ściągnął z niej starożytny topór bojowy, wiszący w tym miejscu pewnie już od ponad stu lat.

Stojąc przy ścianie, przyjrzał się przez chwilę napastnikom i prawie natychmiast skoczył pomiędzy nich. Nie w jego stylu była walka defensywna! Zawsze wolał przenosić walkę na pole przeciwnika. Jeden ruch topora pozostawił banitę na podłodze z odciętym ramieniem...

straszliwy cios do tyłu roztrzaskał innemu czaszkę. Miecz nie mógł przebić jego napierśnika... inaczej byłby już trupem. Podstawowym zadaniem było teraz chronienie odkrytej głowy i przestrzeni pomiędzy napierśnikiem, a naplecznikiem. Valusyjska zbroja nie zabezpieczała tego miejsca a on nie miał czasu na założenie całości zbroi. Już krwawił z ran na policzku, ramionach i nogach. Był jednak tak szybkim i śmiertcionośnym wojownikiem, że pomimo tak wielkiej przewagi po ich stronie, zabójcy nie mogli go zabić. Co więcej, sama ich liczba, przeszkadzała w walce.

Przez chwilę tłoczyli się dziko wokół niego. Ciosy spadały jak deszcz, potem cofnęli się i otoczyli go zadając sztychy, i parując jego uderzenia. Kilka ciał dawało wyraźne świadectwo nieskuteczności ich pierwszego planu.

– Wojownicy! – krzyknął z błyskiem w oczach Ridondo. Zrzucił swój kapelusz ze spuszczonego brzegiem. – Czy obawiacie się walki? Czyż despota ma żyć? Na niego!

Ruszył do przodu, tnąc nieumiejętnie. Kull rozpoznając go uchylił się jego ostrzu z determinacją zdychającego wilka. Nawet i w tej ekstremalnej sytuacji, cyniczna filozofia nie opuściła Ardyona.

– Wszystko wydaje się być stracone, szczególnie honor – mamrotał. – Jednakże król umiera stojąc i... – jaka jeszcze myśl miała przemknąć przez jego umysł, nikt nie wie, ponieważ ruszył na Kulla, który właśnie prawie na oślep ocierał krew z twarzy prawym ramieniem. Człowiek z gotowym do uderzenia mieczem może zaatakować szybciej, niż zraniony i wytrącony z równowagi mężczyzna, który na dodatek używa ciężkiego, zrobionego jakby z ołowiu topora.

W momencie, gdy Ardyon wyprowadzał swój cios, Seno val Dor pojawił się w drzwiach i rzucił coś, co zaświzczało, zaśpiewało i skończyło swój lot w gardle banity. Zabójca zachwiał się, upuścił miecz i opadł na podłogę

u stóp Kulla, zalewając ją krwią z przeciętej tętnicy. Stanowił nieme świadectwo perfekcyjnego opanowania przez Seno umiejętności rzucania nożem. Król w oszołomieniu spojrzał na trupa. Ardyon oddał jego spojrzenie martwymi, szeroko rozwartymi oczami pełnymi kpiny, jakby ich właściciel wiedział jak nieważni są królowie, banicy, spiski i walka.

Potem Seno wspomógł króla. Pokój wypełnił się zbrojnymi ubranymi w barwy wielkiej rodziny val Dor. Kull zorientował się, że piękna niewolnica trzyma jego ramię.

– Kullu, Kullu, czy jesteś martwy? – twarz Seno była bardzo blada.

– Jeszcze nie – odpowiedział król ochryłym głosem. – Opatrz mi ranę na lewym boku. Jeśli umrę, to tylko od niej. Jest głęboka... Ridondo zapisał w niej pieśń śmierci dla mnie... ale pozostałe nie są śmiertelne. Na razie napchaj tam czegoś. Mam coś do zrobienia.

Posłuchali w milczeniu. Podczas gdy upływ krwi zmniejszał się, Kull, mimo że bardzo blady, poczuł niewielki dopływ sił. Pałac był już w pełni obudzony. Damy dworu, lordowie, zbrojni, radni biegali po budynku. Czerwoni Zabójcy zebrali się. Byli w dzikim szale, gotowi na wszystko. Zdenerwowani, bo ktoś inny pomógł królowi. Nie było wśród nich tylko dowódcy warty, który wymknął się i uciekł w ciemność. Mimo że był usilnie poszukiwany, nie został nigdy odnaleziony.

Kull wciąż stał chwiejnie na nogach. W jednej ręce trzymał okrwawiony topór, drugą podtrzymywał się na ramieniu Seno. Odnalazł wzrokiem Tu, który nerwowo poruszał dłońmi, i rozkazał mu: – Przynieś mi tablicę, na której wypisane są prawa dotyczące niewolników.

– Ale królu...

– Rób jak każe! – krzyknął Kull podnosząc topór i Tu pospieszył wykonać rozkaz.

Podczas gdy czekał, damy dworu zajęły się nim. Zaczęły bandażować ranę i próbowały grzecznie, choć uparcie rozgiąć żelazne palce, którymi zaciskał rękojeść okrwawionego topora. Jednocześnie Kull słuchał bez tchu relacji Seno.

– Ala słyszała, jak Kaanuub i Ducalon spiskują... ukryła się w małym zakątku, aby płakać nad swoimi... naszymi kłopotami. Po drodze natrafiła na Kaanuuba, który jechał do swej podmiejskiej siedziby. Drżał ze strachu na myśl, że ich plany mogą nie zadziałać. Zmusił Ducalona, aby jeszcze raz przedyskutowali cały spisek, by mógł stwierdzić, czy nie ma w nim luk.

– Nie wychodził aż do późnego wieczora i dopiero wtedy Ale zdołała jakoś wykraść się i przyjść do mnie. Ale pomiędzy domem Ducalona, a siedzibą rodu val Dor jest długa droga. Długa droga, jak dla drobnej dziewczyny. Wyruszyliśmy natychmiast, kiedy tylko zebrałem ludzi, a i tak mało brakowało, abyśmy przybyli za późno.

Kull ścisnął jego ramię.

– Nie zapomnę o tym.

Wszedł Tu i ostrożnie położył trzymaną w rękach tablicę. Kull odsunął na bok wszystkich, którzy znajdowali się koło niego, i stanął sam.

– Słuchajcie, ludu Valusii – zaczął. Stał jedynie dzięki swej zwierzęcej witalności. – Stoję tu... jako król. Zostałem ranny tak, że prawie umarłem. Ale przeżyłem.

– Słuchajcie! Mam dosyć tego. Jestem królem, nie niewolnikiem! Jestem otoczony prawami, prawami, prawami! Nie mogę karać złoczyńców, ani nagradzać przyjaciół z powodu praw... zwyczajów... tradycji! Na Valkę. Zostanę prawdziwym królem, a nie tylko władcą z nazwy!

– Tu stoi dwoje ludzi, którzy dzisiaj uratowali mi życie. W tej chwili daję im prawo do pobrania się, tak jak tego pragną.

Seno i Ala wpadli sobie w ramiona płacząc z radości. – Ale prawo! – krzyknął Tu.

– Ja jestem prawem! – ryknął Kull i uderzył toporem, który spadł na tablicę i rozbił ją na setki kawałków. Ludzie zacisnęli w przerażeniu ręce bojąc się, że niebo spadnie na ziemię.

Kull zdołał utrzymać równowagę. Spojrzał wokół płomiennymi oczami. Pokój wirował.

– Ja jestem królem, państwem, prawem! – ryknął i chwycił leżące obok, przypominające różdżkę berło. Złamał je na pół i odrzucił od siebie. – To powinno być moje berło! – Czerwony topór uniósł się w górę, a skapująca z niego krew skropiła szlachciców. Kull chwycił smukłą koronę lewą ręką i oparł się plecami o ścianę. Jedynie dzięki temu zdołał utrzymać się na nogach, choć w jego ramionach wciąż drzemała siła lwa.

– Jestem albo królem albo zwłokami! – ryczał. Jego mięśnie drżały, a oczy rzucały gniewne błyski. – Jeśli nie podoba wam się moje panowanie... to chodźcie i weźcie koronę!

W wyciągniętej lewej ręce trzymał koronę, a w prawej, tuż nad nią, potężny topór.

– To są rządy topora! Dzięki niemu rządzą! To jest moje berło! Starłem się i zmięknęłam, aby zostać królem–lalką, którym chcieliście abym był... abym rządził na wasz sposób. Teraz będę rządził tak, jak chcę. Jeśli nie macie ochoty walczyć, musicie słuchać. Prawa, które są dobre, zostaną. Prawa, których czas się skończył, roztrzaskam, tak jak to przed chwilą. Ja jestem królem!

Blady szlachcic i przestraszona kobieta powoli klęknęli, ukłonili się w strachu i czci przed okrwawionym, przewyższającym ich gigantem z płonącymi oczami.

– Ja jestem królem!



UDERZENIE GONGU

Skądś w ciepłych, czerwonych ciemnościach dobiegło pulsowanie. Pulsujący, bezdźwięczny, wibrujący rytm rozsyłał długie, falujące wici, które wypełniały powietrze. Mężczyzna poruszył się szukając czegoś po omacku ślepych dłońmi i usiadł. W pierwszej chwili wydało mu się, że został otoczony przez regularne i równe fale czarnego oceanu, które podnosząc się i opadając z monotonną regularnością raniły go. Czuł pulsowanie powietrza i wyciągał ręce próbując złapać nierealne fale. Ale czy to poruszenie powietrza było rzeczywiste, czy istniało tylko w jego umyśle? Nie mógł tego pojąć. Nagle wpadł na pewną myśl... uczucie, że jest zamknięty w swojej własnej czaszce.

Pulsowanie zmalowało, a on trzymał obolałą głowę w dłoniach, próbując pamiętać. Pamiętać co?

– To dziwne – mamrotał. – Kim lub czym jestem? Co to za miejsce? Co się stało i dlaczego jestem tutaj? Czy zawsze tu byłem?

Wstał i spróbował rozejrzeć się wokół. Jego wzrok napotkał nieprzeniknioną ciemność. Wytężył wzrok, ale dalej nie widział nawet jednego błysku światła. Zaczął iść naprzód kulejąc, z wyciągniętymi do przodu rękami. Instynktownie szukał światła, tak jak szuka go rosnąca roślina.

– To na pewno nie jest wszystko – rozmyślał. – Musi być coś jeszcze... co jest inne od tego? Światło! Wiem... pamiętam Światło, choć nie pamiętam czym jest. Z pewnością znam świat, który różni się od tego.

Daleko z przodu rozbłysło słabe, szare światełko. Pospieszył w jego kierunku. Blask wydłużył się, tak że wydawało mu się, iż idzie w dół długim, prostym korytarzem. Nagle wyszedł w przyciemnione światło gwiazd i poczuł wiatr chłodzący twarz.

– To jest światło – mamrotał – ale jeszcze nie całe. Poczuł i rozpoznał ogromną wysokość. Daleko nad nim i pod nim, świecił i błyszczał majestatyczny ocean kosmosu. Patrząc na te wszystkie gwiazdy, zmarszczył w roztargnieniu brwi.

Potem zorientował się, że nie jest sam. Wysoki, niewyraźny kształt majaczył przed nim w świetle gwiazd. Jego ręka instynktownie skoczyła do lewego boku, po czym opadła jakby pozbawiona energii. Był nagi i żadna broń nie wisiała mu u pasa.

Kształt zbliżył się, i mimo iż był niewyraźny i nierealny w słabym świetle, zauważył, że jest to bardzo wiekowy człowiek.

– Więc teraz przybyłeś tutaj? – zapytała postać czystym, głębokim głosem, który był jakby wydzwaniany przez jodeitowy gong. Obudził on swym brzmieniem uspioną pamięć słuchającego go człowieka.

Potarł brodę w zamieszaniu.

– Teraz pamiętam – powiedział. – Jestem Kull, król Valusii... ale co ja tu robię, bez ubrania i broni?

– Żaden człowiek nie zdoła przenieść niczego przez Wrota – powiedziała postać tajemniczo. – Pomyśl, Kullu z Valusii, czy nie wiesz, jak tu się znalazłeś?

– Stałem przed wejściem do komnaty Rady – zaczął oszołomiony król. – Pamiętam, że gwardzista na wieży uderzył w gong, aby obwieścić

godzinę... potem nagle uderzenie gongu zmieniło się w dziki, trzeszczący dźwięk. Wszystko zalała ciemność. Przed moimi oczami latały świecące iskry. Potem obudziłem się w jaskini, czy w jakimś korytarzu nic nie pamiętając.

– Przeszedłeś przez Wrota. Tam zawsze jest ciemno.

– A więc jestem martwy? Na Valkę. Jeden z moich wrogów musiał zacząć się pomiędzy kolumnami i uderzył, kiedy rozmawiałem z Brule.

– Nie powiedziałem, że jesteś martwy – odpowiedziała ciemna postać. – Może Wrota nie są dokładnie zamknięte. Takie rzeczy mogą się zdarzyć.

– Co to za miejsce? Czy to Piekło lub Raj? To nie jest świat, który znam od urodzenia. A te gwiazdy... nigdy ich wcześniej nie widziałem. Te konstelacje zdają się być potężniejsze i bardziej płomienne, niż te, które znałem.

– To są światy poza światami, wszechświaty z, i bez wszechświatów – rzekła wiekowa postać. – Jesteś na innej planecie, niż ta, na której się urodziłeś. Jesteś, bez wątplenia w innym wszechświecie i w innym wymiarze.

– A więc z pewnością jestem martwy. – Czym jest śmierć, jeśli nie przemierzaniem wieczności i oceanów kosmosu? Ale ja nie powiedziałem, że jesteś martwy.

– Więc gdzie, na Valkę, jestem?! – wykrzyknął Kull, którego skromne zasoby cierpliwości uległy wyczerpaniu.

– Twój barbarzyński mózg czepia się materialnych rzeczy – odpowiedział spokojnie. – Jakież ma znaczenie to, gdzie jesteś i czy jesteś, jak mówisz, martwy? Jesteś częścią wielkiego oceanu, którym jest Życie, i który otacza wiele brzegów. Jesteś jego częścią tak samo w tym, jak i w innym miejscu, czy nawet u jego Źródeł, gdzie rodzi się całe Życie. Jesteś przywiązany na całą wieczność, tak jak i drzewo, kamień, ptak czy świat. I

ty opuszczenie swej malutkiej planety, porzucenie żalostnej formy fizycznej nazywasz śmiercią?!

– Ale ja wciąż mam swe ciało.

– Nie powiedziałem, że jesteś, jak to nazywasz, martwy. Wciąż możesz być na swojej malutkiej planecie. Światy wewnątrz światów, wszechświaty wewnątrz wszechświatów. Istnieją rzeczy zbyt małe i zbyt wielkie, aby człowiek mógł je zrozumieć. Każdy kamyk na plażach Valusii posiada w sobie niezliczoną ilość światów, a sam jest taką samą częścią całości wielkiego planu wszechświatów, jak słońce, które znasz. Twój wszechświat, Kullu z Valusii, może być kamieniem na brzegu potężnego królestwa.

– Przerwałeś więzy ograniczające materię. Możesz być we wszechświecie szlachetnego kamienia, który zdobi szatę, którą zakładasz siadając na tronie Valusii. Za to świat, który znasz, może leżeć w pajęczynie pośród trawy u twoich stóp. Powiadam ci, że wielkość i przestrzeń, czas i względność tak naprawdę nie istnieją.

– Z pewnością jesteś bogiem, prawda? – spytał z ciekawości Kull.

– Duża ilość posiadanej wiedzy i wielka mądrość nie tworzą boga – odpowiedział z niecierpliwością. – Spójrz!

Ciemna ręka wskazała wielkie, błyszczące kamienie, które były gwiazdami.

Kull spojrział i zauważył, że zmieniają się szybko. Falowały i zmieniały swe położenie bez ustanku.

„Wieczne” gwiazdy zmieniają się w swoim własnym czasie tak szybko, jak szybko rasa ludzi podnosi się i upada. Podczas, gdy my patrzymy na planety, istoty je zamieszkujące stają się coraz mniej prymitywne, wspinają się długą, powolną drogą ku kulturze i mądrości, by potem zostać zniszczone wraz ze swymi umierającymi światami. Całe życie i jego część. Dla nich – to biliony lat, dla nas – tylko chwila. Całe życie.

Kull z zafascynowaniem oglądał jak jedne potężne gwiazdy i ogromne konstelacje rozbłyskują i umierają a inne powstają na ich miejsce.

Nagle czerwoną gorącą ciemność otoczyła go znowu, wymazując wszystkie gwiazdy. Jak przez mgłę słyszał znajomy dźwięk uderzenia.

Potem stał chwiejnie na własnych nogach. Jego wzrok napotkał złote światło słońca, które przebijało się przez osłonięte zasłonami okna. Stał pośród potężnych kolumn i ścian pałacu. Szybko poruszając ręką stwierdził, że ubranie i miecz są na miejscu. Krwawił. Czerwony strumień spływał z rozcięcia na skroni. Ale większość krwi, która pokrywała jego i jego ubranie, była kogoś innego. U jego stóp, w olbrzymiej kałuży krwi, leżało coś, co do niedawna było człowiekiem. Uderzenie, które słyszał, milkło odbijane jeszcze przez chwilę przez ściany.

– Brule! Co to jest? Co się stało? Gdzie byłem?

– Byłeś bliski podróży do królestwa starego Króla Śmierci – powiedział Pikt czyszcząc miecz. – Szpieg leżał ukryty za kolumną. Kiedy rozmawiałeś ze mną przed wejściem, rzucił się na ciebie niczym leopold. Ktokolwiek to zaplanował, musiał mieć potężną władzę, aby wysłać człowieka na pewną śmierć. Gdyby jego miecz nie ześlizgnął się, leżał byś teraz z rozciętą czaszką, a nie stał tu rozmyślając nad niewielką raną.

– Ale z pewnością minęły godziny – rzekł Kull. Brule zaśmiał się.

– Wciąż jesteś oszołomiony, królu. Od momentu, w którym skoczył na ciebie, do chwili, w której przebiłem jego serce, nie minęło tyle czasu, by człowiek zdołał policzyć palce jednej ręki. A leżałeś na ziemi w swojej i jego krwi może dwa razy dłużej. Spójrz, Tu nie wrócił jeszcze z bandażami, a pospieszył po nie w momencie, w którym upadłeś.

– Tak, masz rację – powiedział Kull. – Nie rozumiem... ale tuż przed upadkiem słyszałem gong oznajmiający godzinę, a kiedy przyszedłem do siebie, jego dźwięk jeszcze nie przebrzmiał. Brule, nie ma czegoś takiego

jak czas, czy przestrzeń, ponieważ przeżyłem najdłuższą podróż mojego życia i przeżyłem niezliczone miliony lat podczas jednego uderzenia gongu.



MIECZE CZERWONEGO KRÓLESTWA

1. „Valusyjskie intrygi odbywają się za zamkniętymi drzwiami”

Spokojna cisza rozpościerała się w starożytnym mieście Valusii. Fale gorąca tańczyły od dachu do dachu, wypełniały także gładkie, marmurowe ściany. Czerwone wieże i złote szczyty stały samotnie w niewyraźnej mgiele. Odgłos kopyt na szerokich, brukowanych ulicach nie przerywał sennej ciszy. Piesi, którzy z rzadka się pojawiali, szybko robili to, co mieli do zrobienia, i znikali ponownie we wnętrzach domów. Miasto wyglądało jak kraina duchów.

Kull, król Valusii, rozsunął delikatne zasłony i patrzył przez złote okno. Przyglądał się pałacowi z jego dźwięczącymi fontannami, przyciętymi żywopłotami i pięknie ukształtowanymi drzewami. Jego wzrok przyciągał wysoki mur i ciemne okna domów.

– Wszystkie Valusyjskie intrygi odbywają się za zamkniętymi drzwiami, Brule – chrząknął.

Jego towarzyszem był potężny wojownik średniego wzrostu o ciemnej twarzy, który szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Jesteś zbyt podejrzliwy, Kullu. To upał zapędził większość z nich do domów.

– Ale oni spiskują – odparł Kull. Był wysokim barbarzyńcą obdarzonym nad wyraz szerokimi ramionami. Jedynie wojownik mógł wypracować tak szerokie ramiona, potężną pierś i szczupłe biodra. Pod ciężkimi brwiami jarzyły się zimne, szare oczy. Jego rysy zdradzały miejsce urodzenia, ponieważ Kull uzurpator był Atlantyda.

– To prawda, spiskują. Czy ludzie kiedykolwiek przestają spiskować, niezależnie od tego, kto zasiada na tronie? A czy teraz mogą mieć powody, Kullu?

– Tak – twarz giganta zachmurzyła się. – Jestem obcym. Pierwszym barbarzyńcą zasiadającym na tronie Valusii od dawien dawna. Kiedy byłem dowódcą wojsk kraju, pomijali sprawę mego pochodzenia. Teraz przypominają mi o tym za każdym razem... spojrzeniami i samymi myślami.

– Czym się tak martwisz? Ja też jestem obcy. Obcy rządzą teraz Valusią, od czasu, gdy ludzie stali się zbyt słabi i zdegenerowani, by sami władać. Atlantyda zasiada na tronie, wspierany przez Piktów, najstarszych i najpotężniejszych sprzymierzeńców imperium. Dwór Valusii wypełniony jest przybyszami, jej armie składają się z barbarzyńskich najemników. A Czerwoni Zabójcy... cóż oni są Valusyjczykami, ale pochodzą z gór i widzą siebie jako inną rasę.

Kull wolno wzruszył ramionami.

– Wiem co ludzie myślą. Z jaką awersją i złością potężne, stare rody Valusii muszą patrzeć na ten stan rzeczy. Ale jak to było? Imperium za rządów Borny, rodowitego Valusyjczyka i prawowitego potomka starej

dynastii, było w gorszym stanie, niż za mojego panowania. Taką cenę musiał zapłacić naród za swój upadek. W ten czy inny sposób silni, młodzi ludzie przybyli i zajęli co mogli. W końcu przecież odbudowałem armię, zorganizowałem najemników i przywróciłem Valusii jej dawny status międzynarodowego mocarstwa. Pewnie lepiej mieć jednego barbarzyńcę na tronie, trzymającego w ryzach bandy rozrabiaków, niż widzieć setki tysięcy zakrwawionych jeźdźców galopujących ulicami miasta. Tak działałoby się dzisiaj, gdyby pozostawić władzę w rękach Borny. Królestwo wiło się pod jego nogami, inwazje groziły ze wszech stron. Dzicy Grondarczycy byli gotowi rozpocząć rajd o przerażającej skali...

– Cóż, tej dzikiej nocy wjechałem na czele rebelii i zabiłem Borne własnymi rękami. Ta odrobina brutalności przysporzyła mi nieprzyjaciół, ale w ciągu sześciu miesięcy zlikwidowałem anarchię i wszystkie spiski. Powiązałem naród w jedną całość, rozbiłem Potrójną Federację i złamałem potęgę Grondaru. Teraz w Valusii zapanował pokój i cisza. Ludzie spiskują tylko pomiędzy drzemkami, aby zrzucić mnie z tronu. Od rozpoczęcia mojego panowania nie było głodu, spichlerze są pełne ziarna, statki handlowe wożą ogromne ładunki, sakiewki kupców są pełne, a ludzie utuczeni. Ciągłe jednak mamrocza, przeklinają i plują na mój cień. Czegóż oni chcą?

Pikt pokiwał głową z gorzkim uśmiechem na ustach.

– Kolejny Borna! Tyran z okrwawionymi rękami! Zapomnij o ich niewdzięczności. Nie zdobyłeś królestwa przez wzgląd na nich, ani dla ich interesów. Udało ci się spełnić marzenie całego życia i pewnie zasiadłeś na tronie. Niech szemrają i spiskują. Ty jesteś królem.

Kull skinął głową.

– Ja jestem królem tego czerwonego królestwa! I póki nie przestanę oddychać, póki mój duch nie odejdzie do królestwa cieni, będę królem. Co

teraz?

Niewolnik wszedł do sali i skłonił się nisko.

– Wasza Wysokość, Nalissa, córka wielkiego domu rodu bora Balin, pragnie audiencji.

Cień przemknął przez królewską twarz.

– Znowu błagania z powodu jej przeklętych miłostek – spojrzał na Brule.
– Może lepiej już pójdiesz. – Niech wejdzie – rzekł niewolnikowi.

Kull usiadł na tronie pokrytym jedwabiem i spojrzał na Nalissę. Miała jedynie około dziewiętnastu lat. Ubrana była w kosztowny choć skąpy strój typowy dla valusyjskich szlachetnie urodzonych dam. Wyglądała wspaniale, jak jakiś porywający obraz; piękność, którą mógłby docenić nawet barbarzyński król. Jej skóra była niesamowicie biała. Było to po części wynikiem kąpieli w mleku i winie, lecz w większości zawdzięczała to piękno przodkom. Jej policzki były różowe i delikatne, a wargi pełne i czerwone. Pod cienkimi, czarnymi brwiami świeciła para głębokich, ciemnych niczym tajemnica oczu. Całości obrazu dopełniały delikatne, kruczoczarne, kręcone włosy, które po części spięła złotą spinką.

Nalissa klękła przed królem, zacisnęła swe twarde, niczym stal palce i spojrzała błagalnie w jego oczy. Kull był chyba jedyną w Valusii osobą, która nie przepadała za patrzeniem jej w oczy. A oczy te były pełne powabu i tajemnicy; zdawały się kusić każdego, kto tylko w nie spojrzał. To zepsute i rozpieszczone dziecko arystokracji, wiedziało o swych mocach, ale z powodu młodego wieku, nie potrafiło ich w pełni wykorzystać. Znający się na wadach i zaletach mężczyzn i kobiet Kull, był pewien, że gdy Nalissa dorośnie, będzie, na dobre lub złe, potężną siłą na dworze i w kraju.

– Wasza Wysokość – zawodziła jak dziecko żebzące o zabawkę – proszę, pozwól mi poślubić Dalgara z Farsun. On stał się obywatelem Valusii, i jak sam mówisz, jest w łaskach dworu. Dlaczego...

– Powiedziałem ci – rzekł spokojnie król – że jest mi wszystko jedno, czy poślubisz Dalgara, Brule, czy diabła! Ale twój ojciec nie życzy sobie, abyś poślubiła tego podróżnika i...

– Ale ty możesz spowodować, że pozwoli mi! – zapłakała.

– Dom rodu bora Ballin zaliczam do moich najwierniejszych popleczników – odpowiedział Atlantyda – a twojego ojca, Muroma bora Ballin, do moich najbliższych przyjaciół. Kiedy byłem samotnym gladiatorem, on został moim pierwszym przyjacielem. Kiedy byłem zwykłym żołnierzem, pożyczał mi pieniądze. A kiedy walczyłem o tron, on stanął po mojej stronie. Nie będę zmuszać go do rzeczy, której tak bardzo jest przeciwny, nawet gdybym w przeciwnym razie miał stracić prawą rękę. Nie będę też wtrącać się w jego sprawy rodzinne.

Nalissa nie nauczyła się jeszcze, że istnieją mężczyźni, którzy nie dają sobą łatwo manipulować nawet dzięki kobiecym sztuczkom. Przymilała się, dąsała, prosiła. Całowała ręce Kulla, wyplakiwała się w jego pierś, klękała i tłumaczyła. Wszystko to wywoływało zakłopotanie u Kulla, ale nie zmieniało jego decyzji. Król był naprawdę sympatyczny, ale nieugięty. Na wszystkie jej prośby i błagania miał jedną odpowiedź: to nie jest jego sprawa; jej ojciec wie lepiej, czego ona potrzebuje, a on nie będzie się wtrącał.

W końcu Nalissa poddała się i wyszła z pochyloną głową. Wychodząc z królewskiej komnaty spotkała swego ojca. Ten właśnie wchodził do komnaty. Murom bora Ballin odgadł powód, dla którego jego córka odwiedziła króla. Nie powiedział nic, ale jego wzrok mówił o nieuniknionej karze. Ledwo wspięła się do sedanowej lektyki czując, że jej ból jest zbyt wielki jak dla jakiegokolwiek dziewczyny. Potem odezwała się jej natura. Jej oczy rozbłysły buntem. Powiedziała kilka krótkich słów do niewolników, którzy nieśli lektykę.

W międzyczasie książę Murom stał przed królem. Zastygła postać pełna formalnego szacunku. Kull zauważył to i poczuł się zraniony. Oczywiście pomiędzy nim, a wszystkimi innymi istniała formalna przepaść. Może z wyjątkiem dwóch Piktów: Brule i ambasadora Ka-nu. Ale w tej wystudiowanej formalności księcia Muroma było coś nowego i Kull zgadł powód.

– Książę, twoja córka była tutaj – powiedział raptownie.

– Tak, Wasza Wysokość – głos był obojętny i pełen respektu.

– Pewnie wiesz dlaczego. Ona chce poślubić Dalgara z Farsun. Książę uroczyście skłonił głowę.

– Jeśli Wasza Wysokość sobie tego życzy, wystarczy rzec tylko jedno słowo – rysy jego twarzy stały się twardsze.

Kull wstał dotknięty. Przeszedł przez komnatę i podszedł do okna. Spojrzał na senne miasto. Nie odwracając się powiedział: – Nawet za pół królestwa nie wtrąciłbym się do twoich rodzinnych spraw. Nie zmusiłbym cię też do zrobienia czegoś, co byłoby dla ciebie nieprzyjemne.

Nie minęła ani sekunda, a książę już stał przy nim. Jego formalny wygląd znikł, a oczy ożywiły się.

– Wasza Wysokość, myliłem się co do ciebie... powinienem wiedzieć... – spróbował klęknąć, ale Kull powstrzymał go.

– Książę, uspokój się – król uśmiechnął się. – Twoje prywatne sprawy są twoimi sprawami. Nie mogę ci pomóc, ale ty możesz pomóc mnie. W powietrzu wisi zdrada. Czuję niebezpieczeństwo, tak jak czułem je we wczesnej młodości, kiedy w dżungli czaił się tygrys, czy wąż pełził w wysokiej trawie.

– Moi szpiedzy przeczesali miasto, Wasza Wysokość – powiedział książę. Jego oczy zapłonęły na myśl o nadchodzącym działaniu. – Ludzie szemrają i będą szemrać pod rządami innego władcy... ale właśnie wracani

od Ka–nu, który prosił mnie, abym cię ostrzegł. W kraju czuć obce wpływy i pieniądze. Powiedział, że nie wie jeszcze nic pewnego. Piktowie wyciągnęli pewne informacje od pijanego sługi ambasadora Verulii... niejasne wskazówki dotyczące działań, jakie planuje ich rząd.

Kull chrząknął.

– Veruliańskie sztuczki są znane. Ale Gen Dala, ambasador Verulii, jest chodzącym obrazem honoru.

– Tym lepszym jest figurantem. Im mniej wie o tym, co planuje jego naród, tym lepiej będzie służył jako przykrywka.

– Ale co może zyskać Verulia? – spytał Kull.

– Gomlah, daleki kuzyn króla Borny, schronił się tam, kiedy zrzuciłeś dynastię z tronu. Wraz z twoją śmiercią, Valusia rozpadnie się na kawałki. Jej armie zostaną zdeorganizowane; wszyscy sprzymierzeńcy, z wyjątkiem może Piktów, opuszczają; najemnicy, których jedynie ty umiesz utrzymać w ryzach, zwrócą się przeciwko niej; stanie się łatwą ofiarą dla pierwszego, potężnego narodu, który na nią ruszy. Wtedy, Gomlah będzie za jednym razem usprawiedliwieniem inwazji i lalką na tronie Valusii...

– Rozumiem – chrząknął Kull, – Jestem lepszy w walce niż w rządzeniu, ale zastanówmy się. Więc pierwszym krokiem ma być usunięcie mnie, tak?

– Tak, Wasza Wysokość.

Kull uśmiechnął się wyginając potężne ramiona.

– To rządzenie przytępia zmysły – stwierdził bębniąc palcami po rękojeści miecza, z którym się nigdy nie rozstawał.

Do komnaty wszedł niewolnik.

– Tu, główny doradca króla, i Dondał, jego bratanek – oznajmił niewolnik, a dwóch mężczyzn weszło do komnaty.

Tu był otyłym mężczyzną średniego wzrostu w średnim wieku, który wyglądał bardziej na kupca niż na doradcę. Miał proste, cienkie włosy i

pooraną bruzdami twarz oraz ciągle zmarszczone brwi jakby wciąż coś podejrzewał. Lata, które przeżył, i obowiązki, którym musiał podołać, odbiły się na nim. Pochodził z biedoty, a swoją pozycję osiągnął drogą intrygi i dzięki własnym zdolnościom. Widział trzech króli, którzy panowali przed Kullem, i to wszystko nadwyrężyło go co nieco.

Jego bratanek, Dondal, był szczupłym, fircykowatym młodzieńcem o żywych, ciemnych oczach i miłym uśmiechu. Jego główną zaletą było to, iż trzymał język za zębami i nigdy nie mówił o tym, co słyszał podczas narad. Z tego też powodu bywał w miejscach, w których – tylko dzięki bliskiemu pokrewieństwu z Tu – nigdy by się nie znalazł.

– Tylko jedna mała sprawa państwowa, Wasza Wysokość – powiedział Tu. – To zezwolenie na nowy port na zachodnim wybrzeżu. Czy Wasza Wysokość podpisze?

Kull podpisał się. Tu wyjął wiszący na piersi, na małym łańcuszku zawieszonym wokół szyi sygnet i odbił pieczęć. Ten pierścień był królewskim znakiem. Nie było drugiego takiego samego, a Tu nosił go na szyi w dzień i w nocy. Nie więcej niż cztery osoby na świecie, oczywiście poza tymi, które znajdowały się właśnie w królewskiej komnacie, wiedziały, gdzie pierścień był trzymany.

2. Tajemnica

Cisza dnia niezauważalnie przerodziła się w ciszę nocy. Księżyc nie wzeszedł jeszcze i małe, srebrne gwiazdy rzucały niewiele światła, tak jakby ich promienie skradło ciepło jakie pozostało jeszcze w ziemi.

Na opustoszałej ulicy dźwięczały samotnie podkowy jadącego konia. Jeśli jakiegokolwiek oczy spoglądały z ciemnych okien, ich właściciele nie

dali żadnego znaku zdradzającego, że wiedzą kto galopuje. A był to sam Dalgar z Farsun podążający samotnie przez ciszę i noc.

Młody Farsunianin był ubrany w pełną zbroję. Jego gibkie, atletyczne ciało pokrywała lekka zbroja, hełm bez przyłbicy chronił jego głowę. Wyglądał wspaniale z przypasowanym długim, wąskim mieczem o zdobionej klejnotami rękojeści. Szarfa ze znakiem czerwonej róży przecinała jego pokrytą stalą pierś, co w niczym nie umniejszało jego męskości.

Jadąc tak przyglądał się trzymanej w dłoni pomiętej notatce. W połowie zgięta odkrywała następującą wiadomość napisaną typowym valusyjskim pismem: „O północy, mój ukochany, w Przeklętych Ogródach pod murem. Umkniemy razem”.

Dramatyczny list. Usta Dalgara wykrzywiały się w trakcie czytania. Cóż, mały melodramat był wybaczalny młodej dziewczynie i młodzieniec bawił się nim również. Dreszcz ekstazy przeszedł go, gdy pomyślał o schadzce. Do wschodu słońca będzie już daleko za veruliańską granicą wraz ze swą przyszłą panną młodą. Wtedy niech Książę Murom bora Ballin buntuje się, niech cała valusyjska armia idzie ich tropami. Z tak dużymi forami, on i Nalissa będą bezpieczni. Poczul się dorosły i romantyczny, jego serce biło głupim heroizmem młodości. Były jeszcze całe godziny do północy, lecz on osiodłał konia, uzbroił się i ruszył na krótką przejażdżkę ciemnymi, wąskimi ulicami.

– O, srebrny księżycu i srebrna piersi – mrucał do siebie słynną pieśń miłosną szalonego, martwego poety Ridonda. Nagle jego koń, chrapnął i spłoszył się. W zacienionych, nędznych drzwiach, ciemny kolos poruszył się i jęknął.

Wyciągając miecz, Dalgar zsunął się z siodła i pochylił nad jęczącym.

Gdy pochylił się bardziej, ujrzał dopiero kształty mężczyzny. Wyciągnął ciało we względnie jaśniejsze miejsce, przy czym zorientował się, że

mężczyzna wciąż oddycha. Coś ciepłego i lepkiego przylgnęło mu do dłoni.

Mężczyzna był postawny, choć najwyraźniej stary. Jego włosy były przerzedzone, a broda po części biała. Był ubrany w szaty żebraka, ale nawet w ciemnościach Dalgar mógł stwierdzić, iż jego dłonie były pod warstwą brudu delikatne i białe. Z głębokiego, brzydkiego cięcia z boku głowy sączyła się krew. Oczy mężczyzny były zamknięte. Co pewien czas wydawał jedynie jęczące odgłosy.

Dalgar oderwał kawałek swej szarfy, by owinąć ranę. Gdy to robił, pierścień na jego palcu zaplątał się w rozczochraną brodę. Szarpnął niecierpliwie... broda łatwo zeszła, ukazując gładko wygoloną, pokrytą bruzdami twarz mężczyzny w średnim wieku. Dalgar krzyknął i odskoczył. Wyprostował się, zaskoczony i oszołomiony. Chwilę stał wpatrzony w jęczącego mężczyznę, potem szybki werbel podków na równoległej ulicy przywołał go do świadomości.

Pobiegł kawałek w dół ulicą i napotkał jeźdźca, który wyciągał właśnie z dużą wprawą miecz. Spod stalowo kutych podków jego wierzchowca uderzających w bruk wyprysły iskry, a koń siadł na zadzie.

– Cóż znowu? O, to ty, Dalgarze.

– Brule! – krzyknął młody Farsunianin. – Szybko! Tu, Przewodniczący Rady Koronnej leży tam dalej na ulicy, całkiem bez zmysłów. Być może zamordowany!

W chwilę później Pikt zeskoczył z konia i trzymał błyszczący miecz w ręku. Przerzucił wodze ponad głową wierzchowca i pozostawił go stojącego jak statua. Sam podążył biegiem za Dalgarem.

Razem pochylili się nad pozbawionym przytomności członkiem Rady. Brule doświadczony w takich sprawach obmacał dokładnie Przewodniczącego Rady.

– Chyba nie ma żadnych złamań – wymamrotał Pikt. – Oczywiście nie mogę tego stwierdzić na pewno. Czy miał zdjętą brodę, gdy go znalazłeś?

– Nie, to ja przypadkiem ją ściągnąłem...

– Więc to robota jakiegoś nie znającego ofiary zbira. Trzeba to przemyśleć. Jeśli człowiek, który ogłuszył Tu, wiedział kim on jest, to znaczy, że ktoś warzy piwo zdrady w Valusii. Mówiłem mu, że to kręcenie się po mieście w takim przebraniu źle się skończy... ale czy cokolwiek można radzić Przewodniczącemu Rady. On nalegał twierdząc, że w ten sposób dowiaduje się wszystkiego, co się dzieje. Trzyma palec na pulsie imperium, jak twierdził.

– Ale jeśli to byli mordercy – powiedział Dalgar – to dlaczego nie obrabowali go? Tutaj jest jego sakiewka z kilkoma sztukami miedzianych monet... ale kto chciałby okradać żebraka?

Włócznik–zabójca zamyślił się.

– To prawda. Ale kto, w imię Valki, mógł wiedzieć, że to jest Tu? On nigdy nie ubierał się dwukrotnie w to samo przebranie, a tylko Dondal i niewolnik pomagali mu w tym. Czego chcieli ci, kimkolwiek są, którzy go ogłuszyli? No cóż, Valko... on wyzionie ducha, jeśli jeszcze dłużej będziemy tutaj stać i trajkotać. Pomóż mi wsadzić go na mojego rumaka.

Wracali do pałacu z szefem Rady Koronnej bujającym się jak pijany na siodle, przytrzymywanym przez silne niczym stal ramiona Brule. Zostali wpuszczeni przez zaskoczone tym widokiem warty. Pozbawiony przytomności mężczyzna został zanieiony do wewnętrznych pomieszczeń i ułożony na łożu. Po chwili, w wyniku działań niewolników i dam dworu, zaczął okazywać znaki powracającej przytomności.

Na koniec usiadł i z jękiem potrząsnął głową. Ka–nu, piktyjski ambasador i najsprytniejszy polityk w królestwie zajął się nim.

– Tu! Kto ci tak przyłożył?

– Nie wiem – członek Rady był wciąż otumaniony. – Nic nie pamiętam.

– Czy miałeś przy sobie jakieś ważne dokumenty?

– Nie.

– Czy coś ci zabrano?

Tu zaczął grzebać niepewnie w zakamarkach szaty. Jego zamglone oczy zaczęły się rozjaśniać i nagle zapaliły się w zrozumieniu.

– Pierścień! Królewski sygnet! Zniknął!

Ka–nu trzasnął pięścią w dłoń i brzydsko zaklął.

– Taki jest efekt noszenia przez ciebie ważnych rzeczy! Ostrzegałem cię! Szybko Brule, Kelkor... Dalgarze, zdrada! Spieszmy do komnat króla.

Przed drzwiami do królewskiej sypialni stało na straży dziesięciu Czerwonych Zabójców, ulubionego regimentu władcy. Na potok pytań Ka–nu odparli, że król poszedł spać godzinę temu, i że nikt nie widział, by wychodził, nie słyszano także żadnego dźwięku.

Ka–nu zapukał w drzwi. Nie było odpowiedzi. W panice pchnął drzwi. Były zamknięte od środka.

– Wyważyć drzwi! – krzyknął nienaturalnie wysokim głosem i poblądła twarzą.

Dwóch Czerwonych Zabójców o rozmiarach gigantów całym ciężarem ciała naparło na drzwi. Te, ponieważ wykonano je z ciężkiego dębu nabitego pasami brązu, wytrzymały. Brule rozepchnął żołnierzy i zaatakował mieczem masywny portal. Pod ciężkimi ciosami ostrej stali, drewno i metal poddały się. W kilka chwil Brule przecisnął się przez resztki drzwi i wpadł do komnaty. Zatrzymał się na chwilę z głośnym jękiem i rozejrzał dookoła. Ka–nu spoglądał ponad jego ramionami szarpiąc nerwowo brodę. Królewskie łóżce było wymiętoszone, jakby ktoś w nim spał, po królu nie pozostał jednak żaden ślad. Pokój był pusty, a tylko otwarte okno stanowiło jakiś klucz do rozwiązania.

– Rozejrzeć się po ulicach! – warknął Ka–nu. – Przeszukać miasto! Strzec wszystkich bram! Kelkor, obudź wszystkich Czerwonych Zabójców. Brule zbierz swoją jazdę i poprowadź ich na śmierć, jeśli będzie taka potrzeba. Szybko! Dalgar...

Ale Farsunianin zniknął. Przypomniał sobie nagle, że zbliża się północ, a wraz z nią sprawa dużo dla niego ważniejsza, niż problemy króla. Bowiem Nalissa bora Ballin czeka na niego w Przeklętych Ogradach dwa kilometry za murami miasta.

3. Znak pieczęci

Tej nocy Kull położył się spać wcześniej. Tak jak było w jego zwyczaju, zatrzymał się na kilka minut przed drzwiami do królewskiej sypialni, by pozartować ze strażnikami. Byli to jego dawni znajomi z regimentu. Wspominał z nimi czasy, gdy jeździł w szeregach Czerwonych Zabójców. Potem zwolnił adiutantów i wszedł do pokoju, ściągnął narzutę z łoża i przygotował się do snu. Bez wątplenia dziwnie postępował jako król, lecz Kull przez długi czas przyzwyczajony był do życia żołnierza, a wcześniej do zwyczajów plemiennych dzikusów. Nigdy nie zdołał przywyknąć, by robiono coś za niego, a w prywatności własnej sypialni mógł nareszcie liczyć tylko na siebie.

Kiedy miał zamiar zgasić świecę oświetlającą pokój, usłyszał ciche stukanie w okno. Z ręką na rękojeści miecza przemierzył pomieszczenie cichym krokiem wielkiej pantery i wyjrzał na zewnątrz. Okno otwierało się na wewnętrzną część pałacu. Krzewy i drzewa wyglądały dziwnie w półcieniu światła gwiazd. Fontanny cicho dźwięczały, a władca nie był w

stanie rozróżnić kształtów jakichkolwiek posterunków, które przemierzały krokami granice pałacu.

Lecz tutaj, koło jego łokcia, znajdowało się coś dziwnego. Przyczepiony do winorośli, które pokrywały mury, wisiał mały zasuszony człowieczek, który wyglądem przypominał zawodowych żebraków, jacy roili się na podlejszych ulicach miasta. Wydawał się niegroźny z cienkimi członkami i małą twarzą, lecz Kull przyglądał mu się z groźną miną.

– Widzę, że będę musiał wystawić warty u podnóża mego okna, albo kazać ściąć te winorośla – powiedział król. – W jaki sposób przedostałeś się przez warty?

Zasuszony człowiek przyłożył palec do ust na znak ciszy. Potem z istic małą zręcznością przełożył rękę przez pręty. W ciszy wręczył Kullowi kawałek pergaminu. Król rozwinął go i przeczytał: „Królu Kullu: Jeśli cenisz swe życie lub powodzenie królestwa, pójdź za przewodnikiem do pałacu, do którego cię zaprowadzi. Nie mów nikomu. Nie pozwól, by zobaczyły cię straż. Regimenty są przeżarte zdradą, i jeśli chcesz żyć, i utrzymać tron, musisz zrobić dokładnie to co mówię. Zaufaj bez zastrzeżeń dostarczycielowi tego listu. Podpisano: Tu, Przewodniczący Rady Koronnej Valusii” i opieczętowano królewskim sygnetem.

Kull zmarszczył brwi. Sprawa miała niesmaczny wygląd... ale to było pismo Tu... Kull zauważył osobliwy, prawie niezauważalny zakrętas w ostatniej literze imienia Tu, który był bez wątpienia charakterystycznym znakiem doradcy. A poza tym znak pieczęci, pieczęci, która nie mogła zostać podrobiona. Kull rozejrzał się.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Poczekaj, dopóki się nie uzbroję.

Ubrany, z założoną lekką kolczugą, Kull wrócił do okna. Chwytał pręty, po jednym w każdą dłoń i uważnie używając swej wielkiej siły rozgiął je tak, by jego szerokie ramiona zmieściły się i prześlizgnął się pomiędzy

nimi. Chwycił winorośl i zsunął się po nich z podobną łatwością, jaką prezentował mały, poprzedzający go żebrak.

U stóp muru, Kull złapał ramię swego kompana.

– W jaki sposób uniknąłeś spotkania z wartami? – wyszeptał. – Tym, którzy mnie zobaczyli, pokazałem znak królewskiej pieczęci.

– Teraz to nic nie warte – wymamrotał król. – Idź za mną, znam ich zwyczaje.

Przez jakieś dwadzieścia minut leżeli za żywopłotem z drzew, w oczekiwaniu aż strażnicy przejdą. Potem przemknęli szybko w cień, poruszając się szybkimi, bezdźwięcznymi krokami. W końcu dotarli do zewnętrznego muru. Kull chwycił swego przewodnika za kostki u nóg i podniósł go tak, że ten chwycił palcami krawędź muru. Po wciągnięciu siebie żebrak wyciągnął rękę, by pomóc królowi, lecz Kull odpowiedział mu pogardliwym gestem. Cofnął się o kilka kroków, wziął krótki rozbieg i wyskakując wysoko w powietrze złapał się szczytu muru wyciągniętą ręką. Wciągnięcie jego wielkiej sylwetki na szczyt muru stanowiło wspaniały popis siły i zręczności.

W chwilę później, dwie dziwnie niepodobne jedna do drugiej postacie, zeskoczyły po drugiej stronie i zniknęły w ciemnościach.

4. „Stoję tu gotowy!”

Nalissa, córka domu bora Ballin była zdenerwowana i przestraszona. Zajęta myślami o wspaniałej miłości i marzeniach na jawie, nie żałowała pochopnych decyzji ostatnich kilku godzin. Niecierpliwie oczekiwała nadchodzącej północy, a wraz z nią swego ukochanego.

Do chwili obecnej jej wyprawa nie była trudna. Opuszczenie miasta po zapadnięciu zmroku nie było proste dla większości ludzi. Ona jednak wyjechała z domu ojca tuż po zachodzie słońca informując matkę, iż spędzi noc u przyjaciółki. Miała to szczęście, iż kobiety cieszyły się szczególną wolnością w mieście Valusii. Nie były trzymane w zamknięciu, w serajach, czy podobnych do więzień domach tak, jak w większości ze wschodnich imperiów. Zwyczaj taki przetrwał do Potopu.

Nalissa wyjechała prędko przez wschodnią bramę, a potem skierowała się prosto do Przeklętych Ogrodów, jakieś dwa kilometry na wschód za miastem. Ogrody te były niegdyś często odwiedzany, przyjemnym, wiejskim dominium pewnego szlachcica. Od pewnego czasu zaczęły pojawiać się opowieści o okropnych hulankach i dziwnych diabelskich obrzędach. Na koniec ludzie, przerażeni regularnymi zaginięciami dzieci, ruszyli wielkim tłumem do Ogrodów i powiesili księcia na wrotach do jego włości. Przeszukując Ogrody odnaleziono straszne rzeczy, w przypływie odrazy i przerażenia częściowo zniszczono podziemia, letnie domki, altanki, grotty i mury. Lecz część z budynków wykonana z bardziej trwałego marmuru przetrwała wściekłość tłuszczy i zniszczenie z powodu upływu czasu. Teraz, opuszczona przez sto lat, miniaturowa dżungla rozrosła się wewnątrz rozwalonych murów i gęsta roślinność pokryła ruiny.

Nalissa skierowała swego rumaka do zniszczonego, letniego domku i usiadła na popękanej marmurowej podłodze, przygotowując się do oczekiwania. Nie było tak zupełnie źle. Łagodny, letni zachód słońca zapanował na ziemi, wypełniając wszystkie zakamarki swą złotą barwą. Zielone morze dokoła niej, poprzerywane gdzieniegdzie białymi błyskami marmurowych murów i wystającymi dachami intrygowało ją. Lecz gdy zaczęła zapadać noc, a cienie rozprzestrzeniały się coraz bardziej, Nalissa zaczęła denerwować się. Nocny wiatr szeptał dziwne opowieści w

gałęziach, samotnych liściach palm i wysokiej trawie, gwiazdy wydawały się tak zimne i odległe. Legendy i opowieści powróciły do niej, i dziewczyna zorientowała się nagle, że obok odgłosów bicia jej przerażonego serca, może usłyszeć szelest niewidzialnych, czarnych skrzydeł i mamrotania demonicznych głosów.

Modliła się o nadejście północy, a wraz z nią Dalgara. Gdyby Kull zobaczył ją wtedy, nie rozmyślałby ani o jej dziwnej naturze, ani o oznakach wspaniałej przyszłości. Zobaczyłby jedynie przerażoną, małą dziewczynę, która desperacko pragnęła zostać przytulona i uspokojona.

Lecz myśl o odjechaniu z Ogrodów wcale nie pojawiła się w jej głowie.

Czas sprawiał wrażenie jakby stał w miejscu? lecz mimo to w jakiś sposób mijał. W końcu słaba poświata zdradziła wzejście księżycy, a dziewczyna wiedziała już, że zbliża się północ.

Wtedy nagle dobiegł odgłos, który postawił ją na nogi. Żołądek podszedł jej do gardła. Gdzieś w sprawiających wrażenie opuszczonych ogrodach, przerwał ciszę odgłos krzyku i brzęk uderzającej o siebie stali. Krótki, obrzydliwy wrzask zmroził jej krew w żyłach. Cisza zapadła dławiącym całunem.

Dalgarze, Dalgarze! Myśl uderzała jak młotek w jej wylęknionym mózgu. Jej ukochany przybył i został napadnięty przez kogoś lub coś.

Wybiegła ze swego schronienia z ręką na sercu, które wydawało się wrywać z piersi. Wyszła na popękany bruk, a szepczące liście palm wyciągały się w jej kierunku jak palce duchów. Dokoła niej leżała pulsująca zatoka cieni, wibrująca i ożywiona nienazwanym złem. Nie rozlegał się żaden dźwięk.

Przed nią rozciągały się zrujnowane podziemia. Nagłe, bez żadnego dźwięku, na jej drodze pojawiło się dwóch mężczyzn. Krzyknęła tylko raz, bowiem język zamarł jej z przerażenia. Próbowwała uciec, lecz nogi

odmówiły jej posłuszeństwa. Zanim zdołała się poruszyć, jeden z mężczyzn złapał ją i wetknął sobie pod pachę, jakby była małym dzieckiem.

– Kobieta – warknął w języku, który Nalissa słabo rozumiała, lecz w którym rozpoznała veruliański. – Pożycz mi swój sztylet, a ja...

– Nie mamy teraz czasu – zripostował drugi, przemawiając w języku Verulian. – Wrzuć ją tam razem z nim i skończymy z nimi razem. Musimy sprowadzić tutaj Phondara, zanim go zabijemy. Chcę go trochę wypytać.

– Mała szansa – chrząknął veruliański gigant krocząc za swym kompanem. – Nie będzie chciał rozmawiać... od razu mogę ci to powiedzieć... otworzył usta tylko, by nas przeklinać, gdy go łapaliśmy.

Nalissa, zwinięta haniebnie pod pachą trzymającego ją mężczyzny, była zmrożona strachem. Lecz jej umysł pracował. Kto był tym „nim”, którego mieli zamiar przepytwać i zabić? Myśl, że może to być Dalgar wyparła z jej umysłu strach i wypełniła duszę dziką i desperacką wściekłością. Zaczęła kopać i szarpać się, aż została ukarana mocnym uderzeniem, które spowodowało łzy do oczu i krzyk z bólu. Popadła w upokarzającą niewolę i została bezceremonialnie wrzucona w ciemne drzwi, by upaść sponiewierana na kamienną podłogę.

– Czy nie lepiej ją związać? – zapytał gigant.

– Po co? Nie może uciec. I nie może go rozwiązać. Pospiesz się, mamy coś do zrobienia.

Nalissa usiadła i spojrzała bojaźliwie wokół. Była w małej komnacie, której rogi pokrywały pajęczyny. Na podłodze leżały zwały pyłu i fragmenty marmuru, który odpadł od ścian. Brakowało części dachu i przez istniejącą dziurę wciskały się promienie księżyca. W ich słabym świetle widziała kształt leżący na podłodze przy ścianie. Przeszły ją dreszcze, a ostre ząbki wbiły się w piękne wargi z przerażenia. Po chwili namysłu stwierdziła jednak, że leżący na podłodze mężczyzna był za duży na

Dalgara. Pochyliła się nad nim i spojrzała w jego twarz. Miał związane ręce i nogi, i był zakneblowany. Znad knebla wpatrywało się w nią dwoje szarych oczu.

– Król Kull!

Nalissa przycisnęła obie dłonie do skroni. Pokój zachwiał się przed jej oszołomionymi oczami. W sekundę później jej szczupłe, silne palce pracowały przy kneblu. Po kilku minutach meczami osiągnęła sukces. Kull rozruszał swoje szczęki przeklinając w swoim własnym języku, ale nawet w tym momencie uważał na wrażliwe uszy dziewczyny.

– Och, mój panie, jak się tu znalazłeś? – spytała dziewczyna załamując ręce.

– Albo mój najwierniejszy doradca jest zdrajcą, albo ja jestem szaleńcem! – warknął gigant. – Pewien człowiek przybył do mnie z listem napisanym ręką Tu, ostemplowanym nawet królewską pieczęcią. Zgodnie z instrukcjami poszedłem za nim przez miasto i bramę, o której istnieniu nawet nie wiedziałem. Brama była niestrzeżona i nieznana nikomu, poza tymi, którzy spiskowali przeciw mnie. Za bramą czekał inny człowiek z końmi. Pędząc z największą szybkością dotarliśmy do tego przekłętego ogrodu. Potem zostawiliśmy konie i poprowadzili mnie, jak ślepego głupca na ofiarę, do tego zrujnowanego dworu.

– Kiedy przeszedłem przez drzwi, spadła na mnie wielka sieć. Wszystkie moje członki zostały związane, a na mnie rzucił się z tuzin opryszków. Mam nadzieję, że pojmanie mojej osoby nie było takie łatwe, jak myśleli. Dwóch z nich chwyciło moją prawą, już skrępowaną rękę. Nie mogłem użyć miecza, ale udało mi się kopnąć jednego z nich w bok i poczułem, jak jego żebra poddają się pod moim uderzeniem. Lewą ręką udało mi się rozerwać fragment sieci, dzięki czemu przebiłem drugiego sztyletem. Tego

spotkała śmierć. Jego stracona dusza krzyczała jeszcze, potem wyzioną ducha.

– Ale, na Valkę, było ich za dużo. Na koniec pozbawili mnie zbroi – Nalissa zauważyła że król jest ubrany tylko w rodzaj przepaski biodrowej – i jak widzisz, związali mnie. Nawet diabeł nie zdołałby rozerwać tych lin. Nie, nie ma po co próbować rozsypywać tych więzów. Jeden z tych ludzi był żeglarzem, a ja z dawnych czasów wiem cokolwiek na temat węzłów, których użył. Wiesz, byłem kiedyś niewolnikiem na galerach.

– Co mogę zrobić? – wyjęczała dziewczyna wykręcając sobie ręce.

– Weź ciężki kawałek marmuru i oderwij fragment ostrego kamienia – powiedział Kull miękko. – Musisz przeciąć te liny...

Zrobiła jak prosił i została nagrodzona długim, cienkim kawałkiem kamienia którego wklęsłe brzegi były ostre niczym brzytwa z postrzępionym ostrzeni.

– Obawiam się, że przetnę twoją skórę, panie – przeprosiła zaczynając pracę.

– Przetnij skórę, ciało i kości, ale uwolnij mnie! – warczał Kull z błyskiem w oczach. – Złapany jak ślepy głupiec! Och, jestem imbecylem! Valko, Konanie i Hotath! Pozwól mi położyć ręce na tych oprychach... jak się tu dostałaś?

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała zasapana Nalissa. – Teraz musimy się spieszyć.

Zapadła cisza. Dziewczyna zaczęła przecinać opierające się włókna sznurów, nie dając chwili odpoczynku zmęczonym rękóm. Wkrótce jej dłonie zostały poszarpane i zaczęły krwawić. Powoli, włókno po włóknie, liny poddawały się, ciągle jednak było ich wystarczająco dużo, by przytrzymać zwykłego człowieka. W tym momencie dźwięk ciężkich kroków rozległ się za drzwiami. Nalissa zamarła. Usłyszeli głos.

– On jest w środku, Phondarze, związany i zakneblowany. Jest z nim jakaś valusyjska dziewczucha, którą złapaliśmy, jak wałęsała się po Ogrodach.

– Niech więc ktoś uważa, czy nie pojawi się jakiś galant – odparł inny głos, szorstki, ochryply, nawykły do wydawania poleceń i posłuszeństwa. – Pewnie miała się z kimś tu spotkać. Ty...

– Żadnych nazwisk, żadnych nazwisk, dobry Phondarze – wpadł mu w słowo jedwabisty valusyjski głos. – Pamiętasz naszą umowę. Dopóki Gomlah nie zasiądzie na tronie, jestem po prostu... Człowiekiem w Masce.

– Bardzo dobrze – warknął Verulianin. – Wykonałeś niezłą nocną robotę, Zamaskowany. Nikt poza tobą nie mógłby tego dokonać, ponieważ tylko ty wiedziałeś, jak zdobyć królewski sygnet. Tylko ty mogłeś tak dobrze podrobić pismo Tu... a pomijając to wszystko, czy zabiłeś tego starucha?

– Cóż za różnica? Umrze dziś w nocy lub jutro w dzień, kiedy to Gomlah zasiądzie na tronie. Sprawą najwyższej wagi jest to, iż król leży bezradny w naszej mocy.

Kull przeszukiwał swój mózg próbując umiejscowić stosunkowo znajomy głos zdrajcy. A Phondar... Twarz władcy zmarszczyła się. Rzeczywiście głęboka konspiracja, jeśli Verulia musiała wysłać dowódcę swych królewskich armii, aby wykonał tą brudną robotę. Król znał dobrze Phondara i ongiś przyjmował go u siebie w pałacu.

– Wejź do środka i wyciągnij go na zewnątrz – powiedział Phondar. – Weźmiemy go do starej komnaty tortur. Mam do niego kilka pytań.

Drzwi otworzyły się, wpuszczając mężczyznę – giganta, tego który złapał Nalissę. Drzwi zamknęły się za nim, gdy przeszedł przez pokój. Olbrzym rzucił okiem na kulącą się w rogu dziewczynę. Chwycił związanego króla za nogi i ramiona, by podnieść jego ciało. W tej

sekundzie rozległ się krótki trzask, gdy Kull naprężywszy swe stalowe mięśnie w jedną straszliwą żyłę, zerwał pęta, które go jeszcze trzymały.

Nie był tak długo związany, by zatrzymany został przepływ krwi i siła od razu wypełniła jego członki. Jak uderzający pyton, jego ręka wystrzeliła ku gardłu giganta. Chwycił je jak w stalowe pęta.

Gigant upadł na kolana. Jedną ręką sięgnął do gardła drugą do sztyletu. Jego palce wpiły się jak stal w przegub Kulla, sztylet błysnął wyciągany z pochwy. Wtedy oczy olbrzyma wysunęły się z oczodołów, a język wypadł spomiędzy warg. Palce spadły z przegubów króla sztylet wypadł z bezwładnego uścisku dłoni. Verulianin zmiękł, a jego szyja została zmiażdżona w przerażającym uścisku. Kull, jednym potężnym ruchem, skrzył mu kark, i puszczając ciało, wyrwał mu miecz z pochwy. Nalissa podniosła sztylet.

Walka zajęła jedynie kilka sekund. Jej odgłosy przypominały te, jakie zwykle wywołuje mężczyzna biorący duży ciężar na ramiona.

– Szybciej! – dobiegł zza drzwi niecierpliwy głos Phondara. Kull, przyczajony niczym tygrys, myślał. Wiedział, że w Ogradach jest przynajmniej dwudziestu konspiratorów. Dzięki rozmowie, którą przed chwilą słyszał, wiedział, że przed drzwiami stoi dwóch lub trzech. Pokój, w którym się znajdował, nie był najlepszym miejscem do obrony. W każdej chwili któryś z opryszków mógł wejść zobaczyć, co powoduje to opóźnienie. Podjął decyzję i zaczął działać.

Skinął na dziewczynę.

– Kiedy tylko zniknę za drzwiami, wybiegnij przez nie i uciekaj schodami, które prowadzą w lewą stronę.

Drząc kiwnęła głową. Kull odwrócił się i otworzył drzwi.

Stojący na zewnątrz mężczyźni spodziewali się veruliańskiego giganta trzymającego w ramionach bezradnego króla. Widok, który zobaczyli,

ogłupił ich i zaskoczył. Kull stojący w drzwiach. Na wpół nagi, przypominał wielkiego człowieka–tygrysa z wyszczerzonymi w furii zębami. Ostrze jego miecza wirowało tworząc srebrne koła w świetle księżyca.

Kull zobaczył Phondara, dwóch veruliańskich żołnierzy, szczupłą postać w czarnej masce... i w mgnieniu oka był przy nich tańcząc swój taniec śmierci. Dowódca Verulian padł od pierwszego ciosu, który przebił się przez hełm i przeciął na wpół głowę aż do zębów. Zamaskowany wyciągnął broń i uderzył rozcinając policzek króla. Jeden z żołnierzy zaatakował włócznią, którą Kull sparował. Po chwili wojownik leżał martwy koło swego dowódcy. Ostatni z żołnierzy zaczął uciekać wołając towarzyszy. Zamaskowany odskoczył i sparował wyprowadzony znad głowy cios z niesamowitą wprawą. Nie miał jednak czasu na zaatakowanie. Dzikie uderzenia Kulla zmusiły go to bronienia się. Król uderzał w miecz przeciwnika niczym kowal w kowadło. Jeszcze raz i jeszcze raz. Wydawało się, że veruliańska stal rozłupie tą zamaskowaną, zakapturzoną głowę. Ale za każdym razem długi, cienki miecz stawał na drodze Kullowi przesuwając o cal ostrze, czy zatrzymując je na włos od skóry.

Kull widział biegnących przez listowie veruliańskich żołnierzy, słyszał szcęk broni i dzikie okrzyki. Wiedział, że jeśli złapią go tu, na odkrytym terenie, to będą mogli zająć go od tyłu i pociąć jak szczura. Uderzył jeszcze raz, nieskutecznie, po czym cofnął się, odwrócił i pobiegł w górę schodów, na których szczycie stała Nalissa.

Na górze odwrócił się. Stali na czymś w rodzaju wysepki. Schody wiodły w górę, a dawno temu inne będące teraz rumowiskiem prowadziły na dół. Kull zorientował się, że są w ślepych zaułku. Na ścianach wycięte były rzeźby, ale...

Cóż, pomyślał Kull, tu umrzemy. Ale umrze tu i wielu innych.

Verulianie zebrali się pod dowództwem tajemniczego, zamaskowanego Valusyjczyka u stóp schodów. Kull poprawił uchwyt na rękojeści miecza i odrzucił do tyłu głowę instynktownie przypominając sobie czasy, kiedy nosił włosy przypominające grzywę lwa.

Kull nigdy nie bał się śmierci. Nie bał się jej i teraz, i z radością, jak starego przyjaciela, przywitałby szaleństwo i zgiełk bitewny. Ale był pewien problem: za nim stała dziewczyna. Kiedy spojrzał na jej drżącą postać i bladą twarz, podjął decyzję.

Podniósł rękę i krzyknął: – Hej, Verulianie! Stoję tu gotowy! Wielu padnie, zanim ja umrę. Jeśli jednak obiecacie mi, że wypuścicie dziewczynę nietkniętą, to nie podniosę na was ręki. Będziecie mogli zabić mnie niczym owcę.

Nalissa krzyknęła protestując, a Zamaskowany zaśmiał się. – Nie targujemy się z kimś, kto już jest martwy. Dziewczyna także musi zginąć, a ja nie będę składał przysięgi po to, aby ją zaraz złamać. Naprzód, wojownicy, weźcie go!

Popłynęli schodami niczym czarna fala śmierci, a ich miecze błyszcząły zimnym srebrem w świetle księżyca. Jeden z nich był z przodu: wielki wojownik trzymający nad głową ogromny topór. Poruszał się szybciej, niż przewidywał Kull, i po chwili był już na górze. Król ruszył na niego i lewą ręką chwycił obniżające się ciężkie drzewce topora i zatrzymał jego ruch. Niewielu ludzi potrafiłoby tego dokonać. Jednocześnie wyprowadził prawą ręką potężny cios. Ostrze miecza przebiło się przez zbroję, mięśnie i kości, i zatrzymało się pękając na kamiennej kolumnie.

W mgnieniu oka puścił bezużyteczną rękojeść i wyjął topór z obumarłych rąk wojownika który zaczął swój ostatni lot w dół schodów. Kull zaśmiał się krótko i okrutnie.

Verulianie zawahali się. Stali pośrodku schodów, a z dołu Zamaskowany ponaglał ich. Zaczynali się buntować.

– Phondar nie żyje – krzyknął jeden. – Czy mamy słuchać rozkazów Valusianina? Mamy przeciw sobie diabła, a nie człowieka! Ratujmy się!

– Głupcy! – głos Zamaskowanego zmieniał się w zwierzęcy ryk. – Czy nie widzicie, że będziecie bezpieczni, gdy zabijecie króla? Jeśli zawiedziecie tej nocy, wasz kraj wyprze się spiskowców i wspomże Valusyjczyków w wyłapaniu was wszystkich! Naprzód, głupcy! Lepiej żeby kilku z was umarło od topora króla, niż żebyście wszyscy zawiśli na szubienicy! Jeśli ktoś zejdzie na dół... zabiję go! – pogroził im długim, ostrym mieczem.

Zdesperowani, bojąc się swego dowódcy, rozpoznali prawdę w jego słowach. Dwudziestu lub więcej wojowników zwróciło swe piersi ku ostrzu Kulla. Kiedy zbierali się do czegoś, co z pewnością miało być ostatnim atakiem, uwagę Nalissy przykuł ruch u podstawy ściany. Cień ten wyróżniał się z reszty cieni i poruszał się ku szczytowi muru. Używając głębokich szczelin wspinał się niczym małpa. Ta część ściany była w cieniu, tak że nie mogła rozpoznać postaci, której głowę w dodatku chronił morion.

Nie powiedziała nic Kultowi, który stał tuż przy schodach, trzymając w ręku topór. Przekradła się w pobliże muru i ukryła za czymś, co kiedyś było parapetem. Widziała już, że człowiek ten ubrany jest w pełną zbroję, ale wciąż nie mogła go rozpoznać. Jej oddech przyspieszył. Podniosła sztylet walcząc z nudnościami, które zaczęła odczuwać.

Pokryta stalą rękawica pojawiła się na szczycie. Nalissa skoczyła niczym tygrysica, szybko i cicho. Uderzyła w niczym nie chronioną twarz, którą nagle oświetliło światło księżyca. Sztylet opadał, a ona nie była w stanie

zatrzymać uderzenia. Krzyknęła, dziko i przeraźliwie, bowiem w tej sekundzie rozpoznała twarz swego kochanka, Dalgara z Farsun.

5. Bitwa na schodach

Po bezceremonialnym opuszczeniu doprowadzonego do szału Ka–nu, Dalgar pobiegł do swojego konia i ruszył ku wschodniej bramie. Słyszał jak piktyjski ambasador rozkazuje zamknąć bramy i nikogo nie wypuszczać, więc spieszył się jak szalony, aby ubiec ten rozkaz. Wydostanie się nocą z miasta zawsze stanowiło problem, a Dalgar, który wiedział, że tej nocy wrota nie będą strzeżone przez nieskorumpowanych Czerwonych Zabójców, planował przekupić wartowników. Teraz oparł się na koncepcji zuchwałego oszustwa, jakiego chciał dokonać.

Zatrzymał się przy wschodniej bramie i krzyknął: – Otworzyć wrota! Muszę dziś jechać do veruliańskiej granicy! Szybko! Król zniknął! Pozwólcie mi przejść, a później wartujcie przy bramie! W imieniu króla!

– Pospieszcie się, głupcy! – krzyczał, kiedy żołnierze zaczęli się wahać. – Król może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Wykonajcie rozkaz!

Przez miasto przeszedł porażający serca, nagły, głęboki dźwięk wielkiego, wykonanego z brązu Dzwonu Króla, który słyhać tylko wtedy, gdy król jest w niebezpieczeństwie. Gwardziści podskoczyli. Wiedzieli, że Dalgar jest w łaskach i często odwiedza szlachetnie urodzonych. Wierzyli w to, co im powiedział, więc, pod wpływem jego woli, otworzyli szeroko wielkie, żelazne wrota, przez które Farsunianin wystrzelił niczym piorun i zniknął w ciemnościach.

Podczas drogi Dalgar miał nadzieję, że nic złego nie stanie się Kullowi. Lubił tego bezceremonialnego barbarzyńcę daleko bardziej niż sztucznych i

mdłych królów Siedmiu Imperiów. Jeśli tylko byłoby to możliwe, pomógłby w poszukiwaniach. Ale czekała na niego Nalissa, a on już i tak był spóźniony.

Kiedy młody szlachcic wjechał na teren Ogrodów, opanowało go dziwne uczucie, że w sercu tego opuszczonego obszaru jest wielu ludzi. W chwilę później usłyszał szcęk stali, kroki wielu osób i dzikie pokrzykiwania w obcym języku. Zsunął się z konia i wyciągnął miecz. Prześlizgując się pośród krzewów dotarł do zrujnowanego dworu. Tu jego wzrok napotkał dziwny widok. Na szczycie zniszczonych schodów stał na wpół nagi gigant, którego rozpoznał jako króla Valusii. U jego boku stała dziewczyna... na wpół zduszony szloch wyrwał się z ust Dalgara. Nalissa! Paznokcie wbiły się głęboko w jego dłoń. Kim byli ci mężczyźni w czarnych ubraniach, którzy roili się na schodach? Nieważne. Oni byli śmiercią Kulla i Nalissy. Słyszał, jak król proponuje oddanie swojego życia za życie dziewczyny i fala podziękowań przepłynęła przez jego ciało. Potem zauważył głębokie szczeliny w znajdującym się obok murze. W chwilę później wspinał się, ku śmierci u boku króla, w obronie dziewczyny, którą kochał.

Stracił z widoku Nalissę, ale nie mógł sobie pozwolić na odszukanie jej podczas wspinaczki. Było to trudne i niebezpieczne zadanie. Nie widział jej aż do momentu, kiedy mógł się przytrzymać krawędzi muru i wciągnąć na górę. Wtedy to usłyszał jej krzyk i zobaczył rękę trzymającą błyszczące srebro spadającą na jego twarz. Schylił się i przyjął cios na morion. Sztylet uderzył rękojęścią o hełm. W chwilę później Nalissa padła w jego ramiona.

Słyszając krzyk dziewczyny Kull odwrócił się z uniesionym toporem. Rozpoznał Farsunianina i nawet w tej chwili zdołał wyczytać wszystko z rysów jego twarzy. Wiedział już, dlaczego ta dwójka znalazła się tutaj i uśmiechnął się zadowolony.

Atak Verulian został na sekundę powstrzymany, kiedy zorientowali się, że na górze znajduje się jeszcze jeden mężczyzna. Szli już jednak ku górze w promieniach księżyca, z błyszczącymi ostrzami i oczami pełnymi dzikiej desperacji. Pierwszy z nich spotkał Kulla, który straszliwym cięciem nad głowę rozwalił jego hełm i czaszkę. W tej samej chwili stanął obok niego Dalgar. W mgnieniu oka wyciągnął broń i zatopił ją w krtani kolejnego Verulianina. Tak zaczęła się bitwa na schodach, którą uwiecznili śpiewacy i poeci.

Kull był tutaj by umrzeć i by zabrać ze sobą jak najwięcej wrogów. Nie zwracał zbyt wiele uwagi na obronę. Topór tworzył wokół niego koła śmierci. Za każdym uderzeniem słychać było pękającą stal i kości, i krzyk agonii pośród rozlewanej krwi. Ciało leżało na długich schodach, ale wciąż nadchodzili kolejni wrogowie przeciskając się pomiędzy okrwawionymi ciałami swych towarzyszy.

Dalgar nie miał zbyt wielu okazji na pchnięcia i cieciska. Zorientował się, że jego zadaniem leży w chronieniu Kulla, który był urodzonym zabójcą, ale który, z powodu braku zbroi, mógł w każdej chwili paść trupem.

Tak więc Dalgar otoczył króla pajęczyną stali, wspaniale używając umiejętności walki mieczem. Jego broń kilkakrotnie odbijała sztychy skierowane w serce Kulla; jego pokryte zbroją ramie kilkakrotnie przyjmowało ataki, które wielu innych by zabiły. Dwa razy przyjął na swój hełm ciosy, które dla króla znaczyły pewną śmierć.

Niełatwo jest chronić jednocześnie siebie i innego człowieka. Kull krwawił z ran na twarzy i piersi, z długiego cięcia powyżej skroni, pchnięcia w udo i głębokiej rany w lewym ramieniu. Pchnięcie piką naruszyło pancerz Dalgara i przebiło mu bok. Młodzieniec poczuł jak z członków ucieka mu siła. Ostatni szalony wysiłek nieprzyjaciół i Farsunianin został pokonany. Upadł u stóp Kulla, a tuzin ostrz dźgało

pragnąc odebrać mu życie. Z łoście lwim rykiem Kull oczyścił przestrzeń przed sobą jednym, potężnym machnięciem czerwonego topora i stanął na rozstawionych nogach nad leżącym młodzieńcem. Przeciwnicy zblizali się...

Do uszu Kulla doleciał odgłos końskich podków i po chwili Przekłete Ogrody wypełniły się wyjącymi jak wilki do światła księżyca jeźdźcami. Deszcz strzał spadł na schody i mężczyźni wrzasnęli, wyprężyli się i padli na ziemię lub stoczyli w okrutny, głęboki kanion. Kilku z tych, którzy nie zakosztowali ani topora Kulla, ani strzał, zbiegło w ucieczce schodami, by na dole spotkać się z błyszczącymi, zakrzywionymi mieczami Piktów Brule'a. Zginęli walcząc do ostatniego człowieka dzielni veruliańscy wojownicy... zabawki butnego króla, skierowane w dal z niebezpieczną i głupią misją, zapomniane przez ludzi, którzy je wysłali, obłożone na zawsze hańbą. Zginęli jednak jak prawdziwi mężczyźni.

Jeden człowiek nie umarł tam u stóp schodów. Człowiek w Masce uciekł na pierwszy dźwięk podków i umykał teraz przez Ogrody jadąc na swym świetnym rumaku. Prawie już dotarł do zewnętrznego muru, gdy Brule, włócznie-zabójca, stanął na jego drodze. Tam, na przyłdku światła księżyca, zobaczył ich ściskający wciąż swój zakrwawiony topór Kull.

Zamaskowany zrezygnował z taktyki obronnej. Zaszarżował na Pikta z odwagą i wściekłością. Włócznie-zabójca napotkał go koń w konia, mężczyzna w mężczyznę, ostrze w ostrze. Obaj byli wspaniałymi jeźdźcami. Rumaki posłuszne dotykowi uzd, naciskowi kolan, kręciły się, przysiadaly, spinały. Lecz mimo wszystkich manewrów, świszczące ostrza nigdy nie dotykały walczących przeciwników. Brule, nie tak jak jego współplemieńcy, używał wąskiego, prostego valusyjskiego miecza. W zasięgu i prędkości różnica pomiędzy wojownikami była minimalna. Kull obserwując rozgrywkę, za każdym razem, gdy Brule mógł poddać się

niezwyčajnemu, fantazyjnemu pchnięciu wstrzymywał oddech i mrużył oczy.

Nie było żadnego prymitywnego rąbana i okładania ze strony tych nie mających wyboru wojowników. Jedyne pchnięcia, kontry, parowania i znowu pchnięcia. Wtedy nagle Brule jakby stracił kontakt z ostrzem przeciwnika... zaczął z dzikością parować, pozostając prawie całkiem odsłonięty na sztychy... Człowiek w Masce uderzył piętami w boki konia tak, iż koń i miecz skoczyły naprzód jak jedno ciało. Brule pochylił się na bok, pozwolił, by ostrze przemknęło obok pancerza. Jego własny miecz wystrzelił na wprost. Łokieć, przegub, rękojeść i czubek miecza stanęły w jednej linii z ramieniem. Konie zderzyły się i upadły razem na murawę. Lecz z kłębowiska wierzgających podków tylko Brule podniósł się nietknięty. Na trawie pozostał Człowiek w Masce. Miecz Brule wciąż tkwił w jego ciele.

Kull obudził się jak z transu. Piktowie wyli wokół jak wilki. On podniósł swą rękę nakazując ciszę.

– Dosyć! Jesteście wszyscy bohaterami! Zaopiekujcie się Dalgarem, jest ciężko ranny. A kiedy już z nim skończycie, możecie zająć się moimi ramami. Brule, w jaki sposób odnalazłeś mnie?

Brule przywołał ruchem ręki Kulla do miejsca, w którym stał nad Człowiekiem w Masce.

– Stara żebraczka widziała jak wspinasz się na mur pałacowy i z ciekawości obserwowała z daleka, gdzie się udajesz. Towarzyszyła wam do momentu, gdy przechodziliście przez zapomnianą bramę. Podążaliśmy właśnie przez teren pomiędzy murami, a Ogrodami, gdy usłyszałem brzęk stali. Cóż, któż inny mógłby tu być?

– Podnieś maskę – powiedział Kull. – Ktokolwiek by to był, to on skopował pismo Tu, zabrał mu sygnet i...

Brule zerwał maskę.

– Dondal! – wybuchł Kull. – Bratanek Tu! Brule, Tu nie może się nigdy o tym dowiedzieć. Pozwólmy mu myśleć, że Dondal wyjechał z tobą i zginął walcząc dla swego króla.

Brule wydawał się ogłuszony.

– Dondal! Zdrajcą! Dlaczego? Wiele razy upijałem się z nim winem i odsypiałem w jednym z jego łóżek – Kull wyjąkał.

– Lubiłem Dondala.

Brule wyciągnął z ciała miecz i włożył z cichym trzaskiem z powrotem do pochwy.

– Żądze z każdego człowieka mogą uczynić złoczyńcę – stwierdził smutno. – Był w głębokich długach... Tu był dla niego skąpy. Zawsze opowiadał, że dawanie młodym ludziom pieniędzy, źle na nich wpływa. Dondal został zmuszony do utrzymywania swego wyglądu ze swojej dumnej, pustej kieszeni. W ten sposób wpadł w ręce lichwiarzy. To Tu jest największym zdrajcą, ponieważ doprowadził chłopaka do złego przez własne skąpstwo... i wolałbym, by czubek mojego miecza utkwiał w sercu Tu zamiast w jego.

To mówiąc Pikt odwrócił się na pięcie i odszedł w smutku.

Kull odwrócił się do Dalgara, który leżał na wpółprzytomny, gdy piktyjscy wojownicy bandażowali z wprawą jego rany. Inni zwrócili swą uwagę na króla, i gdy oczyszczali, zaszywali i bandażowali cięcia, zbliżyła się do Kulla Nalissa.

– Panie – wyciągnęła do niego swe małe rączki, pocięte i umazane zakrzepłą krwią. – Czy teraz ulitujesz się nad nami... przychyl się do mojej prośby, jeśli... – jej głos przeszedł w płacz – jeśli Dalgar przeżyje?

Kull chwycił jej drobne ramiona i zamknął ją w uścisku.

– Dziewczyno, dziewczyno, dziewczyno! Proś mnie o cokolwiek, co mogę ci ofiarować. Poproś o połowę królestwa lub o moją prawą rękę, a będzie twoja. Poproszę Muroma, by pozwolić poślubić ci Dalgara... będę go błagał... ale nie mogę go zmuszać.

Wysoki jeździec przedzierał się przez Ogrody, jego pełna blasku zbroja świeciła się pomiędzy pónagimi, wilczymi ciałami Piktów. Wysoki mężczyzna śpieszył się, unosząc przyłbicę hełmu.

– Ojcze!

Murom bora Ballin z dziękczynnym jękiem przycisnął córkę do piersi. Potem odwrócił się do swego króla.

– Panie, jesteś poważnie ranny! Kull potrząsnął głową.

– Niezbyt ciężko, w każdym razie, jak dla mnie, inni ludzie mogliby czuć ból lub zeszywnienie. Lecz tam leży ten, który otrzyma śmiertelny cios przeznaczony dla mnie. On był moją tarczą i moim hełmem, bez niego Valusia oczekiwałaby na nowego władcę.

Murom obrócił się do powalonego młodzieńca.

– Dalgar! Czy on jest martwy?

– Jest bliski tego – wymamrotał wysuszony Pikt, który wciąż pracował nad młodzieńcem. – Jest słaby, lecz przy dobrej opiece wydobrzeje.

– Przybył tutaj na spotkanie z twoją córką, aby z nią uciec – powiedział Kull, a Nalissa zwiesiła głowę. – Przedzierał się przez krzewy, gdy zobaczył jak walczę o swoje i je życie na szczycie tamtych schodów. Mógł uciec. Nic go nie powstrzymało. Wspiął się na stromy mur, na prawie pewną śmierć. Walczył u mego boku tak śmiało, jakby podążał na święto... nie był nawet moim krewniakiem.

Dłonie Muroma splatały się i rozplatały. Jego oczy łagodniały i miękły, gdy przyglądał się córce.

– Nalisso – powiedział cicho, przygarniając dziewczynę pod pokrytą stalą ochronę swego ramienia. – Czy ciągle pragniesz poślubić tego lekkomyślnego młodzieńca?

Jej oczy w wystarczający sposób odpowiedziały na pytanie.

Kull stwierdził.

– Weźcie go ostrożnie i zanieście do pałacu, będzie miał tam najlepsze warunki...

Murom sprzeciwił się.

– Panie, jeśli mogę o coś prosić. Pozwól, by został zabrany do mego zamku. Tam zajmą się nim najlepsi lekarze. Gdy dojdzie do siebie... cóż, jeśli byłoby to twoim królewskim życzeniem, czy nie moglibyśmy uczcić tego wydarzenia weselem?

Nalissa krzyknęła z radości, klasnęła w dłonie, ucałowała ojca i Kulla, i po chwili jak trąba powietrzna znalazła się u boku Dalgara.

Murom uśmiechnął się, a jego arystokratyczna twarz rozjaśniła się.

– Z nocy krwi i przerażenia narodziła się radość i szczęście.

Barbarzyński król wykrzywił twarz w uśmiechu i położył na ramieniu wyszczerbiony i brudny topór.

– Życie takie jest, Książę. Zguba jednego człowieka jest błogosławieństwem dla innego.



LUSTRA TUZUN THUNE'A

*O dzika, dziwna kraino, co leżysz wzniosie
Poza Przestrzenią, poza Czasem.*
Edgar Allan Poe

Sawet dla królów nachodzą czasy wielkiego znużenia. Wtedy to złoty tron zmienia się w mosiężny, a pałacowe jedwabie w szary materiał. Szlachetne kamienie umieszczone w diademie migoczą ponuro niczym lód białych mórz. Słowa ludzi są ni czym puste kołatanie dzwonek błazna, wszystko wydaje się nierealne. Nawet słońce staje się miedziakiem na nieboskłonie, a oddech zielonego oceanu już nie przynosi świeżości.

Kull usiadł na tronie Valusii, a naszły go właśnie godziny znużenia. Wszystko poruszało się przed nim niczym nieskończony, nic nie znaczący obraz: mężczyźni, kobiety, kapłani, wydarzenia i cienie wydarzeń, rzeczy widziane i rzeczy osiągnięte. Ale, niczym cienie, wszystko to przychodziło i odchodziło nie zostawiając śladu w jego umyśle, jedynie drażniąc go jeszcze bardziej. Kull jeszcze nie był zmęczony. Była w nim tęsknota za rzeczami poza nim samym i poza valusyjskim dworem. Niepokój zamieszkał w jego ciele, a dziwne, jasne sny zagościły w jego duszy. Na jego prośbę przybył do królewskiej komnaty Brule, włócznik–zabójca, wojownik z kraju położonego na Wyspie Piktów, na Oceanie Zachodem.

– Królu, jesteś zmęczony życiem na dworze. Wsiądź ze mną na moją galerę i niech fale zanoszą nas gdziekolwiek.

– Nie – Kull oparł swą zmęczoną głowę na potężnej dłoni. – Jestem znużony tym wszystkim. Miasta nie interesują mnie...

granice są spokojne. Już nie słyszę pieśni morza, którą to śpiewało dla mnie, gdy leżałem na kamienistym wybrzeżu Atlantydy za czasów młodości, i gdy noc żyła błyskiem gwiazd. Nie nęcą mnie już i zielone lasy, tak jak to robiły za dawnych lat. Jest we mnie jakaś dziwna obcość, jakaś tęsknota poza tęsknotami. Odejdź!

Brule odszedł pełen wątpliwości, pozostawiając siedzącego na tronie i rozmyślającego króla. Potem do Kulla przekradła się pałacowa dziewczyna i wyszeptała: – Wielki królu, odszukaj czarownika Tuzun Thune’a. Zna on sekrety życia i śmierci, gwiazdy na niebie i kraje na morzach.

Kull spojrział na dziewczynę. Miała piękne, złote włosy i dziwnie skośne, fiołkowe oczy. Była piękna, ale jej wygląd niewiele znaczył dla króla.

– Tuzun Thune – powtórzył. – Kim on jest?

– Czarodziej ze Starszej Rasy. Żyje w Valusii, koło Jeziora Wizji w Domu o Tysiącu Luster. On wie wszystko, królu. Rozmawia z umarłymi i z demonami ze Straconych Krain.

Kull wstał.

– Odnajdę tego komedianta. Ale ani słowa o mojej wyprawie, słyszysz?

– Jestem twoją niewolnicą, panie – opadła potulnie na kolana, ale gdy tylko król się odwrócił, na jej szkarłatnych ustach wykwitł przebiegły uśmiech, a jej wąskie oczy zabłyśły chytrym błyskiem.

Kull dotarł do domu Tuzun Thune’a, który mieścił się w pobliżu Jeziora Wizji. Rozległa i niebieska była połać jeziora. Na jego stromym brzegu wyrastało wiele wspaniałych pałaców. Wiele łabędzioskrzydłych łodzi

dryfowało leniwie po jego mglistych wodach, a zewsząd dochodziły dźwięki spokojnej i przyjemnej muzyki.

Wysoki, rozległy i niepretensjonalny był Dom o Tysiącu Luster. Wielkie drzwi stały otworem. Kull wspiął się po szerokich schodach i wszedł niezapowiedziany. W wielkiej komnacie, której ścianami były lustra, spotkał się z czarodziejem Tuzun Thune. Człowiek ten był tak stary, jak góry Zalgara. Jego skóra była pomarszczona, ale jego zimne, szare oczy były niczym błyski na stali miecza.

– Kullu z Valusii, mój dom jest twoim domem – powiedział kłaniając się z dwornością pozostałą z dawnych lat i wskazując na podobne do tronu krzesło.

– Słyszałem, że jesteś czarodziejem – zaczął bez ogródek król, opierając głowę na dłoni i spoglądając ponurymi oczami w twarz gospodarza. – Czy potrafisz czynić cuda?

Czarodziej wyciągnął do przodu rękę. Jego palce zamykały się i otwierały niczym szpony ptaka.

– Czy to nie cud... że to ślepe ciało słucha rozkazów mojego umysłu? Chodzę, oddycham, mówię... czy to nie są cuda?

Kull zamyślił się na chwilę, a potem rzekł: – Czy potrafisz przywoływać demony?

– Tak. Potrafię przywołać demona bardziej dzikiego, niż jakikolwiek pochodzący z krainy duchów... porażając twą twarz.

Kull wzdrygnął się, a potem pokiwał głową.

– A martwi, czy potrafisz rozmawiać z martwymi?

– Zawsze rozmawiałem z martwymi... tak jak i teraz. Śmierć zaczyna się w dniu urodzin. Każdy człowiek zaczyna umierać, kiedy się rodzi. Jesteś martwy, królu Kullu, ponieważ urodziłeś się.

– Ale ty, ty jesteś starszy niż ludzie. Czy czarodzieje nigdy nie umierają?

– Ludzie umierają wtedy, kiedy nadejdzie ich czas. Nie wcześniej i nie później. Mój jeszcze nie nadszedł.

Kull zastanowił się nad tą odpowiedzią.

– A więc wygląda na to, że największy czarodziej Valusii jest niczym więcej niż zwyczajny człowiek. Wystrychnięto mnie na dudka.

Tuzun Thune pokręcił głową.

– Ludzie są niczym więcej, tylko ludźmi. A najwięksi spośród nich to ci, którzy najszybciej nauczą się najprostszych rzeczy. Nie, spojrzysz w moje lustro, Kullu.

Sufit był wieloma lustrami i ściany były lustrami; wszystko wspaniale połączone. Wiele luster o różnych kształtach i wielkościach.

– Lustro są światem, Kullu – zadudnił głos czarodzieja. – Spojrzysz w moje lustro i naucz się mądrości.

Kull wybrał losowo jedno i spojrział w nie uważnie. Lustro z przeciwległej ściany odbijało się w tym, w które spoj rzał, i odbijało inne... Wydawało mu się, że patrzy w dół długiego, jasnego korytarza stworzonego z luster. Daleko w tym korytarzu widać było małą figurkę. Kull przyglądał się na tyle długo, by stwierdzić, iż jest to bez wątpienia odbicie jego postaci. Patrzył i dziwne uczucie zadowolenia spłynęło na niego. Zdawało mu się, że ta mała figurka jest prawdziwym Kullem, posiadającym właściwą wielkość. Odsunął się więc i stanął przed innym lustrem.

– Przypatrz się lepiej, Kullu. To jest lustro przeszłości – usłyszał słowa czarodzieja.

Szare mgły przysłaniały widok, wielkie kłęby chmur, wciąż zmieniające kształt, ciągle niestałe jak duchy wielkiej rzeki. Przez te mgły Kull dojrzał szybkie, przemijające wizje dziwów i przerażenia. Stworzenia i ludzie poruszali się nie mając do końca kształtów ani ludzi, ani stworzeń. Wielkie, egzotyczne kwiaty pojawiały się we wszechobecnej szarości. Wysokie,

tropikalne drzewa górowały nad śmierdzącymi bagnami. Monstra o ciałach gadów tarzały się tam i ryczały. Niebo było pełne latających smoków, a niespokojne, wypełnione skałami morza bez końca przemierzały stworzenia wychodzące co pewien czas na muliste plaże. Nie widać było jeszcze ludzi, bowiem ludzkość była wtedy snem bogów. Obca była kształtom zmor pełzającym przez hałaśliwe dżungle. Kull widział bitwy i zabójstwa, a także pełną lęku miłość. Śmierć szła ręką w rękę z Życiem. Wąskie plaże pełne ryczących monstrów i niesamowitych kształtów, majaczyły przez kurtynę padającego strumieniami deszczu.

– To jest lustro przyszłości. Kull patrzył w milczeniu.

– Cóż widzisz?

– Dziwny świat – odparł poważnie Kull. – Siedem Imperiów rozpadło się w pył i zostało zapomniane. Niespokojne, zielone fale huczą od wieków dziesiątki metrów ponad wzgórzami Atlantydy. Góry Zachodniej Lemurii są wyspami na nieznanym oceanie. Dziwni dzikusci opanowali stare i nowe lądy. Pojawili się znikąd i splugawili odwieczne relikwie. Valusia zniknęła wraz ze wszystkimi obecnymi narodami. Jutrzejsze dni należą do obcych. Oni zupełnie nic o nas nie wiedzą.

– Czas kroczy do przodu – powiedział spokojnie Tuzun Thune. – My żyjemy dzisiaj, dlaczegoż mamy martwić się dniem wczorajszym lub jutrzejszym? Koło obraca się, a narody powstają i giną, świat zmienia się. Czas powraca do stanu dzikości, by zmienić się w wieki cywilizacji. Przed Atlantydą była Valusia, przed Valusią Stare Rasy. Tak, my także, gdy pojawiliśmy się, stąpaliśmy po ramionach zaginionych w pamięci plemion. Ty, który przybyłeś z zielonych, oceanicznych wzgórz Atlantydy i zdobyłeś starożytną koronę Valusii, myślisz że moje plemię jest stare. My panowaliśmy nad tymi ziemiami zanim Valusyjscy przybyli ze wschodu, w czasach zanim pojawili się ludzie w krainach na oceanie. Lecz ludzie byli

już tutaj, gdy Stare Plemiona przybyły ze zniszczonych krajów. Ludzie przed Ludźmi, plemiona przed plemionami. Narody przemijały i zostawały zapomniane, bo takie jest przeznaczenie ludzkości.

– Tak – powiedział Kull. – Czy nie jest jednak szkoda, że piękno i sława ludzi rozplywa się jak dym na letnim niebie? – Tak – rzekł Kull. – Jednakże czy nie szkoda że piękno i chwała ludzi zniknie niczym dym nad morzem w lecie?

– Dlaczegoż, jeśli takie jest ich przeznaczenie? Nie rozmyślałam nad utraconą chwałą mojej rasy, ani nie pracuję dla tych, które mają nadejść. Żyj teraz, Kullu, żyj teraz. Martwi są martwymi, nie narodzeni nie istnieją. Cóż będzie znaczyło to, iż zapomną o tobie ludzie, jeśli zapomnisz o sobie w światach śmierci? Spójrz w moje lustro i naucz się mądrości.

Kull wybrał kolejne lustro i popatrzył w nie.

– To lustro najgłębszej magii. Co widzisz, Kullu?

– Nic, tylko siebie.

– Spójrz dokładniej, Kullu. Czy to naprawdę ty?

Kull spojrział w wielkie lustro, a jego odbicie spojrzało na niego.

– Stałem przed tym lustrem – rozmyślał Kull z głową opartą na pięści – i dałem temu człowiekowi życie. Nie mogę go zrozumieć. Pierwszy raz zobaczyłem go w spokojnych wodach jeziora Atlantydy, potem w walusyjskich lustrach, w złotych ramach. On jest mną, moim cieniem... mogę go ożywić lub zabić, kiedy tylko zechcę. Ale... – przerwał, a dziwne myśli przepłynęły przez jego bezmierny, mroczny umysł, niczym cienie nietoperzy na ścianach jaskini – ...ale gdzie on jest, kiedy nie stoję przed lustrem? Czy jest mocą człowieka, niszczyć z taką łatwością cień życia i istnienie? Skąd mam wiedzieć, że kiedy odchodzę od lustra on nie znika w pustce Nicości?

– Nie! Na Valkę! Czy to ja jestem człowiekiem, czy on? Który z nas jest duchem drugiego? Może te lustra są oknami, przez które widzimy inny świat? Czy on myśli to samo, co ja? Czy jestem dla niego czymś więcej niż tylko cieniem, odbiciem... tak jak on jest dla mnie. A jeśli jestem duchem, to jaki świat leży po drugiej stronie tego lustra? Jakie są tam armie i jaki król tam rządzi? Ten świat jest jedynym, jaki znam. Nie wiedząc nic o żadnych innych, jak mogę decydować? Z pewnością tam też są zielone wzgórza, grzmiące morza i rozległe równiny, po których ludzie jadą do bitwy. Powiedz mi czarodzieju, który jesteś mądrzejszy niż większość ludzi, powiedz mi, czy są jakieś światy poza naszym?

– Człowiek ma oczy, pozwól mu nimi patrzeć – odrzekł mag. – Kto chce zobaczyć, musi wpierw uwierzyć.

Godziny mijały, a Kull wciąż siedział wśród lusterek Tuzun Thune'a, spoglądając w swoje odbicia. Czasami zdawało mu się, że widzi bliski obraz. Kiedy indziej, niezmiernie głębiny rozpościerały się przed jego oczami. Lustra Tuzun Thune'a były niczym powierzchnia morza w jasnych, słonecznych promieniach, czy w ciemności gwiazd, którego głębin nie zobaczy niczyje oko. Bezmiernie i tajemnicze niczym morze rozjaśnione promieniami słońca tak, że oddech oglądającego je zostaje złapany w niewyraźnym obrazie przerażających otchłani. Takie było lustro, w które spoglądał Kull.

W końcu król wstał wzdychając i wciąż zastanawiając się odjechał.

I Kull przybył znów do Domu o Tysiącu Luster. Dzień po dniu przybywał do niego i siedział godzinami przed lustrem. A na niego spoglądały oczy takie jak jego. Ale Kull zauważył różnicę... rzeczywistość, która nie była jego. Godzina za godziną mógł wpatrywać się z dziwną intensywnością w lustro. Godzina za godziną obraz oddawał jego spojrzenie.

Król zlekceważył sprawy pałacu i kraju. Ludzie szemrali. Ogier króla stał bezużyteczny w stajni, a jego wojownicy grali w kości i kłócili się ze sobą bez powodu. Kull nie dbał o to. W tym czasie zdawało mu się, że jest o krok od poznania ogromnej, niepojętej tajemnicy. Już nie myślał o obrazie w lustrze jako o odbiciu siebie. Była to rzecz, istnienie w wyglądzie takie same jak on, ale w rzeczywistości różne od niego tak, jak odległe od siebie są bieguny. Królowi wydawało się, że obraz ma swoją własną, odmienną osobowość, która nie zależała od Kulla, a Kull nie zależał od niej. I dzień w dzień władca wątpił, w którym świecie naprawdę żyje. Czy jest cieniem, wywoływanym przez zachciankę kogoś innego? Czy, w odróżnieniu od innych, nie żyje w świecie urojeń, w cieniu rzeczywistego świata?

Kull zapragnął wejść w postać z drugiej strony lustra, w inną przestrzeń, i zobaczyć, co się tam znajduje. Ale, jeśli raz przejdzie przez te drzwi, to czy zdoła wrócić? Czy znajdzie świat identyczny do tego, w którym żyje? Świat, którego mrocznym odbiciem jest ten, w którym żyje? Który z nich był iluzją, a który rzeczywistością?

Czasami Kull zastanawiał się, skąd takie myśli i marzenia pojawiały się w jego umyśle; czy było to jego wola, czy... tu jego myśli gubiły się w labiryncie. Rozmyślenia były jego własne. Żaden człowiek nie rządził jego myślami, mógł je wywoływać i odsyłać według własnej woli. Czy naprawdę? Czy nie przybywały i nie oddalały się nie dlatego, że on tak chciał, ale że były pod wpływem lub rozkazami... kogo? Bogów? Kobieta, która tka pajęczyny Przeznaczenia? Kull nie dochodził do żadnych wniosków. Po każdym kroku w myślach stawał się coraz bardziej i bardziej oszołomiony mgłą iluzyjnych twierdzeń i podważających je zdań. Wiedział jedno: dziwne wizje zagościły w jego umyśle, latające, nieograniczone, pochodzące z bezkresności nieistnienia Nigdy nie miał takich myśli, ale

teraz one rządziły jego umysłem, kiedy spał czy chodził. W dzień był oszołomiony i otumaniony, a nocą śnił dziwne, przerażające sny.

– Powiedz mi, magu – rzekł siedząc przed lustrem i wbijając oczy w swe odbicie – jak mogę przejść przed drzwiami? Tak naprawdę nie jestem pewien, że ten świat jest rzeczywistością, a tamten cieniem. W każdym razie ten, na który patrzę musi posiadać jakąś formę.

– Patrz i uwierz – dudnił czarodziej. – Aby czegoś dokonać, człowiek musi w to wierzyć. Kształt jest cieniem, substancja jest iluzją, materia jest snem. Człowiek istnieje dlatego, że wierzy, iż istnieje. Czymże jest człowiek, jeśli nie snem bogów? Ale człowiek może zostać tym, czym pragnie. Kształt i substancja nie są niczym więcej niż cieniem. Myśl, ego, esencja snu boga – to jest rzeczywiste, to jest nieśmiertelne. Patrz i uwierz, jeśli chcesz tego dokonać, Kullu.

Król nie zrozumiał wszystkiego. Nigdy w pełni nie potrafił zrozumieć enigmatycznych wypowiedzi maga. Ale teraz dotknęły one ukrytej gdzieś głęboko, wrażliwej struny. Tak więc dzień po dniu król siedział przed lustrami Tuzun Thune'a. A za nim zawsze, niczym cień, czaił się czarodziej.

Aż w końcu nadszedł dzień, kiedy Kultowi zdało się, że złapał niewyraźne obrazy dziwnego świata. Przeleciały one przez umysł i osobowość króla. Dzień po dniu zdawało mu się, że traci kontakt ze światem. Po każdym takim dniu, wszystkie rzeczy stawały się dla niego coraz mniej realne. Tylko człowiek w lustrze wydawał się rzeczywisty. Teraz Kull zdawał się być coraz bliżej drzwi do potężniejszego świata. Olbrzymi obraz jaśniał coraz wyraźniej. Mgły nierzeczywistości malowały. „Kształt jest cieniem, substancja jest iluzją, one nie są niczym więcej niż cieniem”, słyszał w odległym zakątku swego umysłu. Pamiętał słowa maga i zdawało mu się, że prawie je rozumiał... kształt i substancja. Czy nie

zmieni się, kiedy odnajdzie główny klucz potrzebny do otwarcia tych drzwi? Jakie światy, wewnątrz jakich światów czekają na odważnego badacza?

Człowiek w lustrze zdawał się uśmiechać do niego... coraz bliżej i bliżej... mgła otoczyła wszystko, a odbicie nagle zafalowało... Kull poczuł, że znika, zmienia się, roztapia...

– Kullu! – krzyk rozbił ciszę na miliony wibrujących fragmentów!

Góry rozpekły się, a świat zachwiało, kiedy Kull, dokonujący nadludzkiego osiągnięcia, został odrzucony przez oszalały krzyk. Po co i dlaczego tak się stało, nie wiedział.

Trzask... i Kull stanął w pokoju Tuzun Thune'a przed pękniętym lustrem. Był zaskoczony i na wpół ślepy z oszołomienia. Przed nim leżało ciało Tuzun Thune'a, którego czas w końcu nadszedł. Nad nim stał Brule, włócznie-zabójca, z poznaczonym krwią mieczem i oczami rozszerzonymi ze strachu.

– Na Valkę! – zaklął wojownik. – Kullu, to był już najwyższy czas!

– Tak, ale co się stało? – rzekł król poszukując słów.

– Spytaj tej zdrajczynie – odrzekł włócznie-zabójca wskazując na dziewczynę, która kulila się w przerażeniu przed królem. Kull zorientował się, że to ona namówiła go do odwiedzenia Tuzun Thune'a. – Kiedy tu przybyłem, zobaczyłem jak znikasz w lustrze tak, jak dym znika na niebie. Na Valkę! Gdybym tego nie widział, nigdy bym nie uwierzył... prawie zniknąłeś, ale mój krzyk przywiódł cię z powrotem.

– Tak – wymamrotał Kull. – Tym razem prawie przeszedłem przez drzwi.

– Ten diabeł działał bardzo chytrze – powiedział Brule. – Kullu, czy nie widzisz teraz, jak otoczył cię pajęczyną magii? Kaanuub z Blaal spiskował z tym czarodziejem, aby się ciebie pozbyć. Wraz z tą dziewczyną, która

pochodzi ze Starszej Rasy, umieścili w twym umyśle chęć przybycia tutaj. Twój doradca, Ka-nu, odkrył dzisiaj ten spisek. Nie wiem, co widziałeś w tym lustrze, ale to dzięki niemu Tuzun Thune zaklęciem twą duszę. Dzięki tej magii prawie udało mu się zmienić twoje ciało w mgłę...

– Tak – Kull wciąż był zdziwiony. – Ale ten mag posiadał wiedzę wszystkich wieków, pogardzał złotem, chwałą, pozycją. Co takiego mógł zaoferować mu Kaanuub, aby stał się on zdrajcą?

– Złoto, chwałę i pozycję – zapewnił Brule. – Im szybciej nauczysz się, że ludzie są tylko ludźmi, bez względu na to, czy są magami, królami, czy niewolnikami, tym lepiej będziesz rządził. A teraz co z nią?

– Nic, Brule. Dziewczyna jęczała i błagała u stóp Kulla.

– Była tylko narzędziem. Wstań, dziecko, nikt cię nie skrzywdzi.

Kiedy był już tylko z Brule, król po raz ostatni spojrzał na lustro Tuzun Thune'a.

– Może i spiskował, czy uprawiał czarną magię, Brule. Nie, nie wątpię w twoje słowa, ale... czy to jego magia zmieniała mnie w mgłę, czy może to ja odkryłem tajemnicę? Czy sprowadziłeś mnie z powrotem, czy może zniknąłem, rozpułnąłem, się i odnalazłem nowe światy?

Brule spojrzał na lustro i poruszył ramionami, jakby miał dreszcze.

– Tak, Tuzun Thune zebrał tu mądrość wszystkich piekieł. Chodźmy stąd, Kullu, albo i ja zostanę zaklęty.

– Chodźmy więc – odrzekł Kull i ramię przy ramieniu wyszli z Domu o Tysiącu Luster... gdzie, być może, uwięziono inne ludzkie dusze.



Nikt nie spogląda teraz w lustro Tuzun Thune'a. Łodzie unikają brzegu, przy którym stoi dom maga i nikt nie wchodzi do pokoju, w którym, przed iluzyjnymi lustrami, leżą wysuszone szczątki Tuzun Thune'a. Wszyscy omijają to przeklęte miejsce, i mimo że będzie jeszcze stało przez tysiąc lat, nie zabrzmią tam dźwięki niczych kroków. Ale Kull, siedząc na swym tronie, często myśli nad dziwną mądrością i niewypowiedzianymi tajemnicami ukrytymi tu i zastanawia się...

Ponieważ, jak wie Kull, istnieją światy poza światami. I bez względu na to, czy czarodziej zaczarował, czy zahipnotyzował króla, przed jego oczami, za tymi dziwnymi drzwiami, pojawiły się obrazy. A Kull, od czasu kiedy spojrział w lustro Tuzun Thune'a, jest mniej pewny rzeczywistości.



EPILOG

W tym czasie na świat spadł kolejny Kataklyzm. Atlantyda i Lemuria zatoneły, a Wyspy Piktyjskie uniosły się tworząc górskie szczyty nowego kontynentu. Części Thuriańskiego Kontynentu zniknęły pod falami lub tonąc ukształtowały wielkie wewnątrz lądowe jeziora i morza. Potężne wybuchy wulkanów i przerażające trzęsienia ziemi, zburzyły wspaniałe miasta imperiów. Całe narody zostały zmiecione z powierzchni ziemi.

Barbarzyńcom powiodło się trochę lepiej niż cywilizowanym rasom. Mieszkańcy Wysp Piktyjskich zostali zniszczeni, lecz ich wielkie kolonie umiejscowione pomiędzy górami na wschodnich rubieżach Valusii (służyły jako bufor przeciw obcym inwazjom) przetrwały. Kontynentalne królestwo Atlantydów uniknęło ruiny, a tysiące współplemieńców przybyły do niego z pogrążającego się w morzu lądu. Wielu Lemuryjczyków umknęło na wschodnie brzegi Kontynentu Thuriańskiego, który prawie nie został dotknięty klęską. Wszyscy zostali niewolnikami zamieszkującej tam starożytnej rasy, a ich historia przez tysiące lat stała się historią brutalnego poddaństwa.

W zachodniej części kontynentu zmieniające się warunki stworzyły dziwne rodzaje zwierząt i roślin. Dżungle pokryły pola uprawne, wielkie rzeki przecięły drogi do morza. Wyrosły dzikie góry, a jeziora pokryły ruiny

starych miast, położonych w pięknych dolinach. Do kontynentalnego królestwa Atlantydów z zatopionych terenów przybyły tysiące bestii, dzikich ludzi–małp i małp. Zmuszeni do ciągłej walki o życie szybko, odrzucili cywilizację i wrócili do stanu zaawansowanego barbarzyństwa. Obrabowani z metali i złóż, stali się twórcami przedmiotów z kamienia, jak ich odlegli przodkowie. Osiągnęli poziom artyzmu, gdy ich rozwijająca się znów kultura, weszła w kontakt z potężnym narodem Piktów. Piktowie także cofnęli się w rozwoju, lecz rozwijali się szybciej w zakresie populacji i spraw wojny. Nie posiadali Atlantydzkiej natury artystów. Byli skierowani na praktyczność i problemy przeżycia. Nie pozostawili po sobie, jak ich przeciwnicy, wspaniałych malowideł lub rzeźb w kości słoniowej. Pozostało po nich wiele, wielce efektywnych rodzajów broni.

W tej erze, erze kamienia starły się imperia. Seria krwawych wojen przetrzebiła Atlantydów, którzy pogrążyli się znów w stanie dzikości, a rozwój Piktów także zatrzymał się. Pięćset lat po Katakliźmie barbarzyńskie królestwa zniknęły. Stały się teraz dzikim narodem Piktów nieustającym w walce z prymitywnymi plemionami Atlantydów. Piktowie posiadali przewagę ilości i zjednoczenia, Atlantydzi pogrążyli się w luźno współpracujące klany. Tak wyglądał zachód w tych czasach.

Na dalekim wschodzie, odcięci od reszty świata przez wyrosłe gigantyczne góry i uformowany łańcuch opustoszałych jezior, Lemuryjczycy służyli jako niewolnicy swym starożytnym władcom. Odległe południe było pokryte mgłą tajemnicy. Nietknięte Katakliźmem, przeznaczenie jego było wciąż przedludzkie. Z cywilizowanych ras Kontynentu Thuriańskiego, resztką jednego z nie valusyjskich narodów wyrosła pomiędzy wysokimi górami południowego wschodu jako Zhemri. Tu i tam rozrzucone były po świecie drobne klany i małpopodobni dzikusy,

ogarnięci niewiedzą na temat upadku i powstawania wielkich cywilizacji. Na dalekiej północy inny lud wolno dochodził swych praw.

W czasach Kataklyzmu banda dzikusów, których poziom rozwoju nie był dużo wyższy od Neandertalczyków, przybyła w ucieczce przed klęskami na północ. Odnaleźli lodowe królestwa, zamieszkane tylko przez gatunek okrutnych, śnieżnych małp – ogromnych, włochatych, białych, przystosowanych do klimatu zwierząt. Przybysze zwalczyli je i wypędzili za granice kręgu arktycznego, by stanowią postrach w opowieściach dzikusów. Potem, zaadaptowali się sami do trudnych, nowych warunków i zakwitli.

Po tym, jak wojny Piktyjsko–Atlantydzkie zniszczyły początki tego, co mogło stać się nową kulturą, inny, słabszy kataklyzm zmienił kształt oryginalnego kontynentu. Pozostawił wielki, pokryty wyspami ocean, gdzie dawniej był łańcuch jezior. Dalsze rozdzielanie zachodu od wschodu nastąpiło przez trzęsienia ziemi, powodzie i wybuchy wulkanów kończące ruinę barbarzyńców, których podstawy istnienia naruszyły wojny plemienne.

Tysiąc lat po kolejnym kataklyzmie zachodni świat stał się dziką krainą dżungli, jezior i bystrych rzek. Pośród pokrytych lasami wzgórz północnego zachodu żyły grupy nie znających ni ludzkiej mowy, ni wynalazku ognia lub użycia narzędzi ludzi–małp. Byli oni potomkami Atlantydów zrosłymi z chaosem dzikości dżungli, z którego to wieki temu ich przodkowie z wysiłkiem wypełzli. Na południowym zachodzie żyły rozdrobnione klany zdegenerowanych, mieszkających w jaskiniach dzikusów, których mowa była jednym z najbardziej prymitywnych języków, lecz którzy wciąż utrzymali nazwę Piktów. Oznaczało to jednak termin określający ludzi – ich – jako odróżnienie od prawdziwych bestii, z którymi walczyli o życie i pożywienie. Był to jedyny związek z ich przeszłością. Ani dzicy Piktowie,

ani małpopodobni Atlantydzi nie mieli kontaktu z innymi plemionami czy ludźmi.

Daleko na wschodzie Lemuryjczycy wzniesli się prawie do poziomu zwierząt przez brutalność niewoli. W końcu powstali i zniszczyli swych panów. Stali się dzikusami przekradającymi się po ruinach obcej cywilizacji. Ci cywilizowani, którzy przeżyli i uciekli przed gniewem własnych niewolników, udali się na zachód. Napadli na dziwne, przedludzkie królestwo południa i zajęli je. Wsparli własną kulturę modyfikując ją dzięki kontaktom ze starszą rasą. Nowe królestwo nazwano Stygią, a ci, którzy pozostali ze starej rasy, współpracowali z najeźdźcami pomimo zniszczenia ich ludu jako całości.

Tu i tam na świecie, małe grupki dzikusów zaczęły wskazywać oznaki rozwoju. Były jednak one podzielone i nieznane nikomu.

Lecz na północy plemiona rosły. Ludzie nazwali się Hyboryjczykami, lub Hyborami. Ich bogiem był Bori – wielki wódz, z którego legendy zrobiły nawet bardziej antyczną postać od króla, który poprowadził ich na północ w dniach wielkiego Kataklyzmu. To, plemiona te pamiętały tylko w słabo zakorzenionym folklorze.

Rozprzestrzenili się po północy i zajęli bezpośrednim najazdem południe. Dotychczas nie weszli w kontakt z innymi rasami. Wojny toczyli tylko pomiędzy sobą. Piętnaście setek lat na północy sprawiło, iż stali się wysoką, brunatnowłosą, szarooką rasą pełną odwagi i znającą się na wojnie. Wykazywali też całkiem niezłe osiągnięcia artystyczne i leżący w ich naturze poetyzm. Żywili się głównie z polowań, lecz południowe plemiona od kilku wieków hodowały bydło. Był jeden wyjątek w ich, jak dotychczas kompletnej izolacji od innych ras: jakiś podróżnik podążył na daleką północ i wrócił z wiadomościami, że sprawiające wrażenie opustoszałych, lodowe pustkowia zamieszkuje dziwne plemię podobnych do małp ludzi.

Potomków, przysięgał, bestii wypędzonych z nadających się do zamieszkania krain przez przodków Hyboryjczyków. Żądał, by duży oddział wojowników został wysłany w Arktykę, aby zniszczyć te stworzenia, które, jak sądził, ewoluowały w stronę ucłowieczenia. Zostaje wysłuchany, lecz tylko mała grupa żądnych przygód młodych wojowników, podążyła za nim na północ, ale żaden z nich nie powrócił.

Plemiona hyboryjskie kierowały się na południe, a wraz ze wzrostem populacji ruch ten zyskiwał na intensywności. Era ta była epoką podróży i podbojów. W historii świata plemiona i odłamki plemion przemieszczały się i osiedlały w nieskończonej panoramie.

Spójrzmy na świat pięćset lat później. Plemiona brunatnowłosych Hyboryjczyków podążały na południe i zachód podbijając i niszcząc wiele małych, nieopisanych klanów. Absorbując krew podbitych ras, często potomków starszych ludów, zaczęły przejawiać zmieszane rysy. Te mieszające się plemiona były bezlitośnie atakowane przez nowe, o czystszej krwi i padały pod ich ciosami jak drzewa lecz po części asymilowały się i zlewały, kończąc istnienie czystych i nieskażonych ludów.

Jak dotychczas zdobywcy nie weszli w kontakt ze starszymi rasami. Na południowym wschodzie potomkowie Zhemri otrzymawszy dopływ nowej krwi jako efekt mieszania z jakimś nieznanym plemieniem, zaczęli poszukiwać źródeł swej przeszłości ukrytej w cieniach starożytności kultury. Na zachodzie małpopodobni Atlantydzi rozpoczęli długą wspinaczkę do cywilizacji. Ukończyli koło istnienia, dawno temu zapomnieli swe stare dzieje jako ludzie. Nie obawiając się innej formy istnienia jako narodu, zaczęli wspinaczkę, bez pomocy i wspomnień swej ludzkiej przeszłości. Na południe od nich Piktowie pozostali dzikusami, poddając się prawom natury, nie rozwijając się, ale i nie degenerując.

Daleko na południu drzemało starożytne królestwo Stygii. Na jego wschodnich granicach przemieszczające się klany dzikich nomadów stały się znane pod nazwą Synów Shem.

Niedaleko Piktów, w szerokiej dolinie Zingg, chroniona wielkimi górami, ewoluowała nienazwana banda dzikusów najlepiej sklasyfikowana jako spokrewniona z Shemitami. Odkryła ona sekret rolnictwa jako podstawę egzystencji i rozwoju.

Kolejny element dodał impetu rozwojowi Hyboryjczyków. Jedno z plemion z tej rasy odkryło umiejętność budowania z kamienia. I w ten sposób powstało pierwsze hyboryjskie królestwo, dzikie i barbarzyńskie państwo Hyperborea. Brało swój początek z niewielkiej kamiennej fortecy będącej w stanie przetrzymać plemienne ataki. Ludzie z tego plemienia wkrótce zrezygnowali ze swych namiotów ze skór zwierząt na rzecz kamiennych, budowanych nieudacznic, lecz skutecznie domów. Ochrona taka dodawała tylko im siły. Było jeszcze kilka dramatycznych wydarzeń w ich historii zanim powstało dzikie i okrutne królestwo Hyperborei. Ludzie zrezygnowali ze zwyczajów nomadów, by korzystać z coraz częściej wznoszonych z gołych skał domów, otoczonych cyklopimi murami. Rasa powoli wyłoniła się z wieku kamienia gładzonego, który dzięki błogosławionemu przypadkowi nauczył pierwszych prymitywnych ludzi podstaw architektury.

Powstanie tego królestwa poważnie oddziaływało na inne plemiona. Pokonane w czasie wojny, odmawiające płacenia trybutów dla zamieszkujących w zamkach wojowników, wiele klanów wyruszyło w długą drogę, która poprowadziła je prawie dokoła połowy świata. Zamieszkujące najdalszą północ plemiona, zaczęli nękać jasnowłosi dzikusy, którzy byli niewiele bardziej rozwinięci od ludzi-małp.

Opowieść o następnym tysiącu lat jest opowieścią o rozwoju Hyboryjczyków, których kochające wojnę plemiona zdominowały zachodni świat. Nowe królestwa nabrały kształtu. Brunatnowłosi najeźdźcy odkryli Piktów i zepchnęli ich na opustoszałe krainy zachodu. Na północnym zachodzie potomkowie Atlantydwów wspinali się bez niczyjej pomocy wąską ścieżką od poziomu małą do prymitywnej dzikości. Ci nie napotkali jeszcze zdobywców. Daleko na wschodzie, Lemuryjczycy stworzyli obcą, na własną cywilizację. Na południu Hyboryjczycy założyli królestwo Koth. Niedaleko jego granic pasterskie ludy wyrastające z wolna z barbarzyństwa stworzyły, częściowo poprzez kontakty z Hyboryjczykami, częściowo poprzez Stygijczyków, którzy niszczyli ich przez wieki, Kraj Shem. Jasnowłosi dzikusy z odległej północy rośli w siłę i ilość tak, iż północne plemiona Hyboryjczyków ruszały na południe, spychając pokrewne klany przed sobą. Starożytne królestwo Hyperborei zostało podbite przez jedno z tych północnych plemion, które jednak zatrzymało starą nazwę kraju: Południowo-wschodnia Hyperborea. Królestwo Zhemri stało się państwem – Zamorą. Na południowym zachodzie plemię Piktów najechało urodzajną dolinę Zingg podbijając rolniczy lud, ale i zamieszkując wśród nich. Pomieszana rasa została zwyciężona niedługo potem przez jedno z plemion Hyboryjskich i z jej różnorodnych elementów powstało królestwo Zingary.

Pięćset lat później granice królestw świata były już jasno zarysowane. Państwa hyboryjskie: Aquilonia, Nemedi, Brythunia, Hyperborea, Koth, Ophir, Argos, Corinthia i jeszcze jedno, znane jako Królestwo Graniczne, zdominowały zachodni świat. Zamorą leżała na wschodzie, Zingara na południowym zachodzie od tych królestw. Kraje zamieszkałe przez złożone społeczeństwa ciemności o egzotycznych zwyczajach, lecz nie mające pomiędzy sobą żadnych związków. Daleko na południu spała Stygia nietknięta przez obce najazdy. Lud Shem zamienił stygijskie jarzma na

mniej drażniące wpływy Koth. Władcy cieni osiedlili się na południe od wielkiej rzeki Styx, Nilusu lub Nilu, który spływał na północ z pokrytych mrokiem wzgórz, zakręcał trochę w prawo i podążał trochę na zachód przez pasterskie pola Shem, by połączyć swe wody z wielkim oceanem. Północ Aquilonii, najbardziej wysunięty na zachód kraniec królestwa Hyboryjskiego, należał do Cymeryjczyków. Byli oni groźnymi dzikusami, nie podbitymi przez najeźdźców, lecz szybko rozwijającymi się dzięki kontaktom z nimi. Byli to potomkowie Atlantydów, wyrastający szybciej niż ich starzy przeciwnicy Piktowie, a władający dzikimi terenami zachodniej Aquilonii.